

GLENDА SANDERS
UPOJNE NOCE



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Istambuł • Madryt • Mediolan • Paryż • Praga
Sydney • Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ

1

Stephen Dumont doszedł do wniosku, że lekarze to idioci. Idioci ze skłonnością do nedorzecznych eufemizmów. „Pewna niedogodność” to ich zdaniem coś, co normalnie nazywa się „ból”. Natomiast „chwilowe unieruchomienie” oznacza, że staw kolanowy pacjenta potrafi się zginać mniej więcej tak jak betonowy słup.

Stękając z wysiłku, Stephen oparł się na lasce i wstał. Z chwilą gdy opuścił apartament, przysiadł już trzy razy. Zrobił ostrożnie jeden krok. Z zaciśniętych warg wyrwało mu się przekleństwo. Poczł w udzie ostry ból, jakby je ktoś dźgnął sztyletem. Zatopił w miękkim dywanie koniec swej wymyślnej laseczki, przygotowując się do następnego kroku - on, mężczyzna, który znakomicie jeździł na nartach i na łyżwach.

Lekarz, matka i siostry radzili mu, by przez kilka dni stale miał w pobliżu wózek inwalidzki i nie forsował nogi. Stephen nie zamierzał więcej patrzeć na wózek, do którego był przykuty przez ostatnie sześć tygodni, gdy miał nogę w gipsie. Polecił, by odstawiono go do schowka; niech sobie czeka na następnego pechowego narciarza, który przegra współzawodnictwo z siłą ciężenia.

Przez sześć tygodni planował sobie, jak to będzie, gdy zdejma mu gips: wstanie i natychmiast pomaszeruje, jakby nigdy nie zdarzył mu się wypadek. Teraz ból zmusił go do pogodzenia się z nieprzyjemną prawdą, że niezbyt szybko powróci do zdrowia i być może nigdy nie odzyska dawnej formy. Mając sztywną nogę, nie będzie poruszał się ze zwinnością godną mistrza Kanady w biegu zjazdowym. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie mógł chodzić bez laski. Jeśli dopisze mu szczęście naprawdę duże - może nie będzie utykał.

A gdyby zdarzył się cud, pewnego dnia mógłby jeździć na nartach w połowie tak dobrze, jak jeździł przed wypadkiem na stoku.

Stoku? - pomyślał gorzko. Stephen Dumont, syn medalisty olimpijskiego Jean-Pierre'a Dumonta, sam zdobywca tytułu mistrza Kanady w biegu zjazdowym, upadł i poleciał w dół na oślej łączce, potracony przez początkującą piętnastoletnią narciarkę.

Krissy Crestwell zalewała się łzami, gdy Stephena ładowano do karetki. Potem posłała mu liścik z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia oraz pluszowego misia, który miał na nodze mały plastikowy gips.

Jednak powrót do zdrowia nie był szybki. Ostatnie sześć tygodni to najdłuższy okres w jego życiu. Początkowo dużo czytał, aż oczy buntowały się, patrząc na zadrukowane strony. Potem oglądał telewizję, ale stwierdził, że to ogłupiające zajęcie. Wreszcie uprosił, by pozwolono mu robić w pensjonacie coś pożytecznego. Zaczął brać nocne dyżury w recepcji albo śleczął nad stertą faktur czy nad księgami rachunkowymi stoiska ze specjalistycznym sprzętem sportowym.

Nie uważał się jednak za osobę pożyteczną. Narastał w nim bunt i złość. Cała ta krzątanina przypomina-

ła mu o wszystkich rzeczach, których nie był w stanie robić. Jego obowiązki spadły teraz na barki pozostałych przepracowanych członków rodziny. Stephenowi wyrzuty sumienia dokuczały równie dotkliwie, jak ból fizyczny.

Dzień wyzwolenia. Wydawało mu się, że gdy tylko nadejdzie, będzie mógł wstać, pomaszerować i zupełnie zapomnieć o wypadku. Spodziewał się niewielkich trudności w chodzeniu, a nie okropnych tortur przy każdym kroku i zupełnie sztywnego kolana. Zrezygnowany pokuśtykał do jadalni i usiadł przy przeznaczonym dla właścicieli stole.

W pensjonacie Dumont poniedziałkowy wieczór był wieczorem rodzinnym. Zespół muzyczny, który grywał zwykle do tańca, miał wolne i rodzina Dumontów wypełniała pustkę swoimi występami, które goście hotelowi uznawali za atrakcyjne i nawet byli do nich przywiązani.

Trzydzieści pięć lat temu pojawiła się tu prześliczna studentka konserwatorium, Marguerite Page. Ubiegała się o pracę pianistki w hotelowej restauracji. Dostała tę pracę, ale podbiła również serce właściciela, Jean-Pierre'a Dumonta. Zdjęcia z ich ślubu obieły cały świat. W latach pięćdziesiątych była to kolejna wersja bajki o Kopciuszku: Jean-Pierre Dumont, mistrz olimpijski, przedsiębiorca i znany playboy, zdecydował się jako czterdziestoletni mężczyzna poślubić kobietę niemal dwa razy młodszą.

Teraz, gdy na świecie oprócz trojga dzieci była już dwójka wnuków, Marguerite Page Dumont nadal grywała na fortepianie w poniedziałkowe wieczory. Razem z nią występowały córki. Choć nie uważano ich za specjalnie utalentowane, Claire i Brigitte wykazywały pewne uzdolnienia estradowe.

A prawda jest taka, myślał ponuro Stephen, że moje siostry to bezwstydnym komediantki, gotowe bez żenady popisywać się przed oczarowaną publicznością. Stephen ciągle się dziwił, że potrafią wykonywać scenki kabaretowe, które obmyślały sobie przez lata. A jeszcze bardziej zdumiewające było to, że turystów to bawiło.

Wieczory rodzinne w pensjonacie Dumont stały się ulubioną rozrywką w okolicach jeziora Louise. W poniedziałki jadalnia była zawsze nabita, także poza sezonem. Nawet miejscowi wpadali na kolację tylko po to, by zobaczyć, co tym razem pokażą Dumontówny. Czasami, przy specjalnych okazjach, Jean-Pierre wchodził na scenę i stepował razem z córkami. Choć przekroczył siedemdziesiątkę, miał wdzięk i sprawność sportowca. Przed każdym zejściem ze sceny nie omieszkął pocałować żony w policzek.

Gdyby ojciec nie wyjechał właśnie z miasta, Stephen wybłagałby zwolnienie z wieczoru rodzinnego i został w swoim apartamencie, lecząc się z depresji. Najprawdopodobniej oddałbym przysługę pozostałym członkom rodziny, gdybym nie przyszedł do jadalni, myślał ponuro. Był w zbyt podłym nastroju na rodzinne błazenady. Jean-Pierre jednak wyjechał, zatem Stephen czuł się zobowiązany do zastąpienia go przy rodzinnym stole.

Pochwycił wzrok kelnera i polecił mu bezgłośnie, by przyniósł butelkę wina. Skoro ma już tu siedzieć, znosić wygłupy sióstr i zastanawiać się, jak dalece są gotowe się skompromitować, odrobina alkoholu nie zaszkodzi.

- Wyglądasz smutno, wujku Stephenie.

Spojrzał na dziesięcioletnią Jennifer, która położyła mu rękę na ramieniu gestem wyrażającym pocieszenie, choć, być może, uczyniła to mimowolnie.

- Jestem po prostu trochę zmęczony, Jenny. Odwykłem od chodzenia.

Jennifer miała na sobie szeroką marszczoną spódnicę: znak, że wraz ze starszą siostrą będą występowały tego wieczoru. Stephen pociągnął ją lekko za warkoczyk.

- Co twoja mama i ciocia Brigitte wypichciły na dziś?

- To niespodzianka - odparła Jenny.

- Nie mogę się doczekać. - Głos Stephena ociekał ironią.

- To jest... - Jennifer ugryzła się w język i uśmiechnęła tajemniczo. - Spodoba ci się tym razem, wujku. Zobaczysz.

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

Niespodzianka przygotowana przez siostry. To naprawdę mroziło krew w żyłach.

- Jesteś bardzo cyniczny - stwierdziła Jenny.

- Gdzie taka mała dziewczynka nauczyła się tego słowa?

- Od mamy. Powiedziała cioci Brigitte, że właśnie taki jesteś, a ja zapytałam, co to znaczy i ona mi wyjaśniła.

- Jeśli jesteś taka bystra, powiedz mi, co to znaczy.

- Nie wiesz? - zdziwiła się Jenny. - To znaczy, że jesteś zrzędą. Mama mówi, że nie potrafisz się już cieszyć, że straciłeś poczucie humoru i potrzebna ci...

- przerwała, zaczerpnęła powietrza i uśmiechnęła się zagadkowo. - Zresztą, sam zobaczysz.

Stephen popatrzył na siostrzenicę, na jej niewinny prowokujący uśmieszek, który pewnego dnia oczaruje jakiegoś chłopaka, i szturchnął ją w zębra.

- Twoja mama za dużo mówi. A ty, moja droga, jesteś kobietką do szpiku kości, prawda?

- Oczywiście, jestem dziewczynką, głuptasie - odparła chichocząc.

- Gdzie twój tata? - spytał Stephen. Przydałoby mu się trochę męskiego towarzystwa.

- Jest z Nicole. Oni... przygotowują niespodziankę i tata pomaga.

- Rozumiem.

Wszystko jasne: cała rodzina była w zмовie!

Żyjący wśród siostr i siostrzenic, Stephen tęsknił czasami za męską atmosferą, za braterską przyjaźnią, nie zakłóconą przez obecność kobiet. Dzisiaj bardzo mu tego brakowało. Szkoda, że ojciec wyjechał. Może Claude wywinie się jakoś z rąk Claire i zdążą we dwóch wypić drinka po przedstawieniu.

Światła przygasły, gdy Claude wkradł się do jadalni z drugą córką. Nicole, dwa lata starsza od Jennifer, również była ubrana w marszczoną, szeroką spódnicę, a na twarzy miała łobuzerski uśmiech. Stephen pozdrowił ich skinieniem głowy i odwrócił się w kierunku sceny, niezmiernie ciekaw, jaką to niespodziankę przygotowały jego siostry.

Matka zasiadła już do fortepianu, a starsza siostra, Claire, umieszczała główny mikrofon. Brigitte ustawiała mikrofon przy perkusji. Oto kolejny złowróżbny sygnał, pomyślał Stephen. Brigitte nigdy nie uczyła się grać na perkusji, ale potrafiła wytworzyć mnóstwo hałasu. Najbardziej lubiła talerze. Nawet Claire, tolerancyjna starsza siostra, usiłowała ją nakłonić, by nie grała na perkusji zbyt często. Najwyżej parę razy do roku. By, jak to ujęła, zachować talent na spegalne okazje.

Jak zwykle wieczór zaczął się żywą melodią na fortepian. Potem Claire powitała wszystkich i przedstawiła gościom matkę i siostrę. Stephen, znudzony,

słuchał banalnych uwag na temat tego, że pensjonat Dumont jest małym przedsiębiorstwem rodzinnym nastawionym na obsługę rodzin.

- Jesteśmy hotelem rodzinnym i każdy z naszych gości jest gościem specjalnym - mówiła Claire.

Sto pokoi i dwadzieścia apartamentów, wszystko pełne gości, myślał z przekąsem Stephen. Jedna wielka szczęśliwa rodzina. Do diabła, ale ta noga boli!

Claire poprosiła, by odezwali się ci, którzy uczestniczyli już kiedyś w wieczorze rodzinnym. Spotkała się z żywiołową reakcją.

- Mamy tu większy współczynnik recydywy niż więziennictwo stanowe - powiedziała Claire, zwracając się do Brigitte.

- Lepiej karmimy - odparowała młodsza siostra. Widownia śmiała się serdecznie.

- Ci, którzy już u nas byli, wiedzą, że wieczory rodzinne nie zamieniają się w napuszone ceremonie. Gdy w rodzinie Dumontów odbywa się jakaś uroczystość, wszyscy biorą w niej udział. Świątujemy z bardzo różnych okazji. Na przykład w ubiegłym miesiącu...

- Gdy obchodziliśmy Ogólnopanstwowy Tydzień Dobroci dla Niedźwiedzia Polarnego - wtrąciła Brigitte.

Claire poczekała, aż przebrzmia oklaski.

- Choć Tydzień Dobroci dla Niedźwiedzia Polarnego był ekscytujący, dziś mamy coś jeszcze bardziej atrakcyjnego.

- Czyżby to już nadszedł Ogólnopanstwowy Dzień Syropu Klonowego?

- Nie, Brigitte, to dopiero w marcu. A teraz poważnie, moi państwo, chcemy zrobić coś zupełnie innego. Mamy dziś przyjęcie z niespodzianką. - Zno-

wu na chwilę przerwała. - Zgoda, wiem, o czym myślicie. To niespodzianka dla was wszystkich! Chciałabym więc, byście wiedzieli, co właściwie świętujecie. Ci, którzy znają rodzinę Dumontów, słyszeli zapewne o nieszczęśliwym wypadku, który przydarzył się naszemu bratu na początku sezonu.

Stephen stłumił odruch irytacji. Właśnie czegoś takiego się obawiał. Sięgnął po kieliszek i wypił wino jednym haustem.

- Przez ostatnie sześć tygodni Stephen był przykuty do wózka inwalidzkiego. To zła wiadomość. Ale dzisiaj mamy dobrą wiadomość... - zagrał fortepian, zagrzmiały werble i perkusja - Stephenowi zdjęto gips. Niech teraz wstanie i pokaże państwu, że potrafi stać. Czy należą mu się oklaski?

Reflektor zalał światłem stół rodzinny, zmuszając Stephena, by wstał i przyjął ten aplauz. Uśmiech na jego twarzy stężał, gdy ostry ból przeszył mu nogę.

- Lekarz zalecił Stephenowi ćwiczenia fizyczne - kontynuowała Claire - a najlepszym ćwiczeniem na nogę jest podobno pływanie. Czy mogą państwo w to uwierzyć? A my tu mamy styczeń, w Kanadzie! W pensjonacie Dumont o tej porze roku nie pływa się w wodzie, ale jeździ się po niej na łyżwach.

Światło reflektora przesunęło się i Stephen mógł opaść na krzesło, wdzięczny, że w ciemności nie widać potu na jego czole.

- W naszym hotelu o tej porze roku basen najbardziej przypomina wanny z masażem wodnym, zainstalowane w pokojach dla nowożeńców - paplała Claire. - Aż do znudzenia namawialiśmy na to Stephena, ale on zdecydowanie odmawia ożenku w celu ćwiczenia nogi.

- Myślałyśmy nawet o tym - podjęła wątek Brigitte - by zaapelować do dziewczyn, żeby któraś zechciała

zamieszkać z nim w pokoju dla nowożeńców bez sakramentu, ale bałyśmy się po prostu natłoku chętnych...

Ależ to dowcipne, jęknął w duchu Stephen.

- A właściwie ojciec wybił nam to z głowy - sprostowała Claire.

- Próbował kiedyś w podobny sposób spędzić weekend i omal nie przypłacił tego życiem - dodała Brigitte.

Aluzję do hulaszczego, obrosłego w legendy trybu życia Jean-Pierre'a widownia przyjęła wybuchem śmiechu.

- A przecież ojciec nie był rekonwalescentem - dorzuciła Claire, co wywołało nowe salwy śmiechu.

- Ponieważ nie mamy basenu i nie możemy umieścić Stephena w apartamencie dla nowożeńców, postanowiliśmy wysłać go tam, gdzie jest basen - oznajmiła Brigitte.

- Zważywszy na jego nastrój, zamierzałyśmy początkowo posłać go gdzieś, gdzie nigdy nie świeci słońce - ciągnęła Claire. - Ale to przecież nasz brat i kochamy go...

- Choćby nawet miał charakter niedźwiedzia polarnego cierpiącego na hemoroidy - przerwała Brigitte.

- Zdecydowałyśmy więc wyekspediować go tam, gdzie jednak świeci słońce, i to nad wieloma basenami oraz nad dwoma morzami. Stephen pojedzie na Barbados.

Zacząły śpiewkę jak z podrzędnego kabareciku:

Stephen jedzie na wycieczkę,

Ma wakacje ten nasz brat.

Połamiał kości.

Więc się złości.

I dlatego rusza w świat.

)

Dwukrotnie powtórzyły refren, a potem zachęcały gości, by śpiewali razem z nimi. Nicole i Jennifer wyłoniły się z kuchni, pchając przed sobą wózek. Podążał za nimi świetlny krąg reflektora. Biały blask padał na tort udekorowany plastikowym samolotem spoczywającym na wyspie wymodelowanej z polewy czekoladowej.

Wszyscy odśpiewali kilkanaście razy refren piosenki, po czym siostry Stephena zaczęły się głośno zastanawiać, co też ich brat może robić na Barbados, gdy nie będzie pływał. Ułożyły na ten temat oryginalną piosenkę:

Na wyspie Barbados kociaków jest moc.
Kociaki w bikini, że tylko zamarzyć.
Tam tańczysz i hulasz, i pływasz co noc.
Na wyspie Barbados na plaży.

Kociaki w bikini! Stephen gotów był przypuszczać, że w jego żyłach nie płynie krew Dumontów, że po prostu jako niemowlę został podrzucony w koszu na bieliznę na próg ich domu. Marzył teraz o kieliszku mocnej wódki. Cóż, kiedy ponownie skierowano na niego krąg światła, bo właśnie do stołu podjechał wózek i Nicole wręczyła wujowi bilet lotniczy. Wybuchnęły gorące oklaski.

Stephen zdobył się na uśmiech, gdy odbierał bilet wraz z uściskami. Jennifer schyliła się i wydobyła z dolnej półki wózka prezenty, jakich mężczyzna może potrzebować w tropiku. Były tam szorty, kostium do uprawiania surfing, okulary przeciwsłoneczne, dwie firmowe koszulki oraz ręcznik plażowy z emblematami pensjonatu Dumont.

Przedstawienie zakończyło się odśpiewaniem „Stephen, Stephen niech wypoczywa nam” na melodię „Sto lat”. Światła przygasły.

- No i co, Stephen - spytała wesoło Claire, siadając przy stole - jak się czujesz przed podróżą do tropikalnego rajy w szczycie sezonu?

- Moja odpowiedź nie nadawałaby się do druku - odparł.

- Mówiłaś, że albo odniesie się do tego pomysłu entuzjastycznie - Brigitte zwróciła się do siostry, wzruszając ramionami - albo okropnie mu się nie będzie podobał. Teraz już wiemy, jak się sprawy mają.

- To zupełnie zwariowany pomysł - zauważył Stephen. - Mamy najazd gości, najgorętszy okres w roku. Potrzebna jest każda osoba, żeby wszystko szło gładko.

- „Gładko” jest właściwym określeniem - przyznała Brigitte. - A ty nie przyczyniasz się do tego, by sprawy szły gładko. Jesteś jak cierń w... - Spojrzała na siostrzenicę i urwała.

- Stokrotne dzięki - powiedział Stephen sucho.

- Prawdę mówiąc - poparła siostrę Claire - od wypadku jesteś coraz bardziej zgryźliwy. Stałeś się uciążliwy, zamiast być pomocny.

- Ale teraz wreszcie zdjęli mi ten cholerny gips.

- I za parę tygodni będziesz znowu naszym cudownym, kochanym braciszkiem - pocieszyła go Claire.

- Potrzebny ci jest tylko odpoczynek i czas na rekonwalescencję.

- Ale to środek sezonu...

- Nie powrócisz do zdrowia, jeśli będziesz tu siedział i harował, udając, że w ogóle nie miałeś wypadku. Przyznaj, sądziłeś, że jak zdejmą ci gips, to natychmiast będziesz całkowicie zdrowy, prawda? - spytała Claire.

Stephen popatrzył na nią spode łba, ale nic nie odpowiedział.

- A to nigdy tak nie jest, nawet w rodzinie Dumontów. - Claire sączyła wino. - Jeśli upierałbyś się, by tu

zostać, udając, że wszystko już powróciło do normy, naraziłbyś się na cierpienie.

- Albo stawałbyś się coraz bardziej zgorzkniały i doprowadził nas wszystkich do szaleństwa - dodała Brigitte. - W każdym razie tego biletu nie można już zwrócić.

Stephen popatrzył na szwagra, oczekując wsparcia.

- Najlepiej poddaj się z wdziękiem - poradził Claude. - Wszystko obmyśliły do najdrobniejszego szczegółu.

- Wyszukałyśmy ci ośrodek z siedmioma basenami i autobusem, który co pół godziny jeździ na plażę - wyjaśniła Brigitte.

- Jesteś wielkim, silnym mężczyzną - Claire uściśnęła mu ramię - ale jesteś tylko człowiekiem. Zadręczasz się. Musisz teraz powrócić do zdrowia. Jedź na Barbados! Odpręż się! Pozwól swemu ciału powrócić do zdrowia.

Stephen spojrzał na siostrzenice, które z zapartym tchem przysłuchiwały się tej rodzinnej wymianie zdań.

- A co wy dwie sądzicie? - spytał dziewczynek. - Powinienem lecieć?

- Tam jest plaża - odpowiedziała Nicole rozmazonym głosem. - I trwa lato.

- Myślę, że powinieneś odpocząć, wujku - poradziła Jennifer - ale nie zadawaj się z kociakami.

Siostry rzuciły monetą, która z nich ma znieść bagaż z apartamentu Stephena do holu, i wypadło na Brigitte. Patrzyła teraz na brata i parskała ze złością:

- Po co, do diabła, założyłeś wełniane spodnie i sweter?

- Jest mróz.

- Ale ty wybierasz się w tropiki.

- Teraz jest dziewiąta rano. Na Barbados będę o północy. Jaka temperatura może tam być o północy?

- Dwadzieścia siedem stopni przez cały rok. Spraw-
dzałam.

- To zdecydowanie nienaturalne - odparł Step-
hen. - Wszystko jedno, nie możesz ode mnie wyma-
gać, żebym nosił te szorty w kwiatki. Wyglądałbym jak
jakiś turysta.

- Choć raz w życiu powinieneś wyglądać jak tu-
rysta. Nie jedziesz na zawody narciarskie. Wybierasz
się na wakacje.

- W poszukiwaniu kociaków w bikini?

- Sądzę, że przydałby ci się teraz z tuzin kociaków
w bikini.

- A propos tuzinów... znalazłem w swoim nese-
serze mały prezent. Czyżby pochodziły z pracowni
artysty?

- Nikt nie twierdził, że bezpieczny seks musi być
nudny! Jedziesz odpocząć. Korzystaj z życia!

- Oto jak mówi do człowieka rodzona siostrzyczka!

- Siostrzyczka? Mam dwadzieścia osiem lat.
A w moich żyłach płynie gorąca krew. Jestem córką
Jean-Pierre'a Dumonta, zapomniałeś?

- Myślę, że nawet tata byłby zszokowany, gdyby
dowiedział się, że jego córeczka lubi fantazyjne pre-
zerwatywy.

- Jeśli piśniesz choć słówko, ja opowiem mu, jak
w apartamencie dla nowożeńców zastałam cię z eks-
pedientką z butik. Kapaliście się w wannie na
golasa.

- Złotko, nic ci do moich spraw.

- Ani tobie do moich. Chodź, bo się spóźnimy
- dodała, biorąc walizkę i torbę z kamerą wideo.

Na dole w holu czekała cała rodzina. Żegnali
Stephena głośno i wylewnie jak to Dumontowie
mieli w zwyczaju a potem kochające ręce wepchnę-
ły go do mikrobus, w którym znajdowało się już
czterech pasażerów

Prowadził Claude. Ponieważ musiał odebrać gości z popołudniowego samolotu, towarzyszył szwagrowi aż do odlotu.

- Prowadzę, więc nie mogę pić, ale zapraszam cię do baru, postawię ci.

Stephen natychmiast się zgodził. Nie znosił czekania na lotnisku. Trochę alkoholu - to dobry pomysł.

- Poproszę szkocką. Z lodem - zamówił w barze.
- Ale najlepszego gatunku. Szwagier stawia.

Wódka była doskonała. Stephen wypił dwa kieliszki. Potem razem z Claude'em poszli do samolotu. Przed wejściem Claude wręczył szwagrowi pękata torbę z kamerą jako bagaż podręczny.

- Mogę pomóc? - spytała Stephena stewardesa.

- Nie trzeba! - warknął.

- Nie miałam na myśli... - Na twarzy młodej kobiety pojawiły się różowe wypieki.

- Przepraszam - załagodził. - Po prostu niepotrzebna mi pomoc.

Gdy dotarł na miejsce, niosąc torbę i podpierając się laską, brakło mu tchu, a skronie zrosił pot. Z ulgą opadł na fotel.

Stephen Dumont był słaby. Słaby jak kociak. Boże, jakie to nieznośne, jakie poniżające.

Stewardesa zaczęła obchód pasażerów w pierwszej klasie. Stephen poprosił o szkocką. Z lodem.

ROZDZIAŁ

2

- Czy wie pani, że rozpiętość skrzydeł Boeinga 747 jest większa od długości pierwszego lotu braci Wright?

Janet Granville odwróciła się ku mężczyźnie, który siedział obok. Był łysy, pulchny, uprzejmy i pachniał miętą. Nie wyglądał na playboya.

- Nie - odpowiedziała Janet. - Nie miałam pojęcia.

- W głowie się nie mieści, prawda?

- Tak - odparła mechanicznie. - Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że te cuda techniki nie potrafią wznieść się w powietrze zgodnie z rozkładem. Przynajmniej w naszym przypadku.

- Celna uwaga - zaśmiał się mężczyzna. - Niech pani sobie wyobrazi, opóźnienie w Miami z powodu śniegu.

Janet popatrzyła mimowolnie w okno. Przy długim budynku stały rzędy samolotów. Załogi załadowywały bądź wyładowywały bagaż. Pojazdy sunęły. Kręcili się mężczyźni w kombinezonach ze słuchawkami na uszach. Słońce odbijało się od betonu. Nigdzie ani płątka śniegu.

- Czekamy na pasażerów, którzy spóźnili się na połączenie w Atlancie z powodu śniegu na La Guardia.

Mogę się założyć, że wygrałbyś każdy teleturniej, pomyślała Janet. Ile tu jeszcze będziemy siedzieli? W kabinie robiło się bardzo duszno.

- Za chwilę powinien wylądować samolot z Atlanty i pasażerowie wejdą na pokład za jakieś dwadzieścia minut - wyjaśnił mężczyzna, jakby czytał w jej myślach.

- Jeszcze dwadzieścia minut - wymamrotała Janet.

Siedzieli w samolocie od pół godziny, a i tak weszli na pokład z czterdziestominutowym opóźnieniem. Janet czuła głód, było jej gorąco i ciasno na wąskim siedzeniu.

- Może nawet wcześniej, jeśli uda im się popędzić pasażerów. Czy to pani pierwsza podróż na Barbados?

- Mężczyzna uparcie kontynuował rozmowę.

Janet skinęła głową.

- To piękne miejsce - stwierdził. - Jeździmy tam co roku. Tym razem moja córka bierze tam ślub. Dlatego podróżuję sam. Żona poleciała z córką i jej narzeczonym, żeby wszystko przygotować. Pozostali goście dojadą w końcu tygodnia.

- Ślub na wyspie. - Janet poczuła ulgę, że towarzyszyć podróży nie ma zamiaru jej podrywać. - To brzmi niezwykle romantycznie.

- O, tak - przyznał. - Barbados to raj dla nowożeńców. Jak okiem sięgnąć same śluby i młode pary. Nie wiedziała pani o tym?

- Nie. Foldery nic o tym nie mówią. Tylko o słońcu i plażach.

- Jest tam pani z kimś umówiona?

- Owszem, byłam umówiona, ale tutaj, w Miami. Z moją najlepszą przyjaciółką z Minnesoty, gdzie się wychowywałam. Miałyśmy nadrobić lata rozłąki.

- A co się stało?

- Popsuł się jej samochód - wyjaśniła Janet. - Musiała wybierać: albo zapłacić niebotyczną sumę za naprawę starego, albo kupić sobie nowy. Pieniądze,

które wydałaby na podróż, postanowiła dołożyć do niebieskiego sportowego kabrioletu. Nie mogę zrozumieć, po co jej odsuwany dach w Minnesocie.

- Ale pani postanowiła polecieć na Barbados. Słuszna decyzja.

Janet przytaknęła, ale czuła wyrzuty sumienia.

- Moja przyjaciółka chciała, bym zwróciła bilet i przyjechała do niej, do Minnesoty, ale już dawno nie miałam prawdziwych wakacji, a poza tym gdy pomyślałam sobie o tych masach śniegu...

- Dobrze pani wybrała - poparł ją mężczyzna.

- Mieszkańcy Karaibów są bardzo uprzejmi. Od razu poczuje się pani jak u siebie w domu.

- Mam nadzieję.

Trudy liczyła na to, że jej przyjaciółka w samym środku zimy przyjedzie do Minnesoty, a przecież wiedziała, jak nie znosi ona śniegu. Nie mogła się spodziewać, że Janet będzie miała wyrzuty sumienia. Razem robiły plany wyprawy na Barbados i to właśnie Trudy wycofała się w ostatniej chwili. Janet musiała zapłacić za dwuosobowy bungalow.

Ciągle ta sama, myślała Janet, przyciskając czoło do okna. Kochała ją jak siostrę, ale egoizm Trudy zawsze ją irytował. Tym razem nie poddała się, nie zrezygnowała - jak zazwyczaj - z własnych pragnień. Pracowała usilnie, a teraz pragnęła się zabawić - wylegiwać na plaży, flirtować i, jeśli nadarzy się okazja, tańczyć w świetle księżyca. Nie miała ochoty jechać do Minnesoty i marznąć po drodze do klubów dla samotnych, gdzie Trudy z pewnością by ją zaciągnęła.

- Gdzie pani teraz mieszka? - odezwał się mężczyzna.

- Na Florydzie - odparła.

Mężczyzna gwizdnął.

- To zupełnie inne miejsce niż Minnesota. Ma pani tu rodzinę?

- Mamę, ciocię i wujka. Moi wujostwo całe lata mieszkali wśród śniegów, ale w końcu przenieśli się tutaj na dobre, a potem mama poszła w ich ślady.

- Ja pochodzę z Raleigh. Chyba brakowałoby mi pół roku, gdybym przeniósł się na południe. A pani nie tęskni za widokiem opadających jesienią liści?

- Owszem, ale łagodne zimy wszystko wynagradzają.

- Spodoba się pani na Barbados - orzekł mężczyzna i otworzył gazetę.

Janet zaczęła spoglądać przez okno.

Na odległym końcu lotniska wylądował właśnie samolot z Atlanty. Stephen wysiadł kuśtykając. Nogę miał obolałą i sztywną, a torba z kamerą wpijała mu się w ramię, jakby ważyła tonę. Jednemu z pracowników lotniska podał numer swego lotu na Barbados i ten wskazał mu wyjście, przy którym odprawiano pasażerów.

Stephen zrobił zaledwie parę kroków, gdy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Była to kobieta w uniformie linii lotniczych. Całkiem atrakcyjna.

- Przepraszam, proszę pana, ale chyba ma pan problemy. Mamy tu wózek...

Wózek? Stephen pomyślał przez chwilę. Czy chodzi o jeden z tych wózków golfowych, które, trąbiąc, jeżdżą po lotnisku i podwożą dzieci i inwalidów? O, nie!

- Dziękuję, świetnie daję sobie radę - odpowiedział.

Uszedł kilka kroków, gdy poczuł drugie dotknięcie, tym razem silniejsze. Odwrócił się. Kobieta ściągnęła posiłki. Stephen nachmurzył się, widząc energicznego młodego mężczyznę.

- Rozumiemy, że może pan iść sam - powiedział mężczyzna odchrząkując - i nie chcielibyśmy pana urazić, ale mamy instrukcje, by się śpieszyć. W samolocie już od godziny czekają pasażerowie i nie możemy opóźnić odlotu ani minuty ponad potrzebę. Jeśli zechciałby pan przystać na naszą propozycję...

Stephen miał dwie możliwości. Mógł bez szemrania wsiąść do pojazdu albo zrobić scenę. Niemal kuląc się z zakłopotania, wszedł na śmiesznie popiskujący wózek. Zajął miejsce między kobietą w ciąży a małym chłopcem, który miał przypięty duży znaczek UM, informujący, że jest „nieletnim bez towarzystwa dorosłych”.

Godzinę później, już w samolocie, gdy rozwożono posiłki, Stephen ciągle czuł upokorzenie. Do tej pory prawie nic nie jadł, ale w czasie przedłużającego się postoju na La Guardia wypił dwie szkockie, później dwa koktajle w drodze do Atlanty i jeszcze dwa podczas lotu do Miami. Teraz znowu zamówił szkocką, która wydawała mu się znacznie atrakcyjniejsza niż odgrzewane wykwentne dania. Miał nawet ochotę wziąć jeszcze jedną na deser.

Janet, siedząca w tylnej części samolotu, rzuciła się na zakąski jak osoba, która po pięciu dniach wędrówki powróciła właśnie z głębi puszczy. Dochodziła dziewiąta wieczór, a ona dzisiaj jadła tylko orzeszki w czasie poprzedniego lotu.

- Polubi pani kuchnię karaibską - powiedział mężczyzna, zauważywszy jej apetyt. - Ich specjalność to filety z latających ryb.

Po obfitym posiłku Janet skuliła się pod kocem i ucięła sobie drzemkę. Mężczyzna obudził ją, gdy za oknem zachodziło słońce - zachwycający widok nawet dla osoby mieszkającej na Florydzie.

Stephena zachód słońca w ogóle nie obchodził - nie miał nawet pojęcia, że nadszedł. Okna po jego stronie wychodziły na wschód, a poza tym wziął podwójną dawkę aspiryny, by uśmierzyć ból w nodze, i teraz buntował mu się żołądek. Stephen pochłoniął ostatnią szkocką w nadziei, że mu pomoże. Nie pomogła. Oparł się więc o zagłówek, zamknął oczy i usiłował zapomnieć o żołądku i bólu w nodze.

Odrzutowiec dotarł na Barbados kilka minut przed północą. Lotnisko spało. Punkty wymiany walut, sklepy bezcłowe i kioski z gazetami były zamknięte i sprawiały wrażenie opuszczonych. Choć do odprawy cudzoziemców przeznaczono sześć stanowisk, tylko w dwóch z nich siedzieli urzędnicy i pasażerowie uwięźli natychmiast w kolejce. Kręcili się niecierpliwie, narzekając na brak świeżego powietrza i toalet. Wszystko to czekało na nich po drugiej stronie przejścia.

W terminalu było gorąco i duszno. Janet czuła się okropnie, choć miała na sobie bluzkę bez rękawów i bawełnianą spódnicę. Już chciała poszukać w torbie gumki do związania włosów, gdy dostrzegła przed sobą szerokie muskularne plecy odziane w wełnę. Od razu poznała, że to kaszmir najlepszego gatunku. Zwykle zazdrościła osobom, które mogły sobie na niego pozwolić - teraz żal jej było turysty z północy. Nie był dostatecznie rozsądny, by ubrać się stosownie do końca podróży, a nie jej początku. Jeśli ten człowiek nie ma w walizce czegoś lżejszego, będzie musiał zaraz następnego dnia odwiedzić sklepy.

To nie będzie dla niego problemem, pomyślała Janet. Doszła do wniosku, że mężczyzna nie potrzebuje współczucia. Jeśli było go stać na kaszmirowy sweter, zakup tropikalnej odzieży nie nadszarpienie jego budżetu.

Spodnie również były wełniane. Szykowna węzłkowa wełna w kolorze grafitu gustownie dobranym do jasnoszarego swetra. Janet przesunęła wzrokiem po zgrabnych męskich biodrach opiętych ciemnoszarym materiałem. Potem, zainteresowana, podniosła oczy i podziwiała szerokie barki i kasztanowe włosy wijące się nad wykrochmalonym kołnierzykiem koszuli. Biedaczysko, na pewno miał nawet krawat.

Ukradkiem spojrzała na lewą rękę mężczyzny, by sprawdzić, czy ma obrączkę, gdy nagle zachwiał się i nerwowo próbował złapać równowagę. A przecież jego postura świadczyła raczej, że jest wysportowany.

Mężczyzna odwrócił się lekko i Janet dostrzegła laskę w jego prawej ręce. Zanim zdążyła się zastanowić, dlaczego używa laski, ujrzała jego twarz z profilu, twarz tak przystojną, że aż odbierało mowę. I wtedy Janet zauważyła warstewkę potu na bladym czole, nieregularny oddech i matową mgiełkę zasnuwającą brązowe oczy, które bez niej byłyby wspaniałe.

Wstawiony! - pomyślała. Jako bywalczyni klubów dla samotnych wiedziała, czym to grozi. Dawno już zrezygnowała z marzeń o księciu z bajki, ale nadal żywiła nadzieję, że gdzieś skacze sobie pocziwa żaba szukająca wiernej towarzyszki. Ale okazuje się, że nawet dobrze zapowiadające się żaby mają swoje brodawki. Ubrany w kaszmir, ale pijany jak bela.

Janet skrzyżowała ręce przed sobą i westchnęła. Oto jest na wakacjach i utknęła w ślamazarnej kolejce za przystojnym mężczyzną, którego musi spisać na straty, zanim zaczęła z nim rozmowę.

Kolejka posunęła się odrobinę i pijany przystojniak pokuśtykał naprzód, opierając się ciężko na lasce.

Janet przeniosła swoją torbę i zaczęła się zastanawiać. Piękny profil, szerokie ramiona i wspaniałe

biodra - więc musi być albo pijakiem, albo durniem. To się zawsze sprawdzało. Każda niezamężna kobieta między dwudziestym drugim a czterdziestym rokiem życia znała tę regułę. Janet postanowiła zapomnieć o tych sprawach, marząc o romantycznych wakacjach i tajemniczych mężczyznach.

Kilka minut później zaczęła się nie na żarty martwić o nieznanego. Poruszał się coraz chwiejniej, a na policzki wystąpiły mu ceglaste rumieńce. Od-dychał z trudem. Kręcone włosy nad kołnierzykiem były wilgotne.

Wewnętrzny głos podpowiadał Janet, że powinna coś zrobić. Przecież to, mimo wszystko, istota ludzka w trudnej sytuacji. A przecież pomaganie turystom w trudnych sytuacjach należało do jej zawodowych obowiązków. Robiła to od trzech lat w parku Disney World. Bywało, że nieodpowiednio ubranym turystom doradzała, co z siebie zdjąć, aby znieść upał panujący na Florydzie.

Ten mężczyzna miał problemy. Ktoś musi zdjąć mu sweter, rozluźnić krawat. To naturalny gest pomocy.

Już wyciągała dłoń w samarytańskim odruchu, gdy uświadomiła sobie, że jest na wakacjach. Przez cały tydzień będę aniołem stróżem tylko dla siebie, pomyślała.

Nie może zaczynać znajomości z tym mężczyzną z tysiąca różnych powodów. Wiedziała już, że pije. Mógł też być zboczeńcem. Przestępcą na międzynarodową skalę. Gorzej, mógł być żonaty. Albo rozwiedziony. Napastowany przez pięć zgorzkniałych eks-małżonek.

A co, jeśli jest cukrzykiem? Cukrzycy w szoku insulinowym sprawiają wrażenie pijanych. Ileż razy

powtarzano jej to na szkoleniach pierwszej pomocy? W tym nienagannym stroju nie wyglądał przecież na nałogowca. A jeśli nie był cukrzykiem? Jeśli był po prostu pijany? Jeśli jednak był cukrzykiem, mogło tu chodzić o jego życie.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i zachwiał się. Jego pobladła twarz była zroszona potem.

- Przepraszam pana... - Janet poklepała go po plecach.

Odwrócił się i spojrzał na nią szklanym wzrokiem. Zatoczył się i Janet bała się przez chwilę, że upadnie, przygniatając ją swym ciałem. Jednak natychmiast się wyprostował i oparł na lasce z grymasem bólu na twarzy.

- Strasznie tu gorąco - zagadnęła Janet z zawodową uprzejmością. Powiedziała to tak wesoło, jakby się znali od lat. - Zauważyłam, że ma pan na sobie wełniany sweter i musi być panu niewygodnie...

- Upał - wymamrotał.

- Może zdejmie pan sweter? - zasugerowała. Patrzył dalej szklanym wzrokiem i nic nie odpowiedział. - Ale najpierw trzeba pozbyć się tego. - Zsunęła skórzaną torbę z jego ramienia i ostrożnie postawiła ją na ziemi.

- Kamera - powiedział. - Nie mogłem jej oddać na bagaż.

- Nic jej się tu nie stanie - zapewniła Janet. - Zraz zdejmujemy ten sweter.

Ujęła sweter od dołu i ściągając go przez głowę mężczyzny, pomagała mu tak, jak wielokrotnie pomagała dzieciom. Podniósł posłusznie ręce. Boże, nie pozwól, by teraz posypały się torebki z kokainą, błagała. W ostatniej chwili przyszła jej do głowy myśl, że mężczyzna może być przemytnikiem i dlatego nie zdejmował swetra.

Ani śladu kokainy, tylko zapach wykwintnej wody toaletowej.

- Trochę lepiej, prawda? - spytała. - Zawiążemy rękawy wokół bioder, o, tak...

Czy wypadało zapytać go o to, czy jest cukrzykiem? Postanowiła sprawdzić - może miał bransoletkę lub łańcuszek z informacją.

- Zawiniemy rękawy. - Zaczęła manipulować spinką przy lewym mankiecie.

Stał posłusznie i spokojnie, gdy podwijała mu do łokci najpierw lewy rękaw koszuli, potem prawy.

Spinki do mankietów były złote z wygrawerowaną literą D. Nie miał natomiast bransoletki informacyjnej.

- Spinki wkładam panu do kieszeni. - Janet uniosła lewą rękę mężczyzny i przycisnęła ją do górnej kieszeni koszuli, żeby poczuł kształt spinek. - Nie zapomni pan?

Skinał ociężale głową.

- Lepiej się pan czuje?

Znów przytaknął, ale ciągle miał wypieki na policzkach.

- Może zdejmie pan krawat i odepnie kołnierzyk? - Będzie mogła zobaczyć, czy ma na szyi łańcuszek. - Chce pan, żebym panu pomogła?

- Pani jest bardzo miła. - Uśmiechnął się do niej krzywo, gdy poluźniła mu węzeł krawata.

Czy jej się wydawało, czy też spojrzał na nią z błyskiem inteligencji w zamglonych oczach?

- To należy do moich obowiązków - odparła automatycznie.

Mocowała się z guzikiem koszuli. Zapach wody toaletowej był teraz wyraźniejszy i wierzchem dłoni czuła jednodniowy zarost na podbródku. Pod nacis-

kiem jej palców jabłko Adama na szyi mężczyzny zdrzało jak spłoszony ptak. Janet uświadomiła sobie intymność tego, co robiła.

Nie można obojętnie udzielać pierwszej pomocy mężczyźnie, którego biodra są zachwycające, pomyślała. Poszukała łańcuszka na jego szyi. Nie nosił nic takiego. Odstąpiła kilka kroków, bo nieznamy nieoczekiwanie pobudził jej zmysły.

- Lepiej panu? - Zauważyła z ulgą, że jego twarz powoli nabiera normalnego kolorytu.

- Lepiej - odparł.

Nie potrafiła stwierdzić, czy odpowiada samodzielnie, czy po prostu powtarza mechanicznie po niej.

- Zadam panu teraz pytanie - powiedziała. - Proszę, żeby pan się skoncentrował. - Czyżby w jego mętnych oczach pojawił się błysk zrozumienia? - Czy jest pan cukrzykiem? Ma pan jakieś problemy ze zdrowiem, które mogły spowodować podobne oszołomienie?

Zaśmiał się głucho. Przybliżyła twarz do jego twarzy.

- Niech się pan skupi, proszę. Jest pan chory?

- Boli żołądek. Za dużo aspiryny - odrzekł.

- Ile? Ile pan wziął? - pytała niecierpliwie. Może przedawkował?

Wyciągnął cztery palce. Janet odetchnęła z ulgą. Ale czy to wszystko?

- Pił pan coś?

- Whisky.

- Och, na...

Nie dokończyła. Kolejka posunęła się naprzód. Mężczyzna pochylił się, by wziąć swą torbę, i omal nie upadł. Janet podtrzymała go, a potem pomogła umieścić ciężar na ramieniu. Przeszedł parę kroków o lasce,

przełożył laskę do lewej ręki i zaczął rozcierać sobie udo powyżej kolana.

- Boli pana noga? - zapytała widząc, że się skrzywił.

- Drobną dolegliwość - odrzekł. W jego głosie brzmiała, niezwykła jak na ten stan upojenia alkoholowego, gorycz.

Obrócił się w kierunku Janet i popatrzył jej prosto w twarz.

- Pani jest bardzo miła.

- Chyba już to przerabialiśmy - usiłowała go zniechęcić.

Na dziś koniec z dobrymi uczynkami. Pijackie spojrzenie stawało się lubieżne i Janet zrobiła się niespokojna. Było jej coraz bardziej gorąco.

Patrzył na nią taksująco.

- Nie jest pani przypadkiem kociakiem? - zastanowił się nieoczekiwanie ze szczególnym pijackim skupieniem, które ją rozśmieszyło.

- Nie - odparła, lekko odchrząkując.

- Mam tu spotkać tuziny kociaków w bikini - oznajmił.

- Powodzenia.

- Claire tak powiedziała.

- Czy Claire jest kociakiem?

A może to pożegnalny dowcip twojej żony? - pomyślała Janet.

- Claire to cierń w dupie.

- Och?!

- Tak samo jak Brigitte.

- Ma pan bardzo interesujące życie.

- Ale tu gorąco! - szarpnął kołnierzyk koszuli.

Janet wyjęła z torby czasopismo i zaczęła go nim wachlować.

- Pani jest bardzo miła - usłyszała.

Znowu! Zniecierpliwiona wzniosła oczy do góry.

- Strasznie gorąco - powtórzył.

- Mam jeszcze coś, co może pomóc.

Nie ruszała się nigdzie bez chusteczek orzeźwiających. Trzymała je zawsze w kieszeni munduru i używała do wycierania upačkanych lodami rączek, ale również w innych nagłych wypadkach - na przykład do chłodzenia czoła turystom nienawykłym do florydzkiego upału. Teraz wyjęła z torebki jedną z takich chusteczek.

Gorzki zapach orzecha czarnoksięskiego ożywił duszne powietrze. Janet zaczęła wycierać mężczyźnie twarz, a on poddawał się temu posłusznie, skłaniając głowę na prawo i lewo. Jak kot, który chce, by drapać go po szyi. Brakuje jeszcze tylko tego, żeby zaczął mruczeć. Już nie brakuje, pomyślała, słysząc zmysłowe dźwięki wydobywające się z jego gardła. Nagle cofnęła rękę z chusteczką i z ulgą stwierdziła, że kolejka posuwa się naprzód.

Znaleźli się tak blisko biurka urzędnika, że słysząc było, jak rozmawia z turystami. Janet wyjęła z torebki dokumenty i złożyła je razem z biletem lotniczym.

Odruchowo chciała pomóc nieznanemu poszukać dokumentów, ale się powstrzymała. Nie będzie pracowała w czasie wakacji. I nie wydaje się, żeby ten człowiek miał natychmiast zemdleć. Może się sam o siebie zatroszczyć i znaleźć swoje papiery.

Jednak nie było to takie proste. Dopiero po wielokrotnych zachętach i ponagleniach urzędnika wydobył wreszcie swój kanadyjski paszport.

- Gdzie się pan zatrzyma na Barbados? - spytał urzędnik, biorąc paszport i bilet lotniczy.

- Baseny - odparł mężczyzna.

Janet, słysząc tę mętą odpowiedź, uśmiechnęła się. Urzędnik powtórzył pytanie.

- Siedem basenów - sprecyzował mężczyzna.
- Hotel Rockley? - spytał urzędnik domyślnie.
- Tak jest, Rockley - potwierdził mężczyzna.

Rockley, to tam, gdzie ja się zatrzymuję. Do diabła! - pomyślała Janet. Co to jest? Przeznaczenie? Zbieg okoliczności?

Urzędnik życzył przyjemnego pobytu i wskazał na salę, gdzie należało odebrać bagaż. Mężczyzna odszedł od biurka, niezgrabnie podpierając się laską i taszcząc na ramieniu ciężką torbę z kamerą. Janet miała wrażenie, że nie będzie w stanie poradzić sobie z tym wszystkim: z walizką, kamerą i laską.

Załatwiła już formalności, a tamten nadal stał zdeorientowany pośrodku sali, jakby nie pamiętając, gdzie jest i co tu robi. Janet westchnęła zrezygnowana. To chyba przeznaczenie. Kismet. A może karman? Przynajmniej tyle może zrobić jeden człowiek dla drugiego. Janet wyobraziła sobie, że jest w Krainie Magii i musi się zająć jeszcze jednym turystą, który ma już kłopoty.

Podeszła do niego, wzięła go pod łokieć i powiedziała:

- Chodź, Kanadyjczyku. Bagaż odbiera się tam.

ROZDZIAŁ

3

- Wypatruje pan kociaków?

Oczy mężczyzny były skryte za ciemnymi, bardzo drogimi okularami, ale odsłonięta część jego twarzy świadczyła, że ma kaca.

Nim odpowiedział, patrzył chwilę prosto na nią przez ciemne szkła.

- Pani istnieje? Już byłem przekonany, że wyśniłem panią w moich pijackich majakach.

- W roli anioła stróża? - spytała Janet.

- Coś w tym rodzaju. - Uniósł się z krzesła. - Proszę, niech pani siada. Pozwoli pani, że zamówię coś do picia w podziękę za to, co dla mnie pani zrobiła. Jeśli pamięć mnie nie myli, mógłbym się dziś rano obudzić w jakimś ciemnym zaułku, gdyby nie pani pomoc.

Stephen z galanterią odsunął dla Janet krzesło. Gdy usiadła, przywołał kelnera.

- Co sobie pani życzy?

- Poproszę niskokaloryczną colę - odparła. - Trochę za wcześnie dla mnie na koktajle.

Mimowolnie popatrzyła na wysoką szklanekę stojącą na stoliku i zaczęła się zastanawiać, czy nie kontynuuje tej znajomości zbyt pochopnie.

- Sok pomidorowy z jakimś miętowym dodatkiem.

- Stephen jakby czytał w jej myślach. - Napój cał-

kowicie niewinny. Nie należę do tych, którzy wyznają teorię „klin klinem”.

- Czy mały biały kotek zbyt głośno stapał po wielkim puszystym dywanie? - spytała.

Stephen odstawił energicznie szklanekę.

- W głowie mi huczy, jakbym spędził noc obok pracującego młota pneumatycznego.

- Aż tak źle? - Janet bezskutecznie starała się, by zabrzmiało to współczująco.

- Nawet gorzej - burknął, zirytowany jej miną typu „mogłam się tego spodziewać”. Rzadko musiał się przed kimkolwiek tłumaczyć, a teraz czuł potrzebę usprawiedliwiania się przed niemal obcą osobą. Z goryczą stwierdził, że swej własnej głupocie zawdzięcza tę nieprzyjemną sytuację.

Zapadło milczenie, które przerwał kelner, przynosząc colę. Janet ujęła wysoką szklanekę i upiła trochę, zadowolona, że może się czymś zająć.

- Długo zatrzyma się pan na Barbadosie?

- Do poniedziałku.

- Będzie pan zatem bardzo zajęty. Ani chwili do stracenia. Sześć dni... to oznacza po dwa dziennie.

Uniósł pytająco brwi ponad ciemnymi okularami.

- Kociaki - wyjaśniła. - Mówił pan, że musi znaleźć ich tuzin.

- Rzeczywiście wygadywałem takie bzdury?

- Jak najbardziej - zapewniła. - Był pan chyba rozczarowany, stwierdziwszy, że ja się do nich nie zaliczam.

- Bogu dzięki za tę małą przysługę - wymamrotał pod nosem.

- Z pewnością bardziej się panu poszczęści na plaży - zasugerowała Janet, rozglądając się po pustym prawie tarasie.

Goście zjedli śniadanie i zniknęli, a na pobliskim basenie, od którego odbijało się słońce, nie było nikogo.

- Nie jestem w nastroju do polowania na kociaki.

- Claire będzie rozczarowana.

- Czyżbym wspominał Claire? - skrzywił się Stephen.

- Brigitte również.

- Moje siostry - jęknął. - Czy wspominałem o tym, że śpiewają?

Janet potrząsnęła głową.

- Bogu dzięki i za to. Zdaje się, że zeszłej nocy byłem dość gadatliwy.

- Porównał je pan do kolców czy też cierni, które utkwily w niewygodnym miejscu.

- Zasluguja na kazde slowo, jakie o nich powiedzialem.

- Szkoda, że nie jesteśmy na Haiti. Mógłby się pan zaopatrzyć w parę lalek woodoo.

Stephen westchnął.

- Chyba mimo wszystko nie zasluguja na taka karę. Claire i Brigitte chcą zawsze dobrze, ale... - zaczerpnął powietrza - nie lubię, jak się mnie do czegoś zmusza.

Mogłabym przysiąc, że nie lubisz, pomyślała Janet, przyglądając mu się sponad szklanki.

- A pani? Czy ma pani braci, którym ciosa pani kołki na głowie pod pretekstem, że wie pani, co jest dla nich dobre?

- Niestety, nie mam braci.

Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Ale gdyby pani miała, nie zmuszałaby ich pani do niczego, prawda? Jest pani zbyt miła.

- Poruszaliśmy ten temat zeszłej nocy. - Janet usiłowała nie zwracać uwagi na to, że na widok jego uśmiechu czuła skurcz w żołądku i mrowienie na karku.

- A czy także przedstawiliśmy się sobie?

- Niezupełnie. Ja mam jednak tę przewagę, że widziałam pański paszport, gdy przechodził pan przez kontrolę, panie Dumont.

- A pani jak się nazywa?

- Janet Granville - podała mu rękę przez stół.

Przyglądał się jej dłoni przez chwilę, nim ujął ją i energicznie uściśnął.

- A więc, Janet, czy gadając tyle zeszłej nocy, wyraziłem swe podziękowania za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś?

- Chyba ostatnie twoje słowo, zanim zemdlałeś, brzmiało „dziękuję”.

- Chciałbym to teraz powtórzyć, tym razem z pełną świadomością. Obudziłem się we właściwym łóżku, we właściwym hotelu, a mój bagaż był nietknięty. Jestem bardzo zobowiązany.

- To zwykła uprzejmość - bagatelizowała Janet.

- Ale to nie ty mnie rozbierałaś? - uśmiechnął się do niej chytrze.

- Nie. Recepcjonista.

- W twojej obecności?

- Nalegał, by ktoś był świadkiem. Nie chciałby być potem oskarżony o obrabowanie nieprzytomnego gościa. A ponieważ wyglądało na to, że jestem za ciebie odpowiedzialna...

- No, no...

- Gdybym się nie zgodziła, pozostałbyś przez całą noc w tych wełnianych spodniach.

- A więc taki anioł stróż jak ty...

- Wykazałam miłosierdzie - dokończyła. - Ale nie obawiaj się, jestem niezwykle dyskretna. Nikomu nie powiem ani słowa o twoich niebieściutkich gatkach.

- Co za spostrzegawcza, a przy tym litościwa dama!

Z pobliskiego pnącza sfrunął żółty ptak, niewiele większy od motyla, i usiadł na stole, dziobiąc okruszki.

- Ale odważny. - Stephen patrzył z niedowierzaniem na ptaka.

- Widziałam jednego przy śniadaniu. Usiłował dobrać się do powideł. Słyszałam, że zapuszczają się nawet do pokoju, jeśli okno jest otwarte.

- Będzie o czym pisać do domu - zauważył Stephen z przekąsem.

- W sklepiku za rogiem widziałam pocztówki z tymi żółtymi ptakami.

- Nie będę się trudził. Jestem tu pod przymusem. Mam zamiar posłać moi siostrom najbrzydszą, najmniej gustowną, najzłośliwszą pocztówkę, jaką znajdę na całej wyspie.

Janet obroniła swój napój przed żółtym ptakiem, dopiła resztę i postawiła szklanekę na stole.

- Muszę już iść - stwierdziła, przewieszając torebkę przez ramię.

- Na wycieczkę?

- Chcę się po prostu oddać typowo materialistycznemu zajęciu. Słyszałam, że w Bridgetown można zrobić pierwszorzędne zakupy. Mam zamiar wachać perfumy i zważyć w dłoni kryształ w sklepie wolnocłowym. Poudaję trochę, że jestem bogatą Amerykanką szukającą taniej okazji. Jeśli znajdę jakąś naprawdę ohydną pocztówkę, zostawię ci w recepcji - dodała, patrząc na niego przelotnie.

- W recepcji? Nie wręczysz jej osobiście?

- Moja uprzejmość nie obejmuje dostawy do domu - powiedziała Janet. - Ponadto będziesz chyba zbyt zajęty poszukiwaniami, by siedzieć w pokoju.

- Poszukiwaniami?

- Tuzina kociaków w bikini - przypomniała mu.

- Sądzę, że będziesz polował na plaży.

- Złośliwe pocztówki to i tak za duża uprzejmość - gderał Stephen. - Powinienem wrócić do domu i udusić je obie.

- Claire i Brigitte?
- A kogo by jeszcze?

Janet, niewiele myśląc, położyła rękę na jego dłoni.

- Skończ ten sok. Poczujesz się lepiej. Wzięłeś coś na ból głowy?

- Coś bardzo mocnego - odparł. Nieoczekiwanie przykrył ręką jej dłoń. - Jesteś naprawdę bardzo miła.

Janet uśmiechnęła się miękko.

- Mam nieodparte wrażenie, że to wszystko już było. - Wstała, wycofując ostrożnie rękę. - Będę wy-patrywała brzydkich kartek.

Stephen mógł teraz obserwować całą jej sylwetkę. Jej figura może nie zapierała tchu w piersiach, ale, podobnie jak twarz, mogła się podobać.

Patrzył w ślad za nią, aż zniknęła za rogiem. Wtedy wróciła mu świadomość dotkliwego bólu głowy. Był upały i szew na nodze, osłoniętej wykrochmalonymi bawełnianymi spodniami, zaczął mu dokuczać tak bardzo jak wtedy, gdy noga była jeszcze w gipsie. Nawet sok pomidorowy stał się ciepły i smakował jak lekarstwo. Stephenowi przeszkadzał miętowy zapach, odsunął więc szklankę na środek stolika.

Oparł łokcie na blacie, podbródek złożył na zwiniętej w pięść dłoni i westchnął zrezygnowany. Uświadomił sobie, że te kilka minut spędzone w towarzystwie Janet Granville mogą być jedynym jaśniejszym momentem w ciągu przymusowych tygodniowych wakacji. Bardzo atrakcyjna jest ta Dobra Samarytanka, pomyślał. Szkoda, że gdy się po raz pierwszy spotkali, był pijany, gdy leżał przed nią prawie nago - nieprzytomny, a gdy dziękował jej za przysługę - miał kaca. Pomyślał sobie, jakie to na niej wywarło wrażenie, i głowa rozbolała go jeszcze bardziej.

Żółty ptak przysiadł na brzegu szklanki, zanurzając w niej dziób.

- Rozczarujesz się bardzo, mój przyjacielu - ostrzegł go Stephen, ale ptak był uparty. Kiedy jednak posmakował miętowego syropu, spojrzął ukosem na Stephena i zaświergotał niezadowolony. - Uprowadzałem cię - powiedział Stephen, wzruszając ramionami.

Poczuł duchową więź z tym ptakiem - jemu samemu też życie nie wydawało się szczególnie nęcące. Był w złej kondycji fizycznej i psychicznej. Odcięty od swego zwykłego środowiska i codziennych obowiązków, uważał nagłą swobodę i bezczynność za irytujące. W pensjonacie Dumont był zawsze otoczony przez najbliższą rodzinę i tę dalszą - gości. Tutaj czuł się samotny.

Na kilka minut Janet Granville pozwoliła mu o tym zapomnieć, ale teraz poszła sobie.

Doszedł do jedynie słusznego wniosku, że powinien zacząć coś robić. Miał tkwić w tym tropikalnym rajku przez tydzień, czy mu się to podobało, czy nie. W takim razie warto zdobyć się na wysiłek i trochę umilić sobie pobyt.

Atrakcyjna Murzynka w recepcji przedstawiła mu wiele ofert, ale żadna nie przypadła mu go gustu. Wszystkie formy rozrywki wymagały zbyt dużej aktywności.

- Mamy jeszcze całodniową wycieczkę autokarową? Może spróbowałyby pan w piątek?

- Tak. Może tak.

Hostessa dzwoniła gdzieś, wreszcie dała Stephenowi numer rezerwacji i opisała mu, gdzie i kiedy ma czekać na autokar.

- Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

- To już wszystko, chyba że potrafi pani obniżyć trochę temperaturę. O jakieś pięć stopni.

Zaśmiała się.

- Niestety, ale doradzam zmianę stroju, panie Dumont. Szorty albo spodenki. Blisko plaży jest dużo sklepów. Można też pojechać do Bridgetown.

Bridgetown. Właśnie tam Janet buszuje w sklepach z perfumami i kryształami.

- Jak się tam dostać? - spytał.

- Przed pensjonatem jest przystanek autobusowy, ale może pan pojechać też taksówką.

Jazda taksówką, potem kilka kroków piechotą i Stephen znalazł się w domu towarowym o nazwie Cave Shepherd. Czuł zażenowanie, że wystawi na widok publiczny swoją okaleczoną nogę, ale nie mógł znieść myśli o całym tygodniu w długich spodniach, a gojąca się rana cały czas swędziała.

Bez trudu znalazł dział z odzieżą męską i zaczął przebierać w bawełnianych szortach, odrzucając te najbardziej wzorzyste. Znalazł dwie pary, jedną w kolorze khaki, drugą białą, i podszedł do kasy.

Już miał płacić, kiedy dostrzegł Janet Granville, która, trzymając w ręce kilka plastikowych toreb z zakupami, zjeżdżała ruchomymi schodami z wyższego piętra. Jeśli Stephen dotychczas nie był pewien, po co tak naprawdę wybrał się do Bridgetown, teraz zniknęły wszelkie wątpliwości. Dziewczyna podążyła głównym przejściem do działu perfumeryjnego. Tam wybrała jeden z flakoników i zaczęła czytać etykietkę.

- Znalazłaś jakąś nadzwyczajną okazję? - zapytał, podchodząc do niej.

- Stephen? - była wyraźnie zaskoczona. - Cześć - uśmiechnęła się szeroko.

- Widzę, że gospodarka Barbadosu otrzymała od ciebie poważny zastrzyk - wskazał głową na torby z zakupami.

- A ty? Kupujesz to? - spytała, patrząc na szorty w jego ręce.

- Upodabnam się do tubylców.

- To rozsądny krok. W swoim kanadyjskim ubraniu mógłbyś się ugotować.

- Albo byłaś tu już przedtem, albo starannie odrobiłaś lekcję. - Spoglądał na nią i podziwiał to, co zostało odsłonięte. - Już stałaś się tubylcem.

- Jestem tubylcem. Nie z Barbadosu - wyjaśniła - ale z Florydy.

- Z Florydy? - powtórzył zdziwiony.

- Tak. Z Florydy. Wiesz, piękne plaże, osiedla dla emerytów, przylądek Canaveral, Disney World. Klimat nie jest tam tak stały jak tutaj, ale podobny.

- W takim razie co tu robisz? Musisz się czuć jak w domu.

- To długa historia - odparła Janet. - Wszystko zaczęło się od tego, że nienawidzę śniegu.

Stephenowi, zapalonemu narciarzowi, coś podobnego nie mieściło się w głowie.

- Jak można nienawidzić śniegu?

- Och, to proste, gdy miało go się powyżej uszu - zapewniła Janet. - A ty? Chyba przyjechałeś tu, żeby uciec od kanadyjskiej zimy?

- Jestem tutaj - odpowiedział, cedząc słowa - bo Claire i Brigitte ośmieszyły mnie publicznie, a potem podstępem wsadziły do samolotu.

- Żebyś mógł znaleźć tuzin kociaków w bikini?

- Tak. Brigitte nawet... - przerwał. Nie wspomniał o prezencie w kosmetyczce.

- Nawet? - zachęcała go Janet.

- Nie chciałybyś o tym wiedzieć - westchnął.
- Musimy wymienić się naszymi opowieściami - stwierdziła Janet. - Moja jest dość długa, ale twoja jest chyba znacznie bardziej interesująca.

- Zapłacę tylko za to, a potem sobie gdzieś usiądziemy. Może wypijemy kawę?

- Widziałam barek na górze.

Janet zamiast kawy zamówiła wielosmakowe lody. Spróbowała pistacjowego i westchnęła z zachwytem.

- Dobre? - spytał Stephen.

- Boskie!

- Powiedz mi, jak ktoś, kto uwielbia lody, może nie lubić śniegu?

- To nie ma ze sobą nic wspólnego - odparła.

- Lody to zmysłowa rozkosz, a śnieg to... - wciągnęła głęboko powietrze - śnieg jest przerażający.

- Miałaś jakieś złe doświadczenia?

- Nawet dużo - odparła. - Wychowałam się w Minnesocie i mogę powiedzieć, że śnieg zawsze mnie prześladował. Większość z tych złych doświadczeń to w zasadzie tylko pewne niewygody: padało podczas jakichś specjalnych okazji albo trzeba było z powodu śniegu zmieniać plany, na przykład odwoływać przyjęcie urodzinowe.

Stephen zastanowił się, jak jego siostrzenica Jennifer radzi sobie w podobnych okolicznościach.

- Musiało krwawić ci serce - zauważył.

- Jakoś to przeżyłam. Mieszkaliśmy w Minnesocie i zamiecie były częścią naszego życia. Dopiero w zeszłym roku uświadomiłam sobie, jak nie znoszę śniegu. Zawsze wydawało mi się, że nie mam wyboru. Od pewnego czasu moi wujostwo co roku na zimę wyjeżdżali na południe, a gdy w kwietniu wracali, my wszyscy wyglądaliśmy przy nich jak dzieci młynarza.

Janet nabrała następną łyżeczkę lodów.

- Chciałaś więc przenieść się na Florydę, by nie wyglądać jak córka młynarza - domyślił się Stephen.

- To nie było aż tak proste. Moi wujostwo przeprowadzili się na Florydę na stałe. Potem nieoczekiwanie zmarł mój ojciec i mama pojechała do nich na zimę.

- Pojechałaś razem z nią?

- Początkowo tylko w odwiedziny. Po ukończeniu college'u dostałam w Minnesocie dobrą pracę i nie bardzo chciałam z niej zrezygnować. Ponadto miałam chłopaka i kilku dobrych przyjaciół. Zwłaszcza jedną przyjaciółkę - Trudy. Znałyśmy się od szkoły podstawowej. Wynajmowałyśmy miłe mieszkanie. Urządziliśmy je po swojemu. Czułyśmy się dorosłe i niezależne.

- Jeśli nie liczyć tego, że w zimie zamieniałyście się w córki młynarza - zażartował Stephen.

Janet nie było jednak do śmiechu.

- Jeśli nie liczyć tego, że pewnego razu Trudy zachorowała na gripę. Gdy wróciłam z pracy, miała wysoką gorączkę. W domu nie było nic do jedzenia. Nic do picia. Żadnego lekarstwa przeciw gorączce - westchnęła. - Wiedziałam, że zbiera się na zamieć, ale sądziłam, że zdążę dojechać do sklepu. Nie założyłam nawet łańcuchów na opony, bo nie chciałam tracić czasu.

Znowu westchnęła, nabrała trochę lodów. Stephen czuł, jak niechętnie to wszystko wspomina.

- Gdy wracałam, w połowie drogi mój samochód ześlizgnął się z szosy w zaspę - przerwała na chwilę, przyglądając się topniejącym na talerzyku lodom. - Znalezione mnie po osiemnastu godzinach. Nie byłam pewna, czy w ogóle kiedykolwiek mnie odnajdą. W samochodzie miałam koc, ale nie byłam ciepło

ubrana. Ser i puszki z zupą włożyłam pod sweter, by nie zamarły, bo mogłam ich potrzebować. I cały czas bardzo niepokoiłam się o Trudy, o to, że jest tak strasznie chora, a nie ma nic do jedzenia i nikt się nią nie zajmuje.

Popatrzyła na Stephen'a.

- Czekałam na pomoc i przysięgałam sobie, że jeśli wyjdę żywa z tego samochodu, pojadę tam, gdzie nigdy nie bywa zimno i gdzie nie będę widziała ani jednego płatka śniegu. Tak też zrobiłam. Dlatego gdy z Trudy postanowiłyśmy pojechać na wakacje, wybrałyśmy Barbados.

- A więc ona przeżyła tę grypę?

- Trudy wszystko przeżyje - stwierdziła Janet ironicznie. - Jest jak kot: zawsze spada na cztery łapy. Gdy ja tkwiłam w zaspie, zamartwiając się, ją pielęgnował sąsiad, który zaszedł do nas, by zapytać, czy mamy świece na wypadek, gdyby wysiadł prąd w czasie burzy. Sąsiad był, oczywiście, wspaniałym mężczyzną.

- Czy ona tu przyjedzie?

Janet wzruszyła ramionami.

- To jeszcze jedna historyjka w stylu Trudy. Samochód jej nawalił, więc pieniądze, które miała wydać na wakacje, dołożyła do kupna lepszego samochodu. Chciała, bym przyjechała do niej, do Minnesoty, ale powiedziałam: serdeczne dzięki. Teraz wiesz, jak trafiłam na Barbados - dodała ze śmiechem. - A ty?

Opowiedział jej o pensjonacie Dumont, o swoim haniebnym upadku na nartach, okropnych tygodniach spędzonych na wózku inwalidzkim, przedstawieniu rodzinnym i pomyśle sióstr, by wysłać go na wakacje.

- Twoje siostry muszą być bardzo miłe.

- Prawdziwe lisice - odparł. - Moje siostrzenice rosna na takie same spryciary.

Janet uśmiechnęła się, bo każde słowo Stephena świadczyło o jego miłości do rodziny.

- Czy ciągle boli cię noga? - spytała po chwili.

- Da się wytrzymać.

- W taki sposób, jak wytrzymywałeś w samolocie? Aspiryna plus whisky?

- Nie przypominaj mi o tamtym wariactwie. Do tej pory się rumienię. - Zamilkł na chwilę. - Ubiegła noc... To dla mnie nietypowe. W samolocie cały czas bolała mnie noga, więc zamawiałem kolejne drinki, a potem wsadzili mnie na taki śmieszny wózek i... - Czekał, aż Janet coś powie, ale milczała. - Wierzysz mi, prawda?

- Jaki śmieszny wózek? - spytała.

- Jeden z tych idiotycznych wózków, którymi podwożą dzieci i inwalidów.

- Kiedy wsadzili cię na ten wózek?

- W Miami. Nasz samolot się spóźnił, ja niezbyt pewnie szedłem o własnych siłach i obsługa myślała, że na wózku będzie szybciej. Posadzili mnie między kobietą w ciąży i jakimś malcem, a ten cholerny wózek jechał przez lotnisko i piszcział bii, bii, biip.

Janet zachichotała, wyobrażając sobie wysportowanego mężczyznę potraktowanego w taki sposób. Mówił z lekkim akcentem francuskim, co dodawało uroku jego opowieści.

- To było prawie tak upokarzające, jak przedstawienie rodzinne, kiedy moje siostry śpiewały o „kociakach w bikini”.

- Biedaczysko - powiedziała Janet współczująco, tłumiając chichot.

To żartobliwe współczucie podziałało na Stephena kojąco.

- Musisz jeszcze coś kupić? - zapytał, gdy dopił kawę.

- Nie, ale widziałam pocztówki, które mogą ci odpowiadać. Chcesz, żebym cię zaprowadziła? Chyba że masz zamiar coś jeszcze kupować...

- Tak i nie. To jest, chcę zobaczyć pocztówki i nie mam zamiaru nic już kupować - wyjaśnił. - Chodźmy.

ROZDZIAŁ

4

Sklep z pocztówkami znajdował się przy małym handlowym zaułku kilka przecznic za domem towarowym. Miał nie więcej niż półtora metra szerokości, ale za to był długi.

Niektóre pocztówki przedstawiały barwne reprodukcje dzieł malarskich, na innych w komiksowej formie oddano uroki wyspy, jeszcze inne były udziwnionymi fotografiami. Ich poziom artystyczny był bardzo różny.

- Co myślisz o tej? - spytał Stephen.

Janet przyjrzała się kartce, którą trzymał w ręku. Latającą rybę, specjalność Barbadosu, przedstawiono jako samolot odrzutowy z napisem na kadłubie „Przyśmak Karaibów”. Cały rysunek wyglądał niedorzecznie i ohydnie.

- Gdybym coś podobnego zobaczyła na swoim talerzu, natychmiast przerwałabym wakacje i wróciła do domu! - stwierdziła Janet.

- Świetnie! Wyślę ją zatem Claire. Brigitte dostanie tancerza *limbo*. Zasłużyła sobie na to.

- Jesteś całkowicie pewien, że chcesz posłać tę pocztówkę z tancerzem międzynarodową pocztą?

Tancerz, krzepki mężczyzna, sfotografowany był od przodu przez znajdujący się przy ziemi obiektyw.

Ten szczególny punkt widzenia eksponował wypukłości między nogawkami jego spodni. Gdy Janet sama odwiedziła poprzednio sklep, odczuła zażenowanie na widok tej pocztówki i teraz również się zaczerwieniła.

- Twoim siostrom bardzo na tobie zależy.

- Mnie też na nich bardzo zależy. - Stephen zaśmiał się diabolicznie. - Wysyłam im przecież kartki pocztowe.

- Taka troskliwość może ci zapewnić tytuł Najlepszego Brata Roku - mruknęła Janet.

Zapłacił za pocztówki i opuścili sklep.

- Przy następnej przecznicy jest postój taksówek - powiedział Stephen. - Chcesz już wracać do hotelu?

- Tak, ale... Nie warto płacić za taksówkę, jeśli pod sam hotel podjeżdża autobus.

Mógłby podać jej masę powodów, dla których warto jednak wziąć taksówkę - najważniejszy z nich to wygodna jazda. Zanim jednak zdołał je wyłuszczyć, Janet powiedziała:

- Jaki sens miałyby podróże, jeśliby się człowiek nie stykał z miejscowymi ludźmi?

Na taki argument Stephen nie potrafił od razu odpowiedzieć.

- Chodź - powiedziała, ujmując go pod łokieć i prowadząc w przeciwnym kierunku. - Jechałam autobusem w stronę miasta i była to wielka frajda. Kierowca puszczał utwory rockowe w stylu calypso. Nie chciałbyś zobaczyć, jak ubierają się prawdziwi mieszkańcy Barbadosu i posłuchać ich rozmów?

- Podśłuchiwać rozmowy? Nie podejrzewałbym o to tak miłej osoby jak ty.

- To nie jest jakieś niegodziwe podśuchiwanie. To sposób kontaktu z ludźmi. Można się dowiedzieć, co myślą, jakie mają kłopoty, co ich emocjonuje, czym się interesują.

- Rozumiem.

Janet przystanąła w pół kroku i popatrzyła na Stephen'a.

- Doprawdy? - spytała z powątpiewaniem.

- Łatwo się zorientować, co stało się twoją pasją. Oczywiście pomaganie ludziom. Mogę się założyć, że postępujesz podobnie do niektórych dzieci przynoszących do domu bezpańskie kocięta czy szczeniaki.

- Przesunął palcem po policzku Janet.

- Nie, ja...

- Dołączyłaś mnie do swego zbioru - stwierdził.

- Nikt inny nie przyszedł mi z pomocą.

- Myślałam, że zapadasz w śpiączkę cukrzycową

- wyjaśniła i ruszyła przed siebie.

Stephen szedł za nią. Złorzeczył pod nosem, a twarz wykrzywił mu grymas bólu, ale Janet tego nie dostrzegała.

- To przecież nie zbrodnia, gdy ktoś się zatroszczy o drugiego człowieka - wypaliła, przystając nagle.

- Wcale tak nie twierdziłem. - Skrzywił się, gdy równie nagle musiał się przy niej zatrzymać.

- Boli cię noga?

- Przed wyjazdem z hotelu wzięłem aspirynę. Chyba już przestała działać.

Janet zaczęła grzebać w torebce.

- Mam kilka tabletek. Na straganie możemy kupić coś do popicia.

Wyjęła dużą fiolkę i podała mu.

- Gdybym potrzebował syropu na kaszel, na pewno byś go wyciągnęła.

- Gdybyś rzeczywiście rozpaczliwie potrzebował syropu na kaszel - powiedziała cierpko - poszłabym do apteki.

Pocałował ją w czoło i uśmiechnął się ujmująco.

- Jaka pani słodka, pani Granville.

- Słodka? Jak to: słodka?

- Jak cukierek - zapewnił ją.

- Chyba nie chciałabym być „słodka jak cukierek”.
- Nie obrażaj się. Być słodkim to nie hańba.

Powiedziałem ci komplement.

- Wolałabym raczej być „kociakiem” niż cukierkiem.

- Czy to znaczy, że zobaczę cię w kostiumie bikini?

Doszli do straganów i zatrzymali się obok starszej Murzynki oferującej napoje i soki owocowe. Szeroki uśmiech pogłębił bruzdy i zmarszczki na jej spieczonej słońcem twarzy, gdy Stephen odliczał barbadoskie dolary i płacił za napoje. A gdy poprosił kobietę, by zachowała resztę, roześmiała się głośno.

- Dzinkuje, pan - powiedziała, wkładając banknoty do kieszeni. - Dobrze się pan bawić na nasz wyspa.

- Postaramy się. - Stephen, rozbawiony, spojrzał z ukosa na Janet.

- Pan tańczyć *limbo!* - Murzynka pochyliła się i z zaskakującą energią poruszyła biodrami.

- *Limbo* nie dla mnie w czasie tych wakacji. - Stephen wskazał głową na swą laskę.

- To będzie pan piepierzyć. - Kobieta poklepała go porozumiewawczo po ramieniu.

- Piepierzyć? - nie zrozumiał Stephen.

- Piepierzyć - powtórzyła szybko kobieta, jakby nie mogła uwierzyć, że potrzebne są tu jakiegokolwiek wyjaśnienia. - Nie przejmować się, pan. Stać w cieniu i patrzeć wszystko.

- Chyba będę piepierzyć - zgodził się Stephen.

- Ma zamiar piepierzyć na plaży i szukać kociaków w bikini - dodała Janet.

Murzynka odrzuciła w tył głowę, spojrzała porozumiewawczo na Stephena i zaśmiała się.

- Tak, pan.

- Dziękuję bardzo - powiedział Stephen, gdy odchodzili od wózka.

- Po prostu chciała być słodka - skomentowała Janet. - Zażyj aspirynę - poleciła.

W pobliżu nie było żadnych ławek, weszli więc w cień pod markizę jednego ze sklepów i Stephen popił proszek sokiem.

- Bardzo cię boli? - spytała Janet.

- Myślę, że aspiryna pomoże - odparł beztrąsko.

- Po zdjęciu gipsu noga jest po prostu sztywna - dodał, widząc zatroskaną minę dziewczyny. - Rozchodzę ją trochę i będzie jak nowa.

Ale nie taka jak przedtem, pomyślał gorzko. Czerwony ślad po szwie chirurgicznym zblednie po pewym czasie, ale blizna pozostanie i będzie mi przypominać, że jestem śmiertelny.

- Powinniśmy jednak wziąć taksówkę - stwierdziła Janet po paru minutach.

Im dalej centrum, tym chodniki stawały się coraz bardziej zniszczone i coraz trudniej było po nich iść. Poprzednio, gdy Janet z zapałem prawdziwej turystki maszerowała od przystanku do centrum miasta, nie zauważyła tych wszystkich niedogodności. Teraz dostrzegła pęknięcia w chodniku, które należało co chwila omijać, oraz gruz pod stopami.

Stephen jak prawdziwy mężczyzna próbował nie okazywać po sobie, że każdy krok sprawia mu ból. Jednak co chwilę wzdychał mimowolnie, a przez twarz przebiegał mu grymas, gdy kawałki pokruszonego betonu usuwały mu się spod nóg, zmuszając go do łapania równowagi.

Wreszcie Janet przystanąła.

- Przepraszam, nie sądziłam... słuchaj, poczekaj tu chwilę, a ja pójdę po taksówkę...

Stephen pochylił się, by pomasażować sobie udo i łydkę.

- Skoro zaszliśmy aż tutaj, możemy iść dalej. - Skinął głową w kierunku widocznych autobusów. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Zanim dotarli na przystanek, dwa autobusy odjechały.

- Jaki kierunek jest nam potrzebny? - spytał Stephen, czytając tablice na przodzie autobusów.

- Nie wiem - odparła Janet.

- Nie wiesz?

- Wszystkie autobusy odchodzą stąd. - Janet wyczuła niecierpliwość w jego głosie. - Musimy po prostu zapytać, który jedzie do Rockleya.

- I to wszystko?

- Na pewno nie jest to zbyt skomplikowane. Każdy kierowca może nam powiedzieć.

Stephen mruknął coś, co zabrzmiało jak „hm”, z pewną dozą sceptycyzmu.

- Dobra, pójdę spytać. Poczekaj tu i piepierz przez chwilę.

Podeszła do najbliższego autobusu i zaczęła rozmawiać z kierowcą, co trwało - przynajmniej Stephen odniósł takie wrażenie - niezwykle długo. Rozmowa wyglądała na bardzo ożywioną: Janet śmiała się, kręciła głową, potem uważnie słuchała kierowcy, który swoje słowa podkreślał szerokimi gestami, potem znowu Janet coś mówiła, wreszcie kierowca wskazał na jeden z autobusów. Na końcu oboje zaśmieli się i Janet ruszyła w kierunku Stephena.

- Zadanie wykonane - powiedziała z łagodnym uśmiechem, podchodząc do niego. - Nasz autobus jest trzeci z kolei.

- Pogadaliście sobie trochę - zauważył.

- Mieliliśmy niejaki kłopoty językowe, pan. Może angielski jest tu językiem urzędowym, ale ma silne miejscowe naleciałości. Jedynym słowem, jakie rozumiał ten kierowca, było „Rockley”.

Janet spojrzała z boku na Stephena. Kulał bardziej niż poprzednio.

- Noga musi cię naprawdę boleć.

- Tylko podczas chodzenia. Jak usiądę, wszystko będzie w porządku.

- Wejdźmy więc jak najszybciej. Nie do wiary - zawołała - tym samym jechałam poprzednio. Ten sam kierowca. Pamiętasz, mówiłam ci, że miał odtworzyć stereo i puszczał piosenki rockowe.

- Ojejku!

- Czy gdy cię nic nie boli, też jesteś taki zgryźliwy?

- Nie. Wcale nie. Jestem uroczy. Zawsze zgłasza się mnóstwo chętnych na lekcje jazdy na nartach, dlatego że jestem taki miły.

Biedak, pomyślała Janet. Takie delikatne męskie ego.

- Mogę się założyć, że ci wszyscy uczniowie to kobiety. Nie cały twój urok jest ukryty w środku, Don Juanie - dodała, widząc jego obrażone spojrzenie.

Kierowca autobusu kołysał się na swym fotelu w rytm muzyki calypso wyjącej z głośników. Gdy Stephen i Janet wchodzili do autobusu, skinął im na przywitanie, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Rockley, tak? - spytał, wskazując na Janet palcem.

- Tak. - Janet musiała przekrzyczeć muzykę.

- Tak - odparł kierowca. - Powiem pani jeden przystanek przedtem.

- Dziękuję, pan.

Janet wsunęła się na siedzenie przy oknie, a Stephen, uważając na swą nogę, zajął miejsce obok.

Odchylił głowę, przymknął oczy i odetchnął z ulgą, że nareszcie da odpocząć stopom. Zrobił kilka wdechów, otworzył oczy i usadowił się wygodniej.

- Gorąco jak w piekle.

Janet sprawdziła, czy nie da się otworzyć szerzej okna.

- Zrobi się chłodniej, gdy ruszymy.

- Bardziej gorąco już być nie może.

Z rosnącym poczuciem winy Janet patrzyła, jak Stephen usiłuje wygodniej ułożyć chorą nogę.

- Czy aspiryna zaczyna działać? - spytała.

- Kiedy siedzę, nic mnie prawie nie boli. Ale za to swędzenie doprowadza mnie do szału. W tym upale jest jeszcze gorzej.

- Biedactwo - mruknęła. - To duża zmiana w porównaniu z kanadyjską zimą, prawda?

- Leży tam pięć centymetrów świeżego puchu - odparł. - Sprawdzałem dziś w gazetach.

Janet wyjęła z reklamówki papierową torebkę, złożyła w harmonijkę i zaczęła nią wachlować czerwoną twarz Stephena.

- Lepiej?

Pochwycił ją za nadgarstek.

- Nie musisz mnie... - Stracił wątek, gdy nagle ich uda się zetknęły.

- Przepraszam - wyjąkała. Zastanawiała się, w którym to momencie siedzenia stały się takie wąskie, powietrze tak gęste, a Stephen tak olbrzymi.

Ściągnął surowo usta i puścił rękę Janet.

- Mam już matkę i na pewno nie jest mi potrzebna jeszcze jedna siostra.

- Przepraszam. To było takie odruchowe działanie.

Czuła, że na jej policzki wypływa rumieniec. Odwróciła głowę do okna, by Stephen nie widział jej twarzy. Skrzyżowała nogi, odsuwając się od niego jak najdalej. Jednak w tej nowej pozycji dotykali się biodrami i Janet jeszcze intensywniej czuła ciepło jego męskiego ciała.

Na ulicy młoda kobieta, uczesana w warkoczyki przyozdobione koralikami, sprzedawała rożki z lodami polanymi syropem. Wokół pojemnika z syropem unosił się rój małych pszczoł, ale kobieta nie zwracała na to uwagi i tylko gdy jakiś owad podleciał za blisko jej twarzy, machała ręką.

Janet podziwiała energię i wytrwałość pszczoł. W pewnym momencie poczuła dotyk ręki Stephena. Powoli odwróciła głowę i spotkała wyczekujący wzrok, spojrzenie ciepłe, a uśmiech zaskakująco łagodny.

- Bardzo się cieszę, że nie jesteś moją siostrą - powiedział, a potem pochylił się i musnął ją przelotnie wargami.

Ja też się cieszę, pomyślała i przeszedł ją dreszcz. Zawsze chciała mieć brata, ale na bajecznych Wyspach Karaibskich przystojny atleta siedzący obok przywodził raczej myśli o kochanku niż o bracie. Janet czuła, że dopływa do wyspy swych własnych fantazji.

Do muzyki buchającej z głośników dołączył warkot silnika. Kołysząc się i trzęsąc, autobus ruszył z postoju. Janet straciła na chwilę równowagę i schwyciła za oparcie przed nią. Przy każdym podskoku autobusu jej biodra ocierały się o biodra Stephena.

- Czy teraz nie urażasz sobie nogi?
- Nie, ale okropnie mnie swędzi.
- Dobrze zrobiłeś, że kupiłeś szorty.

O, tak, bardzo dobrze, pomyślał. Teraz każdy na Barbados będzie mógł podziwiać ranę na nodze Stephena Dumonta. Może jednak skończy się wreszcie to piekielne swędzenie.

- Nie uda ci się podsłuchiwać rozmów - stwierdził.

Wsiadło tylko dwóch pasażerów, którzy zajęli miejsca z dala od Stephena i Janet.

- Możemy po prostu podziwiać widoki - powiedziała.

Kilka minut później westchnęła gwałtownie z przerażenia, gdy autobus omal nie otarł się o ciężarówkę.

- I kto tu mówił o podziwianiu widoków? - kpił sobie Stephen.

- Nie mogę się przyzwycząić do lewostronnego ruchu - odparła. - A poza tym drogi tu takie wąskie.

Autobus zatrzymał się na pierwszym ze swych licznych przystanków. Dwóch pasażerów wysiadło, a wsiadło kilku nowych, w tym trójka dzieci w mundurkach szkolnych.

- Popatrz. Skończyły się chyba lekcje - powiedziała Janet. - Czyż to nie miłe dzieci? Czytałam, że rząd barbadoski wprowadził w szkołach mundurki, żeby w klasach nie było różnicy między biednymi i bogatymi.

Autobus przystanął znowu. Wyszła jedna osoba, a wsiadło kilkunastu uczniów w mundurkach. Chichotali i rozmawiali ze sobą. Dwóch chłopców poszło na tył autobusu. Przeskakiwali nad chorą nogą Stephena jak plotkarze. Stephen odruchowo się skulił, a Janet równie odruchowo schwyciła go za ramię.

- To był błąd - przyznała. - Czy chcesz, żebyśmy wysiedli na następnym przystanku i złapali taksówkę?

- Co? Właśnie kiedy wreszcie możemy podsłuchać, co mówią tubylcy?

Na następnym przystanku znów wsiadło kilkunastu uczniów i kierowca puścił muzykę jeszcze głośniej, by mogła się przebić przez ożywione rozmowy dzieci, które po całym dniu w szkole tryskały teraz energią. Trzech chłopców, przeskakując nad nogą Stephena, ruszyło ku tylnym siedzeniom, które najprawdopodobniej były honorowym miejscem dla szkolnych zaważniaków. Kolejny, czwarty chłopiec źle ocenił odległość i zawadził butem o nogę Stephena.

Ten syknął i schwycił swą nogę obronnym gestem. Dzieciak zamarł z przerażeniem w oczach, podczas gdy Stephen mamrotał przekleństwa w dwóch językach. W końcu skinął dłonią i szorstko powiedział:

- W porządku.

Chłopiec z ulgą uciekł na tylne siedzenie.

- Bardzo boli? - spytała Janet, przekrzykując hałas w autobusie.

- Teraz już nie muszę się tak martwić o to swędzenie. - Popatrzył na nią wilkiem.

- Tak mi przykro, Stephen. Powinniśmy...

- Tylko nic nie mów.

Przybliżył swą twarz ku jej twarzy. W oczach miał dzikie błyski i Janet cofnęła się pod samo okno. Nagle uświadomił sobie, jak niedorzeczna jest ta cała sytuacja, chrząknął niezadowolony i odchylił się na oparcie fotela.

Autobus zatrzymał się.

- Chciałbyś wysiąść? - spytała Janet.

- Nie. Chyba jesteśmy już blisko Rockleya.

- Możemy zamienić się miejscami - zaproponowała. Stephen uniósł pytająco brwi, starając się zrozumieć, co mówi. - Zamienić się miejscami - powtórzyła głośniej. - Gdy usiądziesz przy oknie, twoja noga będzie bezpieczniejsza.

Zamieniali się miejscami, gdy do autobusu weszło z tuzin uczniów ubranych w mundurki innego koloru. Teraz prawie wszystkie miejsca były zajęte. Niektórzy uczniowie woleli stać i kołysali się w rytm muzyki.

Autobus pękał w szwach. Hałas i upał sięgnęły zenitu. Janet robiła co mogła, by nie zawadzić o nogę Stephena, gdy tłum w rytm muzyki zakołysał się w jej stronę.

- Jak przyjemnie podsłuchiwać ludzi! - krzyknął Stephen prosto do jej ucha.

Popatrzyła na niego ze złością, ale on zaśmiał się i wyciągnął ramię na oparcie jej fotela. Odprężyła się i złożyła głowę w zagłębienie jego łokcia. W pewnym momencie poczuła nieśmiałe klepięcie w ramię. Stojąca obok dwunastoletnia dziewczynka wskazywała w stronę drzwi.

- Rockley - powiedziała.

- Aha. - Janet pokiwała głową. - To nasz przystanek! - krzyknęła do Stephena.

Zaczęła pośpiesznie zbierać swoje rzeczy, sięgając na podłogę obok nogi Stephena, gdzie leżała jedna z toreb. Dzieciaki robiły im miejsce, na ile to było możliwe w tych warunkach. Z ulgą wyszli z autokaru, pomachali na pożegnanie kierowcy, dzieciakom i muzyce calypso.

- Jak się czujesz? - spytała Janet.

- Jakbym przeszedł przez pustynię Gobi. Skąd oni wiedzieli, że to my właśnie mamy wysiąść przy Rockleyu? - spytał.

Janet uniosła oczy. Jedyni dorośli biali turyści wśród czekoladowych dzieciaków w mundurkach szkolnych.

- Prawdopodobnie zorientowali się po naszym wzroście. To zawsze zdrada człowieka - odparła.

- A, oczywiście, nasz wzrost. Powiniennem się domyślić.

- Czy możesz iść?

- A jeśli nie, to czy poniosłabyś mnie?

- Poszłabym do hotelu i poprosiła, żeby przysłali wózek elektryczny - westchnęła zniecierpliwiona.

- Ale to by długo trwało. Mogłabyś holować mnie na plecach. - Uśmiechnął się do niej przebiegle. - Pomyśl tylko, jak to by było zabawnie, gdybyś upadła i...

- Albo idziesz, albo usiądź - ucięła.

Postanowił iść, zatrzymał się jednak po kilku metrach i przechylił głowę, nasłuchując.

- Słyszysz?

- Co takiego?

- Nie ma żadnej muzyki - powiedział i zaśmiał się głośno, widząc jej minę.

Janet popatrzyła ponuro i poszła dalej.

- Chciałbym podziękować ci za to, że namówiłaś mnie na jazdę autobusem - zagadał do niej po dłuższej chwili. - To była jedna z tych rzadkich okazji - ciągnął, choć udawała, że go nie słyszy - gdy możemy kontaktować się z miejscowymi ludźmi, co sprawia, że podróże stają się takie atrakcyjne. Naprawdę niezapomniane wrażenie, o którym warto napisać do domu.

Janet nadal milczała.

- Chyba opiszę to wszystko moim siostram. Na pocztówkach. Pamiętasz te urocze pocztówki, które kupiliśmy w mieście.

- Może przestaniesz! - nie wytrzymała Janet.

- Nie wiem, kiedy mówisz serio, a kiedy kpisz, ale mam wyrzuty sumienia, że zmusiłam cię do jazdy... i teraz kulejesz bardziej niż przedtem, i ja...

- Janet.

Powiedział to tak miękko, że urwała w połowie i popatrzyła mu w oczy, gdy podchodził do niej. Słyszała stuk laski o ziemię. Potem objął ją i przyciągnął do siebie. Ustami przelotnie dotknął jej ust. Trwało to nawet krócej niż tamto muśnięcie w autobusie.

- To była doprawdy niezapomniana jazda - powiedział i znów złożył na jej ustach szybki pocałunek.

- Istotnie - wymamrotała. - Potrzebujesz pomocy? - spytała głośniej.

- Nie. - Odsunął się i podniósł laskę. - Słuchaj, mamuśka, sam dam sobie radę.

- Nie mam zamiaru ci matkować - odparła. - To u mnie odruch zawodowy.

- Jesteś pielęgniarką?

Potrząsnęła głową.

- Przedszkolanką?

Znowu zaprzeczyła.

- Jestem hostessą w Disney Worldzie. Zajmuję się specjalnymi gośćmi.

- I hostessa matkuje ludziom?

- Nie matkuje. Pomagam, gdy mają jakieś problemy.

- Jak im pomagasz?

- To zależy. Najczęściej trzeba wykazać zdrowy rozsądek i zwykłą uprzejmość. W czasie pracy wykształca się dodatkowy zmysł, człowiek uczy się rozpoznawać kłopoty, zanim staną się prawdziwą katastrofą.

- A jak trafiłaś do tego zawodu?

- Pamiętaj, że uwielbiam ludzi. - Po chwili spytała: - A ty? Czy w waszym rodzinnym pensjonacie tylko uczysz jeździć na nartach kobiety?

- Zajęcie to nie jest pozbawione zdradliwych momentów - przypomniał jej. - Skończyłem wydział zarządzania i jestem odpowiedzialny za nasz sklep z odzieżą i drugi ze sprzętem sportowym.

- A więc nie jesteś tylko ładną buźką.

Popatrzył na nią uważnie.

- Nie wiedziałem, że plotki dotarły aż tak daleko - powiedział lekko, ale w jego głosie słychać było napięcie.

Choć usiłował to ukryć, z każdym krokiem coraz bardziej się krzywił.

- Zapomniałam, że podjazd jest taki długi. Schowajmy się na chwilę w cieniu. - Poprowadziła go pod rozłożysty dąb, usiadła przy pniu i poklepała ziemię obok siebie. - Usiądź. Odpocznij.

- Znowu to robisz, Janet Granville - powiedział.
- Tylko tym razem nie matkujesz mi, ale mam kujesz.
Janet spojrzała na niego ponuro.

- Chciałabym, żeby przestał pan być takim głuptasem, panie Dumont! Wiesz, że powinieneś dać nodze odpocząć, ale twoje męskie ego nie pozwala ci się do tego przyznać. Komu próbujesz zaimponować tym swoim ach-jakiż-to-ja-jestem-odporny?

- Tobie! - wykrzyknął, a potem westchnął zniechęcony. - Ale niezbyt mi się udaje, prawda?

ROZDZIAŁ

5

- Och, pozostaję pod wrażeniem - odparła. - Jesteś uparty jak osioł i to jest coś.

Janet zdawała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Stephen stał nad nią i patrzył groźnie z góry. Cóż, skoro powiedziało się „a”, należy powiedzieć „b”.

- Może w Kanadzie nie znacie takiego wyrażenia. Oznacza ono...

- Wiem, co ono oznacza - warknął.

- Dlaczego w takim razie nie usiądziesz i nie odciążysz tej nogi?

Patrzył na nią parę sekund, a potem ostrożnie przysiadł obok i z ulgą oparł plecy o pień.

- Trudno z tobą wygrać, Janet Granville.

- Mówiłeś przecież, że jestem słodka.

- Tak kiedyś myślałem, ale byłem wtedy młody i naiwny.

Wyprostował chorą nogę i zaczął ją masować.

- Wiesz co, panie Dumont, gdy cię zobaczyłam po raz pierwszy, od razu odkryłam twoją tajemnicę.

- Jaka to tajemnica?

- Że jesteś normalnym człowiekiem. - Popatrzył na nią, jakby chciał jej przerwać, więc szybko dodała: - Pomyślałam, że jesteś wysoki, silny i w ogóle

męski, ale ani przez moment nie wątpiłam, że masz swoje normalne ludzkie słabostki. To znaczy ani razu nie pomyślałam: „oto przybysz z odległej planety, który nie zna bólu i nigdy się nie męczy”. Nie mogę więc zrozumieć - ciągnęła, widząc, że słucha z uwagą - dlaczego duży, mocny mężczyzna nie jest w stanie przyznać się do tego, że w pewnych okolicznościach odczuwa ból i zmęczenie. Przeszedłeś siedem kilometrów, każdy krok sprawiał ci niesamowity ból, a nie dopuściłeś myśli, że potrzebny ci jest kilkuminutowy odpoczynek.

Zapadła cisza i Stephen gotów był się do wszystkiego przyznać.

- A więc pomyślałaś sobie, że jestem mężczyzna, co?
- Uniósł ociężałe powieki.
- Najbardziej mężczyzna, jakiego widziałam.
- Wszystko popsukałaś, Janet. Już sądziłem, że jednak jest w tobie trochę słodczy.

Posiedzieli jeszcze pół godziny, zanim ruszyli dalej podjazdem. Gdy zbliżali się do Rockleya, Stephen zaproponował Janet drinka na tarasie.

- Dziękuję - odparła - ale marzę tylko o tym, by założyć kostium kąpielowy i pójść na basen, który mam tuż przed drzwiami swojego bungalowu.
- To orzeźwiający pomysł.
- Tak. Mam zamiar popływać w tej niebiańskiej wodzie, aż zupełnie się odświeżę, potem pospaceruję trochę, póki nie przyjdzie pora, by przebrać się do kolacji.

Poszli przez pole golfowe ścieżką prowadzącą do ich bungalowów, stojących niedaleko siebie.

- Przyłącz się do mnie - zaproponowała Janet, gdy dochodzili do końca dróżki.

Stephen pomyślał od razu, że gdyby założył kąpielówki, Janet ujrzałaby jego nogę: bladą, porastającą świeżym włosiem, z siną pręgą gojącej się rany. Wszyscy na basenie by to zobaczyli.

- Chyba trochę odpocznę - powiedział. - Ułożę się wygodnie i utnę sobie małą drzemkę.

- Woda podziałałaby kojąco na twoją nogę po tym całym wysiłku.

- Może któregoś innego dnia.

- Zatem do zobaczenia - pożegnała go, wzruszając ramionami z rezygnacją.

W bungalowie Stephen usiadł wygodnie na kanapie i oparł nogę na poduszkach. Patrzył na nią, jakby nie wierząc, że to część jego własnego ciała. Szew pooperacyjny, który swędział go przez cały dzień, tworzył fioletowo-czerwony rysunek na wybladłej pod gipsem skórze.

Ciemne włosy, wygolone w czasie przygotowań do operacji, powoli odrastały. Stephen ciągle pamiętał, jakie wrażenie to na nim zrobiło. Ten mało istotny fakt, efekt uboczny całego wypadku, nabrał dla Stephena niezwykłego znaczenia, gdy tylko powrócił do przytomności. Może dlatego, że nie chciał przyjąć do wiadomości poważniejszych następstw wypadku. Pod wpływem lekarstw, które niezupełnie zlikwidowały ból, miał wrażenie, jakby zmieniono mu płeć. Nawet teraz, po tylu tygodniach, czuł zażenowanie z powodu tamtych myśli.

Najgorętsza pora dnia już minęła, ale nadal było parno. Okno i drzwi pozostawił otwarte z nadzieją na choćby niewielki przeciąg. Trzy wysokie sosny przed bungalowem tworzyły jakby ramę dla pola golfowego. Na ich szczycie siedziały, skrzecząc, czarne ptaki.

Stephen pomyślał, że na sąsiednim dziedzińcu Janet pluska się w basenie, przyciągając wzrok wszystkich samotnych mężczyzn.

Nie mógł powiedzieć, że jest uderzająco piękna. Gdy dziewczyna o tym typie urody wchodzi na przyjęcie, nie zamierają rozmowy. Nic nie można

było jednak zarzucić jej ciemnym żywym oczom, pełnym biodrom i lekko zadartemu noskowi. Była sympatyczna i ładna.

Przez chwilę Stephen zastanawiał się, jak by wyglądała zaraz po przebudzeniu, z potarganymi ciemnymi włosami i nie umalowanymi wargami. Przez bardzo krótką chwilę. Potem odrzucił te myśli. Janet Granville na pewno nie była kociakiem, dała to jasno do zrozumienia od samego początku. Ma duże oczy i jeszcze większe serce. Serce, które łatwo złamać.

Obnażenie nogi publicznie to z pewnością ostatnia rzecz, na jaką Stephen miał ochotę. To całe kalectwo było dla niego ciągle czymś zbyt świeżym, zbyt osobistym. Nie chciał, by ludzie gapili się na niego, by mu współczuli.

Do diabła z tym wszystkim! Chciałby się obudzić i stwierdzić, że wypadek był tylko złym snem. Że w ogóle nie było żadnego wypadku ani złamania, ani nie golono mu nogi, ani nie drutowano kości.

Razem z kością uległo zniszczeniu wyobrażenie, jakie Stephen miał o sobie: twardy facet, niezniszczalny sportowiec.

Razem z tym upadła jego wiara w siebie. Życie Stephena Dumonta, rozpieszczonego syna klanu Dumontów, dotąd układało się gładko. Kochająca rodzina, bogactwo, dobry wygląd i sportowa sprawność - wszystko przyszło samo, jako coś naturalnego.

Nawet kobiety były łatwe, zarówno chichoczące uczennice ze szkoły narciarskiej, jak i sprzedawczynie w hotelowym sklepie, a nawet wyrafinowane i bogate turystki, które postanowiły spędzić urlop w dość modnym miejscu, jakim był pensjonat Dumont. Teraz jednak życie dało mu potężnego kopniaka.

Stephen jeszcze raz popatrzył na swą nogę, nim założył kąpielówki. Wyglądała odrażająco. Jednak

niczego nie mógł zmienić. Panował upał i sztywne, bawełniane spodnie tylko pogarszały sytuację.

Przewiesił ręcznik przez plecy i bez laski wyszedł z bungalowu. Miał wrażenie, że migająca neonowa strzałka wskazuje szramę na nodze. Po drodze spotkał dwoje ludzi, którzy zagadali do niego, jak to turyści na zagranicznych wakacjach. Jeśli nawet zauważyli jego nogę, nie dali tego po sobie poznać. Stephen nie był jednak pewien, czy to ma jakieś znaczenie, bo ci ludzie wyglądali na świeżo poślubioną parę i zajmowali się głównie sobą.

Wokół basenu było pustawo. W płytkim końcu jakaś kobieta prowadziła przez wodę małe dziecko, zachęcając je słowami do pływackich wysiłków. Na pobliskim leżaku opalał się mężczyzna, najprawdopodobniej mąż tej kobiety, i czytał gazetę.

Janet siedziała w wodzie na schodkach przy drugim końcu basenu. Trzymała dmuchaną plażową piłkę. Mokre włosy oblepiały jej głowę, ale Stephen poznał ją natychmiast i, sam nie zauważony, obserwował przez chwilę. Miała na sobie kostium kąpielowy - nie bikini, ale dość wycięty. Plecy były gołe, krzyżowały się na nich tylko wąskie ramiączka. Wycięcie staniczka ponętnie odsłaniało kawałek piersi.

Stephen odetchnął głębiej. Nie przyszedł tu przecież po to, by ją podrywać. Tęsknił tylko za jej towarzystwem. Otoczony w domu dużą rodziną i licznymi gośćmi, nie przywykł do samotności.

- Jak woda? - spytał, podchodząc do krawędzi basenu.

Zaskoczona Janet odwróciła się i uśmiechnęła do niego promiennie. Podbródek oparła na piłce, którą objęła ramionami.

- Cudowna! - odparła zmysłowo.

- Nie za zimna? - Stephen zszedł ostrożnie na jeden schodek, zanurzając stopy w wodzie.

- To Barbados, pan. Woda nigdy nie zimna.

Zszedł stopień niżej, zdając sobie sprawę, że jego noga jest akurat na linii wzroku dziewczyny. Ale ona wcale jej nie zauważała.

- Postanowiłeś spróbować, co? Nie będziesz żałował.

- Na pewno nie.

Stephen widział jej ciało przez warstwę wody. Brzeg kostiumu kończył się kilka centymetrów poniżej pasa, eksponując wklęsłość talii. Gdy Janet wyprostowała nogi, zauważył na jej pośladkach wąskie półksiężycy nie opalonego ciała. Powstrzymał się jakoś od złośliwej uwagi, że chyba niedawno kupiła ten kostium.

Usiadł na schodkach, zanurzając się w wodzie po pas.

- Chodź, Dumont. Woda jest świetna.

- Co, zrezygnowałaś ze spaceru?

- Nudne - odparła krótko.

- Udajesz delfina. A ja tu będę siedział i przynudzał.

- Wcale nie - rzuciła w niego piłkę. Kilkoma ruchami rąk podплыnęła do brzegu i usiadła obok niego.

- Uwielbiam tę porę dnia - powiedziała, wzdychając.

Spojrzał na głębokie wycięcie jej kostiumu, ale potem przeniósł wzrok wyżej i zobaczył kark, odsłonięty i równie ponętny. Miło byłoby przejechać językiem po tej wilgotnej szyi.

- Jak twoja noga?

- Hmm? A, już lepiej. Dałem jej trochę odpocząć.

- Obejrzyjmy te wojenne rany - powiedziała, chwytając go za kostkę.

Stephen zamarł. Jego wytrenowanemuśkuły zamieniły się w kamień, ale poczuł natychmiast ból, wywołany gwałtownym napięciem mięśni.

Janet popatrzyła na niego przerażona.

- Uraziłam cię?

- Nie, ale...

- Jesteś wrażliwy na tym punkcie? Przejmujesz się tym, że to tak nieładnie wygląda?

Celnie, pani Granville.

- Przecież to tylko szrama - rzekła, gdy nic nie odpowiedział.

- Tylko szrama? - W jego głosie było zdumienie i niedowierzenie.

- Pytałeś lekarza, ile ci zrobili szwów? A może zastosowali klamerki?

- Nie.

- Jak w takim razie będziesz snuł opowieści z bitewnych pól, jeśli nie znasz mrozących krew w żyłach szczegółów?

- Nie są mi potrzebne mrozące krew w żyłach szczegóły. Po co ktoś miałby słuchać takich opowieści?

- Dla statystyki.

- Dla statystyki?

- Jak twoja złamana noga może współzawodniczyć z innymi złamanymi nogami, jeśli nie masz na jej temat danych statystycznych?

- Mówisz o tym tak, jakby to była jakaś konkurencja, zawody. Rozpruli mi nogę od kolana po kostkę. To nie były żadne zawody.

- Oczywiście, ale przecież teraz się goi - powiedziała Janet zażenowana.

- Wygląda obrzydliwie.

- Ale bardzo męsko. Na pewno masz jeszcze inne szramy.

Uniósł palec wskazujący lewej ręki. Między dwoma sąsiednimi stawami biegła cienka kreseczka.

- Kiedyś nożem zdejmowałem z ryby łuskę i palec mi się obsunął.

- Biedactwo!

Stephen zrozumiał teraz, że ona nie ma szczodrego, dużego serca, ale jest złośliwa i okrutna.

- Czy sprawia ci przyjemność naśmiewanie się ze mnie?

- Ależ nie! Wcale się z ciebie nie naśmiewam. Nie miałam takiego zamiaru... po prostu mówiłeś tak poważnie o swoim palcu.

- Jeszcze bardziej poważnie traktuję swą nogę. Wygląda karykaturalnie.

- Tak ci się tylko wydaje, bo nie jesteś przyzwyczajony. Za rok w ogóle nie będziesz o niej myślał, tak jak nie myślisz o śladzie na palcu. W kategorii szram twoja wcale nie jest taka imponująca.

- Ale ją mam!

- Owszem, ale to tylko szrama, i to w mało eksponowanym miejscu. Goi się, możesz chodzić i za parę tygodni najprawdopodobniej nie będziesz nawet utykał. - Popatrzyła na piłkę, jakby nagle dostrzegła w niej coś interesującego. - Wybacz. Ja po prostu cały czas widuję ludzi w gorszym stanie. Nie sądziłam, że taki mężczyzna jak ty... że ty możesz być na tym punkcie tak przewrażliwiony.

Nadal patrzyła na piłkę. Stephen obserwował jej twarz, usiłując zrozumieć, do czego Janet zmierza.

- Co masz na myśli, mówiąc, że widzisz ludzi w gorszym stanie?

- Przy pracy.

- Ci specjalni goście - powiedział, nagle olśniony.

- W ubiegłym miesiącu oprowadzałam po parku młodego chłopaka. Dziecko jeszcze. Wracał do domu ze szkolnego meczu i jakiś pijany kierowca wpadł na jego samochód. - Podniosła oczy na Stephena. - Myślę, że on byłby bardzo, bardzo szczęśliwy, gdyby po-

została mu tylko taka szrama jak twoja. Nawet jeśli twoja noga nie będzie bardziej sprawna niż teraz, możesz przecież chodzić. Czujesz ból. Możesz... - odwróciła głowę. - Przepraszam, to nie fair z mojej strony - dodała szeptem.

Milczeli w napięciu.

- Od kiedy przebudziłem się po operacji, wszyscy mi mówili, jakie miałem szczęście. Szczęście, że nie straciłem nogi. Szczęście, że nie uszkodziłem głowy ani kręgosłupa. Ale ja się nie czuję szczęśliwy. Czuję się...

- Zraniony - podniosła na niego wzrok. - Bo przecież byłeś ranny.

Westchnął.

- Ciągłe mówili, że mogłoby być znacznie gorzej, ale ja zastanawiałem się tylko, dlaczego mi się to w ogóle przydarzyło. Nie rozumiałem, o co im chodzi. Dopiero teraz... - Zaśmiał się miękko. - Zawsze sądziłem, że jestem niezwyciężony, bo nazywam się Dumont. - Popatrzył na nią smutno. - Dumont znaczy „z gór”, wiesz. Dumontowie nie spadają ze stoku jak porzucone puszki po piwie. Oni zjeżdżają z wdziękiem przypominającym lot ptaka. Wyglądają przy tym pięknie. Mój ojciec był medalistą olimpijskim. Liczy siedemdziesiąt pięć lat, a nigdy jeszcze nie miał nic złamanego. Ja zdobyłem mistrzostwo Kanady w zjeździe i w wieku trzydziestu dwóch lat upadłem na oślej łączce, potracony przez chichoczącą nastolatkę.

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - skomentowała to Janet.

- Znów sobie ze mnie kpisz.

- Z punktu widzenia postronnego obserwatora, twoje konto wydaje się całkiem znośne, nawet jeśli uwzględni się złamaną nogę.

- Moje konto?

- Nie mam na myśli pieniędzy. Nie powiedziałam tego dosłownie. Mówiłam o ogólnym bilansie przychodów i rozchodów. Masz wiele atutów, wiesz.

- Ta moja frapująca męskość? - Uniósł jedną brew.

- O, tak, to też - przyznała. - Ale również twoja praca, którą najwyraźniej lubisz. Siostry, które się o ciebie troszczą i...

- I piękne kobiety, które mnie ratują na lotniskach.

- To uboczny wpływ, jaki wywiera męskość - uśmiechnęła się łobuzersko.

- Nie udzieliłabyś mi pomocy, gdybym był brzydallem? - spytał wyzywająco.

- Najprawdopodobniej starałabym się ściągnąć dla ciebie jakąś pomoc, gdybyś wyglądał... mniej dostojnie. Nie pasowałeś do stereotypu lumpa spod mostu, więc wszelkie wątpliwości zinterpretowałam na twoją korzyść i zaryzykowałam. Miałam szczęście, że nie okazałeś się psychopatycznym zabójcą.

- A skąd wiesz, że nim nie jestem?

- Czy mam wezwać miejscową policję, żeby spróbowała wyjaśnić wszystkie zagadkowe zabójstwa w tych okolicach?

- Jak na osobę o wielkim sercu jesteś kawał urwisa.

- Urwisa? - Schwyciła piłkę, odbiła ją od jego głowy, a potem rzuciła na drugi koniec basenu. - Ścigamy się.

Zanurkowała. Stephen ruszył żabką i choć wystartowała wcześniej, dopłynął do piłki tuż za nią. Odsunął ją nieco, porwał piłkę i przerzucił na drugi koniec basenu. Pływali tak jakiś czas, wreszcie usiedli na schodkach, dysząc ze zmęczenia.

- Dobrze jest się trochę poruszać - powiedział Stephen.

- A jak twoja noga?

Popatrzył na nią zdziwiony, jak dziecko, któremu wypadł mleczy ząb w czasie jedzenia ciastka.

- Zapomniałem o niej - odparł. - Chyba się w nią kopnąłem, ale nie boli mnie.

- W wodzie jest odciążona. Dlatego lekarz zalecał ci pływanie.

- Może rzeczywiście staruszek nie jest aż takim szarlatanem.

- I może twoje siostry dobrze zrobiły, wyprawiając cię tutaj.

- Mimo wszystko mam zamiar posłać im te pocztówki.

- Mówisz o nich tak, jakby były złymi siostrami z bajki o Kopciuszku - roześmiała się Janet, słysząc rozdrażnienie w jego głosie. - A mogę się założyć, że to urocze osoby. Na pewno bym je polubiła.

- One ciebie też i na myśl o tym przebiega mnie dreszcz przerażenia.

- Przyjdźcie kiedyś na Florydę. Oprowadzę was po Disney Worldzie.

- Już prędzej zdecydowałbym się na skok z samolotu bez spadochronu. Byłoby bezpieczniej.

Janet, nie zważając na złośliwości, wzięła go za rękę i obróciła mu dłoń tak, by zobaczyć tarczę zegarka.

- Która to godzina? Mam nadzieję, że ten zegarek jest wodoszczelny.

- Jestem narciarzem i mój zegarek musi być wodoszczelny.

- I odporny na wstrząsy? - zauważyła z przekąsem. - Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Muszę iść, bo się zrobię jak rak.

Popatrzył na nią z aprobatą.

- Nie ma mowy. Najwyżej możesz zmienić się w syrenę.

- Lepiej nie. Wiesz, co dzieje się z mężczyznami, którzy patrzą na syreny tak, jak ty patrzysz na mnie?

- Zaryzykuję.

- Na razie jesteś bezpieczny. Idę wziąć prysznic i uczesać się przed kolacją.

- Wybierasz się gdzieś?

- Na główny dziedziniec, na barbadoskie przekąski.

- Idziesz z kimś?

- Chyba będą tam inni turyści. Może jakaś wspólna zabawa.

- A co powiesz na towarzystwo kanadyjskiego turysty?

- Masz na myśli jakiegoś szczególnego Kanadyjczyka?

- Takiego, który będzie się czuł samotny, gdybyś mu odmówiła. Rozbity. Załamany.

Janet wyszła z basenu i podniosła ręcznik. Podobam mu się, stwierdziła z zadowoleniem.

- Możesz rozejrzeć się za kilkoma kociakami - zasugerowała. - Taki męski typ jak ty z pewnością będzie miał obfity połów.

- Raczej popadnę w melancholię.

- Nie po to ratowałam cię zeszłej nocy, żeby teraz wpędzać cię w melancholię. Spotkamy się na dziedzińcu.

Jego uśmiech, choć nieco przebiegły, sprawił jej przyjemność. Gdy szła do swego bungalowu, czuła na plecach gorące spojrzenie.

ROZDZIAŁ

6

Droga Claire,

Na Barbadosie jest gorąco jak w piekle. Chciałbym, żebyś to ty pociła się w tym upale, a ja siedział w Kanadzie.

Stephen przyjrzał się temu, co napisał na pocztówce, i stwierdził, że nie jest to zbyt uczciwe. Dwanaście godzin temu byłaby to prawda - chętnie zamieniłby się z Claire. Ale teraz...

Uśmiechnął się, zagwizdał, a potem dopisał: „Na razie nie ma tu żadnych kociaków”. To przynajmniej była prawda. Janet Granville z pewnością nie należała do tej kategorii dziewcząt.

Stephen przyszedł na dziedziniec trochę wcześniej, znalazł wolne miejsca i teraz niecierpliwie bębnił palcami po stole, czekając na Janet. Uśmiechnął się szeroko, gdy się ukazała - piękniejsza niż poprzednio, ubrana w jasną, różową sukienkę obramowaną na górze koronką. W gasnącym świetle zachodzącego słońca wyglądała wdzięcznie i bardzo po-
nętne.

Podeszli do bufetu, przy którym kelnerzy w białych koszulach napełniali talerze tradycyjnymi barbadoskimi potrawami z podgrzewanych naczyń.

- Co to takiego? - spytała Janet, gdy kelner umieścił na jej talerzu kwadracik wyglądający jak panierowany kotlet cielęcy.

- To latająca ryba - wyjaśnił kelner.

- Nie przypomina swej słynnej kuzynki z pocztówki - szepnął Stephen tuż przy uchu Janet.

- Na szczęście - odparła.

Przesuwali się wzdłuż bufetu, nakładając sobie spore porcje. Przekonali się, że latająca ryba jest delikatna, *yamy* - pikantne, a pełen przypraw sos kreolski pali w język. Owoc chlebowca okazał się godny swej nazwy. Smakował jak chleb, choć miał inną konsystencję.

- Sprowadził go na Barbados ten podły kapitan Bligh, dowódca Bouny - powiedziała Janet, jakby cytowała przewodnik.

- Słucham?

- Zgodnie z tym, co napisano w folderze, który dostarczono nam w hotelu, drzewo chlebowe zostało sprowadzone na wyspę przez kapitana Bligha. Może był on znienawidzony przez załogę, ale jest uwielbiany przez mieszkańców Barbadosu. - Popatrzyła na Stephena z ironicznym uśmiechem. - Nie odrobił pan pracy domowej, kanadyjski turysto.

- Ty jesteś turystą, ja zostałem tu zesłany pod przymusem.

- Och, zapomniałam. Tortury w tropiku.

- Mogę szczeznąć na mękach.

- Nie narzekaj i dokończ tę rybę. Zaraz zaczynają przedstawienie.

Na scenę wyszedł potężny, przypominający zapaśnika mężczyzna. Przywitał wszystkich i powiedział, że jest dyrektorem Rockleya. Potem przedstawił Reginę, odpowiedzialną za kontakty z gośćmi, u której Stephen zamawiał dziś wycieczkę. Kobieta miała na sobie długą do ziemi suknię z kremowego muślinu i koronki, która kontrastowała z jej hebanową skórą. Wysoka

i szczupła, wydawała się jeszcze o parę centymetrów wyższa, gdyż upięła włosy na czubku głowy i bujne loki opadały kaskadą na ramiona.

Gdy podeszła do mikrofonu, przywitały ją okrzyki zachwyty.

- Raz w tygodniu wyglądam wspaniale - odpowiedziała publiczności melodyjnym głosem, z silnym wyspiarskim akcentem. - To dzięki sponsorom. Dziś nasze stroje pochodzą ze sklepu... Wymieniła nazwę i adres sklepu. Potem zaczęła opisywać suknię, którą miała na sobie, dała znak orkiestrze i przedstawiła pierwszą modelkę.

- Ach, gdybym tak była o dziesięć centymetrów wyższa i miała dziesięciocyfrowy roczny dochód - westchnęła Janet, gdy modelka kroczyła po wybiegu w zwiewnej, jedwabnej sukni wieczorowej.

- Podoba ci się? - spytał Stephen.

- Wszystkie mi się podobają. Szyk europejskiej mody. Wszędzie na wyspie zauważyłam wpływy europejskie. Chyba w Kanadzie jesteś do tego bardziej przyzwyczajony niż my na Florydzie.

- Czyżby na Florydzie nie było elegancko ubranych ludzi?

- Są, lecz ubierają się po prostu inaczej. W stylu typowym dla Florydy, nie dla Paryża. Stali mieszkańcy noszą letnie stroje przez cały czas; turyści same nowiu-tenkie rzeczy. A ci, którzy przyjechali się wygrzać - kostiumy ze sztucznego włókna i krótkie spodenki. Naprawdę krótkie. I do tego szpilki.

- Podoba mi się sposób, w jaki ty się ubierasz - powiedział Stephen. Przynasnął się do niej bliżej, niż to było konieczne, i wyszeptał jej zmysłowo do ucha: - Podoba mi się, jak pachniesz.

Janet westchnęła głęboko, gdy jego oddech owiał jej kark.

- To zapach mojego lakieru do włosów.

- Podobają mi się również twoje włosy.

Patrząc jej prosto w oczy, powoli podniósł opadający na jej policzek kosmyk i przesuwał go w palcach. Miał przy tym uśmiech tak ciepły, że mógłby nim stopić lodowiec.

Janet szukała w myślach dowcipnej riposty, ale tak subtelne uwodzenie odebrało jej mowę. Nie należała do osób, które skłonne są flirtować na wakatach z nieznanym. W pracy miała wielu dobrych przyjaciół i prowadziła aktywne życie towarzyskie. Bawiła się w rozmaitych atrakcyjnych miejscach, których na Florydzie była obfitość, chodziła do kina, na koncerty i na festiwale. Ostatnim mężczyzną w jej życiu był niedoszły narzeczony, którego zostawiła w Minnesocie.

Od kiedy przeniosła się na południe, nie spotkała nikogo szczególnego. Wraz z matką zajmowały domek w dzielnicy zamieszkałej przeważnie przez emerytów. Dotychczas nie odniosła wrażenia, że mieszkanie z matką ogranicza w jakiś sposób jej życie osobiste.

Rzęsiste oklaski zapowiedziały koniec pokazu mody. Stephen i Janet powrócili do rzeczywistości. Stephen puścił kosmyk włosów, który trzymał w palcach do tej pory, i usiadł głębiej na krześle. Janet spojrzała na podium, gdzie eleganckie modelki szykowały się do zejścia, i zaczęła klaskać.

Sprawnie rozebrano wybieg i niewielki zespół zasiadł w muszli koncertowej. Zagrano wiązaną melodię calypso, reggae i rocka, po czym lider zespołu, ubrany w białe, sięgające ledwie za kolana spodnie i przepasany w talii jaskrawoczerwonym pasem, poprosił dwie osoby z widowni, by pottrzymały trzciniową witkę.

Przy dźwiękach perkusji lider demonstrował taniec *limbo*: torsem do góry, przesunął się pod trzcinią, którą miał na wysokości pasa, potem kazał ją opuszczać, aż dwaj trzymający trzcinię ludzie musieli przykłąknąć,

wreszcie trzcina znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów nad ziemią.

Widzom wydawało się, że żaden człowiek nie jest w stanie tak się przegiąć, by przesunąć się pod witką. Jednak muzyk tego dokonał. Potem nisko się uklonił, dziękując za oklaski.

- Teraz widzi państwo, jak to łatwe i będziemy robić zawody *limbo* - powiedział do mikrofonu.

Chętni jakoś się nie tłoczyli, więc Regina przeszła między stolikami, by zaprosić do zabawy. Zatrzymała się przy stoliku Stephena i Janet i pytająco uniosła brwi, ale on tylko wskazał na swą laskę i nogę, potrząsając odmownie głową. Spojrzenie Reginy powędrowało w kierunku Janet, ta jednak uniosła rąbek spódnicy i również odmówiła.

- Myślę, że powinnaś spróbować - powiedział do niej Stephen, gdy Regina przeszła do innych stolików.

- W sukience?

- Odpowiednio ustawiony aparat fotograficzny i miałbym komplet: mężczyzna tańczący *limbo* i kobieta tańcząca *limbo*. Brigitte by się ucieszyła.

Janet popatrzyła na niego groźnie.

- Idę o zakład, że twoja mama mogłaby wiele opowiedzieć o tym, jakie miała z tobą problemy wychowawcze.

- Byłem idealnym dzieckiem - powiedział chłodno, jakby go obrażały podobne insynuacje.

Janet odchrząknęła wymownie. Stephen roześmiał się, objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Gdy obserwowali zawody, cały czas trzymał rękę na oparciu jej krzesła.

Konkurowało kilku zawodników, którzy przy dźwiękach orkiestry bez trudu przechodzili po kolei pod trzcina umieszczoną na wysokości barków. Gdy obniżono ją do jakiegoś metra nad ziemią, jeden zawodnik odpadł. Potem eliminowano kolejnych, aż

wreszcie pewien bankier z New Jersey został ogłoszony zwycięzcą i otrzymał w nagrodę butelkę rumu.

Gdy orkiestra zaczęła grać rytmy karaibskie, wielu gości ruszyło do tańca.

Stephen i Janet sączyli poncz, słuchali muzyki i przypatrywali się tańczącym. Zespół grał tak głośno, że wykluczało to jakąkolwiek rozmowę. Po pewnym czasie solista oznajmił, że teraz zagrają coś na specjalne życzenie. Rozbrzmiały dźwięki nieśmiertelnej piosenki „Żółty ptak”.

- Nareszcie coś wolnego - powiedział Stephen.
- Z pewnością nie będę się zbyt wdzięcznie poruszał, ale może byśmy spróbowali, jeśli chcesz?

Wstali. Stephen trzymał laskę w prawej ręce. Janet, patrząc mu w oczy, położyła rękę na jego dłoni i łagodnie rozwarła mu palce; laska stuknęła o oparcie krzesła.

- Nie będzie ci potrzebna - stwierdziła.

Stephen trzymał ręce na ramionach Janet, a ona obejmowała go w talii.

- Przez cały wieczór miałem ochotę wziąć cię w ramiona - mruczał jej do ucha.

Janet ścisnęła go mocniej i przytuliła się policzkiem do jego torsu, a on przywarł twarzą do jej włosów. Miała wrażenie, że tańczy na wyspie swych marzeń. To było właśnie takie uczucie: ekstatyczne, zwiewne, nierealne. Dotyk jego ciała, zapach i ciepło sprawiały, że czuła zmysłową przyjemność.

„Żółty ptak” zakończył się zbyt szybko i nagle zaskoczył ich żywiołowy rock and roli. Unieśli głowy, spojrzeli na siebie i Stephen wygiął powątpiewająco brwi, pytając w ten sposób, czy Janet chciałyby nadal tańczyć. Potrząsnęła głową.

Kilka minut później opuścili główny dziedziniec i skierowali się do swoich bungalowów. Powoli cichły dźwięki calypso, a coraz głośniejsze stawało się granie

cykad. Na bezchmurnym granatowym niebie świecił srebrny księżyc. Nic nie mówili, wystarczyło im, że ich ciała dotykają się przelotnie, i to ich milczenie dawało poczucie kojącej bliskości.

W nocy teren przed bungalowem Janet wyglądał jak tropikalny ogród. Woda w basenie, oświetlona reflektorami, połyskiwała między drzewami. Przeszli obok basenu i zatrzymali się przy krzewach, które okalały wejście do domku.

Stephen oparł łaskę o drzwi i dotknął policzka Janet. Skłonna była uwierzyć, że istnieje tylko ta chwila i ten stojący obok mężczyzna, który patrzy jej w twarz, odnajdując w niej piękno.

Wsunął palce w jej włosy, pochylił się i pocałował ją powoli, jakby dając do zrozumienia, że ten pocałunek ma dla niego niezwykle istotne znaczenie i nie chce się śpieszyć. Gdy odsunął się od niej trochę, znowu musnął wargami jej usta. Potem otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

- Twoje włosy nadal wspaniale pachną - szepnął.

- Cieszę się, że użyłam tego lakieru.

- A ja cieszę się, że siostry wysłały mnie na Barbados.

- Ja też.

Minuty płynęły.

- Tak bardzo nie chcę cię puszczać - wyznał, lekko rozluźniając uścisk. - Tak dobrze jest mieć cię przy sobie.

Więc mnie nie puszczaj! - pomyślała Janet. Mnie też jest dobrze.

Czuła jednak, że to właściwe, by ją puścił, że właściwa jest zabarwiona goryczą konieczność powiedzenia sobie „Dobranoc”.

Nie zaprosiła go do środka, ale powiedziała cicho:

- Dziękuję.

- Za co?

- Za... wszystko - odparła. - Za to, że dzięki tobie mój pierwszy dzień pobytu na wyspie stał się taki... szczególny. - Zaśmiała się cichutko. - Przykro mi z powodu tej jazdy autobusem.

- Amnie nie - zaprzeczył. - Janet... - wymówił jej imię tak czule, z cudownym francuskim akcentem, że miała ochotę się rozpłakać. Podniosła twarz, by coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów. Zresztą to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Stephen zamknął jej usta pocałunkiem.

- Gdzie masz klucz? - zapytał, gdy się wreszcie odsunął.

Szukała jakiś czas w torebce. Stephen wziął od niej klucz i zмагаł się przez chwilę z zamkiem. Drzwi otwały się nagle, a laska upadła, stukając głośno o podłogę. Pochylił

I ich ręce spotkały się.

Wyprostowali się zupełnie spokojni. Janet zdawała sobie sprawę, że oto ma kolejną okazję, by zaprosić go do środka, ale gdy Stephen wręczył jej klucz, wzięła go, nic nie mówiąc.

- Dobranoc, Janet - powiedział po pełnej napięcia chwili i pocałował ją w czoło.

ROZDZIAŁ

7

Następnego ranka Janet postanowiła zjeść skromne śniadanie w patiu za bungalowem. Na małym stoliku ustawiła ser, sok i chleb z masłem. Ku jej radości natychmiast pojawiła się publiczność: wrony, gołębie i wróble. Zerkały na nią nieufnie, a na jej chleb z pożądaniem. Skończyła posiłek, a potem rozerwała przyłepkę i rzuciła okruchy swoim gościom.

Szybko przekonała się, że gołębie jedzą tylko to, co im rzuci, natomiast wróble nurkowały znienacka na blat stołu lub na płyty patia, by złapać jakiś obiecujący okruh. Wrony, odwieczne czyścicielki ulic, kradły nie zauważone przez gołębie kawałki i chełpliwie odlatywały z większymi kęsami skórki, które mniejsze ptaki mogły jedynie dziobać.

Janet obserwowała, jak wróbel podskakuje ostrożnie ku okruchowi w pobliżu stolika, gdy wtem na okruh spadł, nie wiadomo skąd żółto ubarwiony ptak.

- Skąd się wzięłeś? - spytała, rozbawiona brawurą małego ptaszka. Żółty ptak tylko popatrzył na nią gniewnie i butnie, skończył dziobać okruh i rozejrzał się za następnym.

Janet pokruszyła pozostały chleb, podzieliła na porcje dla różnych ptaków, a ostatnie okruchy pod-

sunęła żółtemu. Popatrzył na nią, jakby zarzucając jej sknerstwo, lecz nie dała się wprawić w zakłopotanie.

- W tym bungalowie to wszystko, mały. Jeśli chcesz mieć posiłek z pięciu dań, poleć na główny dziedziniec i zrób najazd na dzbanki z syropem.

Westchnęła z zadowoleniem, wspominając poprzedni poranek i żółtego ptaszka, który sfrunął na stół podczas jej rozmowy ze Stephenem. „A to ci śmiałek” - zdziwił się wtedy.

Zastanawiała się, gdzie mógł być teraz Stephen i co zaplanował na dzisiejszy dzień. Z pewnością nie zamierzał spędzić go razem z nią, gdyż nie spytał nawet o jej plany. Z pewnym zaskoczeniem uświadomiła sobie, że po tych idyllicznych spędzonych razem chwilach, po słodkiej poufałości pocałunków na dobranoc, nie poprosił jej o ponowne spotkanie. Miała nadzieję, będą się jeszcze widywać. Tak czy owak, nie ma zamiaru się tym zamartwiać. Przybyła na rajską wyspę, by odpocząć, i dzisiaj wybierze się na plażę ze Stephenem Dumontem czy bez niego.

Chyba że wpadnie na niego w holu hotelowym, a on zaproponuje coś lepszego.

Wciągnęła na kostium kąpielowy szorty i frotowe wdzianko, spakowała torbę plażową i poszła do holu, by poczekać na mikrobus. Miała nadzieję, że wpadnie na Stephena na polu golfowym lub na głównym dziedzińcu, jak wczoraj.

Przez długie okno holu spojrzała na dziedziniec, na ludzi przy stolikach. Stephena tam nie było. Potem podjechał mikrobus i musiała porzucić obserwację i załadować się razem z parą nowożeńców oraz małżeństwem w średnim wieku, poganiającym troje wrzaskliwych dzieci.

Jaki to kontrast między nowożeńcami, nie widzącymi świata poza sobą, a rodzicami, którzy udęczeni

pilnowali swych dzieci! „Przed i po”, pomyślała Janet z ironią. Trudno jednakże było zachować ironię i dystans, gdyż w towarzystwie pary zakochanych i typowej rodziny nagle wyraźnie zdała sobie sprawę ze swej samotności.

- Czy to pierwszy pani pobyt na Karaibach? - zdała pytanie matka w przerwie między upominaniem dzieci.

- Tak - odparła Janet.

- Nasz też. Davey dostał go w firmie za dobre wyniki. Mieliśmy zostawić dzieci z moją mamą. Wie pani, chcieliśmy tu przeżyć drugi miodowy miesiąc, lecz mama w zeszłym tygodniu upadła i złamała nogę, a nie mieliśmy nikogo do opieki.

- Chyba ostatnio przeżywamy epidemię złamanych nóg - zauważyła Janet.

- Poślizgnęła się na zamrożonej kałuży, kiedy wносиła śmiecie - poinformowała ją kobieta.

- Muszą państwo mieszkać na północy - stwierdziła Janet.

- Koło Chicago. Jamie, przestań dokuczać braciom.

Kiedy mikrobus zatrzymał się na podjeździe przed plażą, kobieta zebrała wypchane torby.

- Może się jeszcze spotkamy - rzuciła przez ramię do Janet, wyprowadzając najmłodsze dziecko przez drzwi mikrobusu. - Trzymaj mnie za rękę, Kevin, tu jest duży ruch.

Janet poczekała, aż wysiedli nowożeńcy, a potem wygramoliła się z mikrobusu i stanęła na tarasie widokowym. Przed nią rozpościerało się Morze Karaibskie, tak turkusowe, jak obiecywały to foldery. Widok niczym z obrazka: żaglówki na horyzoncie, błękitne niebo, jaskrawe słońce i pasmo białego piasku upstrzone wysokimi palmami. Mała zatoczka tworzyła naturalny basen pływacki. Raj dla turystów.

Między wąską ruchliwą uliczką i piaszczystym wybrzeżem kilku przekupniów ustawiło stragany. Na sznurkach rozciągniętych między drzewami na skraju piasku rozwieszono koszulki i spodenki z worków po cukrze. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany jak większość mężczyzn w bawełniane spodenki i koszulkę oraz skórzane sandały na gumowych podszwach, podtrzymywał stos leżaków, które można było od niego wypożyczyć. Bliżej ulicy handlarze oferowali orzechy kokosowe, ananasy i napoje w butelkach.

Janet wypożyczyła leżak, znalazła skąpy skrawek cienia pod palmą, zdjęła szorty i wdzianko i wyciągnęła się, by poczytać powieść, którą przywiozła sobie na wakacje. Po półgodzinie, nagrzana słońcem, pobiegła do wody, by chwilę popływać.

Czuła wodę delikatną jak satyna. Chłodną. I czystą - idealnie czystą. Stała zanurzona po ramiona, ruszała stopami i widziała je równie wyraźnie jak przez szklaną szybę.

Gdy wróciła pod drzewo, cień przemieścił się, przesunęła więc leżak, nasmarowała się od nowa kremem i czytała dalej. Zdołała już dobrze wciągnąć się w treść książki, gdy usłyszała chrząknięcie.

Obok niej stała kobieta mniej więcej w jej wieku, drobna, czarna i ładniutka. Uśmiechała się radośnie i czując, że przyciągnęła jej uwagę, uklękła przy leżaku.

- Chcesz warkoczyki? - spytała, pokazując z uśmiechem swą fryzurę przypominającą kolbę kukurydzy. - Szyk karaibski.

- Ja nie...

- Pokażę ci - oznajmiła. Złapała wąskie pasmo włosów Janet i zaczęła zaplatać je we francuski warkocz. Gdy dotarła do końca, trzymała go jedną ręką, a drugą sięgnęła do pasiastej, płóciennej torby. Grzebała tam, aż wyciągnęła mały prostokącik z folii.

Owinęła nim koniec warkoczyka, a następnie zwinęła go, tworząc ostry dziubek, który przewlekła przez kolorowy paciorek. Następnie zgmiotła koniec folii w guziczek, który utrzymywał paciorek na miejscu.

- Mogę zrobić włosy ładne, ładne, bardzo ładne - oświadczyła z zapałem. - Styl wyspy. Ty takie trzymasz na wyspie.

- Mam mokre włosy - odparła Janet. - Od słonej wody. Musiałabym je umyć.

- Myjesz je, te warkocze, nie ma problemu - rzekła kobieta.

Jej entuzjazm był zaraźliwy. Janet widziała wielu turystów z włosami w warkoczykach i paciorkach i nawet podsłuchiwała jakąś elegancką panią, która mówiła, że w jednym z salonów fryzjerskich na wyspie wydała pięćdziesiąt dolarów na warkoczykową fryzurę swej nastoletniej córki.

- Jak dużo pani bierze? - zapytała, pamiętając o tej sumie.

Ustaliły cenę i kobieta, która miała na imię Alice, szybko wzięła się do pracy. Kiedy skończyła, wyjęła z torby lustro i włożyła je do ręki Janet.

- Podoba? Ładne.

Janet pokręciła szybko głową, a paciorki zatańczyły, postukując o siebie i ocierając się o jej ramiona.

- Wyglądam jak Bo Derek - zauważyła. - Tylko ona jest wyższa, szczuplejsza i blondynka.

Alice roześmiała się.

- Podoba, co?

- Podoba - potwierdziła Janet. - Wyglądam jak prawdziwa turystka.

- Naprawdę karaibsko.

Raczej naprawdę po hollywoodzku, pomyślała Janet. Zapłaciła Alice i wróciła do swej książki, czując się bardzo wakacyjnie.

Pograżyła się w lekturze i nie zauważyła, że cień palmy znowu się przesunął, kiedy jakiś inny cień padł nagle na jej twarz i ramiona.

- Coś dla ducha, pani Granville? - spytał znajomy głos.

- Rzeczywiście, czytam od czasu do czasu - odpowiedziała, osłaniając oczy i patrząc Stephenowi w twarz.

Zatrzymał wzrok na jej włosach. Potrąciła warkoczki machnięciem dłoni, wywołując kakofonię stukotów.

- Zmieniłam fryzurę - oznajmiła. - Co o tym sądzisz? W skali od jednego do dziesięciu?

Niezręcznie ochraniając zranioną nogę, Stephen ostrożnie opuścił się na kępki trawy obok jej leżaka. Kiedy się usadowił, wyciągnął rękę i ujął w dłoń jej podbródek, a potem pod różnymi kątami przechylał głowę.

- I co? - ponaglała, przygotowana, że powie, iż to ohydne. Doskonale wiedziała, że mężczyźni lubią długie rozpuszczone włosy.

Nadal oglądał fryzurę, a potem skupił wzrok na jej twarzy. Wzrok pełen ciepła, które onieśmielało Janet i sprawiło, że tropikalne słońce stało się gorętsze, jej gardło suchsze, a powietrze jakby rzadsze.

- Chciałbym być tym, który je rozczesuje - powiedział ochrypłym głosem. - Warkoczek po warkoczku.

Janet odebrało mowę.

- Szukałem cię w hotelu - oświadczył Stephen po dłuższej chwili.

- Wcześniej wyszłam.

Czyżby pytał o nią w recepcji i powiedziano mu, że pojechała na plażę?

- Zaspałem - wyjaśnił. - Nigdy mi się to nie zdarza - dodał z nutką rozdrażnienia.

- Różnica czasu.

- Nigdy mi nie przeszkadza różnica czasu, kiedy podróżuję do Europy.

- Wiec to wpływ tropikalnego klimatu.

- Rzeczywiście jest gorąco - narzekał Stephen.

Nieoczekiwanie ściągnął koszulę przez głowę.

Janet cicho gwiznęła.

- Na połów kociaków?

Jedyną odpowiedzią Stephena było pełne irytacji zmarszczenie czoła.

- Naprawdę powinieneś się nasmarować, jeśli chcesz siedzieć na słońcu o tej porze. Na twarzy już masz opaleniznę.

Nachmurzył się.

- W górach zawsze jestem nakremowany z powodu tego blasku. Ale...

- Zostawiłeś krem w domu. Żaden problem, pan. Przypadkiem mam ze sobą trochę olejku.

- Czemuż jakoś mnie to nie dziwi? - rzekł Stephen, kiedy grzebała w plażowej torbie. - Nie byłbym zaskoczony, gdybyś z tej torby wyjęła białego królika.

- Nie zajmuję się magią - rzekła Janet, przekomarzając się. - Mam tu po prostu olejek, krem z filtrem, środek do peklowania mięsa i...

- Środek do peklowania mięsa?

- Zawsze zabiera się na plażę środek do peklowania mięsa - oświadczyła Janet. - Na wypadek...

- Na wypadek gdyby twarde, stary dorsz dopadł do twych stóp i błagał, byś go usmażyła?

- Na wypadek meduz - wyjaśniła poważnie. - To neutralizuje oparzenia.

- Co to jest meduza?

Janet zaczęła wyjaśniać i opis stworzenia podobnego do balona, z długimi parzącymi mackami nawet jej wydał się nedorzeczny. Potem zorientowała się, że Stephen szczyrzy zęby w uśmiechu - na pewno wiedział cały czas, co to meduza. Urażona podała mu olejek.

- Och nie, panno Samarytanko - zaprotestował, a jego uśmiech stał się lubieżny. - To twój olejek, wetrzuj go.

- W porządku - zgodziła się Janet - lecz nie za-grzeję go w rękę przed smarowaniem.

Groźba okazała się czcza, gdyż płyn już był przyjemnie ciepły - nagrzał się w torbie od słońca. Stephen cicho mruzczał, kiedy rozprowadzała olejek po jego plecach i ramionach, a potem ze szczególną uwagą na barkach, o których łatwo się zapominało, a które były szczególnie wrażliwe na poparzenia słoneczne.

Opuściła dłonie pod jego rękami, na żebra, aż dotarła do gumki spodenek. Pozwoliła, by jej dłonie spoczęły tam na chwilę nieruchomo i rzekła diabolicznie:

- Może powinnam sprawdzić, czy masz łaskotki.
- Serdecznie zapraszam, sprawdź nawet na całym ciele, ale nie mam łaskotek - oświadczył.

Cofnęła ręce.

- Druga strona - rozkazała.

Stephen oparł się o leżak, by mogła dosięgnąć jego piersi. Wcierała płyn w wypukłości mięśni jego torsu, a potem nachyliła się do przodu, by dosięgnąć miejsca pod żebrami, powyżej pępka. Uśmiechnął się do niej z zadowoleniem.

Janet odsunęła się od niego i rzuciła mu na kolana butelkę z olejkiem.

- Nogi możesz sobie nasmarować sam.
- Byłaś już w wodzie? - zapytał, kiedy skończył smarowanie.

Kiwnęła głową.

- Jest wspaniała. Barbados to nie wyspa wulkaniczna, wiesz. Zbudowana jest na koralowcu, który działa jak olbrzymi, podwodny system filtrów.

Stephen chrząknął sceptycznie.

- Diabelnie gorąco - poskarżył się kilka minut później.

- Jest ciepło i słonecznie - rzekła Janet, po to tylko, by się spierać.

- Gorąco jak diabli - z uporem powtórzył Stephen.

- Mamy tu niedaleko całe morze, by się ochłodzić - zauważyła Janet.

Stephen skrzywił się tylko.

- Nie lubisz plaży? - spytała z zaciekawieniem.

- Nie lubię piasku - mruknął gderliwie.

- Piasku? - nie chciało jej się wierzyć.

- Jest ohydny - rzekł. - Przylepia się do stóp, kiedy są mokre, przesuwa się pod stopami, gdy jesteś w wodzie i dostaje się... wszędzie do ubrania i drapie.

Janet wzniosła oczy ku górze.

- Ty możesz nie cierpieć śniegu, ja mogę żywić silną niechęć do piasku.

- Och, przełam się. Idź popływać. W wodzie możesz się nawet natknąć na jakieś kociaki.

Kamienna cisza.

- Masz już dwa do tyłu - przypomniała mu Janet. Nadal kamienna cisza.

- Mogę pójść z tobą - oznajmiła. - By pomóc ci je odsiewać.

- Odsiewać ze względu na co?

- Ze względu na jakość, ma się rozumieć - odparła. - Musisz się śpieszyć, ale nie wolno ci obniżać standardów. Nie ma nic bardziej żałosnego niż kociak pośledniego gatunku.

- Nie spocznieś, dopóki nie wpakujesz mnie do wody, prawda?

Udała oburzenie.

- Po prostu próbowałam pomóc. Jestem słodka, pamiętasz? „Jak cukierek”, tak zdaje się brzmiało to określenie.

- Pamięć słonia - rzekł zrzędlawie. - Jestem głodny - dodał po chwili milczenia.

- Na ulicy sprzedają orzechy kokosowe.
- Nie lubię orzechów kokosowych.
- Módl się, żebyś nigdy nie został rozbitkiem na bezludnej wyspie - zauważyła, cicho chichocząc.
- Naprawdę czułbyś się tam podle, prawda? Cały ten piasek, te wszystkie orzechy kokosowe i ani śladu kociaka na plaży.
- Wróćmy do Rockleya na obiad.
- Dobrze - zgodziła się - ale musisz przedtem wsadzić do wody przynajmniej palec u nogi.

ROZDZIAŁ

8

- Skarpetki mam pełne piachu - oświadczył Stephen.
- Za pięć minut dojedziemy do hotelu - pocieszyła go Janet. - Będziesz mógł je zmienić.

- Buty są pełne piachu. Nigdy już go nie usunę z butów. Nie dość, że kuleję, to teraz jeszcze obetrę sobie stopy.

- Przyznaj, czy pływanie nie było warte tej drobnej niewygody?

- To jest drobna niewygodka?! - obruszył się na serio. - Mam piasek w kąpielówkach.

Janet prychnęła z pogardą.

- Czy gdy śnieg dostaje ci się do skafandra, też zachowujesz się jak dziecko?

- Ze śniegu nie produkują papieru ściernego - rzekł Stephen. - Papier ścierny produkują z piasku. I gdybyś była teraz w moich spodenkach kąpielowych, zrozumiałabyś, dlaczego nie jestem zachwycony.

- Żałuję, że w nich nie jestem.

- Możesz spróbować. W twoim bungalowu czy w moim?

Rumieniec zalał najpierw szyję, a potem policzki Janet. Poczowała okropne zakłopotanie.

- Źle mnie zrozumiałeś.

Ach, ta męska elastyczność! Stephen, nagle rozbawiony, całkowicie zapomniał o piasku w spodenkach.

- Ach tak? A jak to według pani należało zrozumieć, pani Granville?

- Nie jak coś, co zasugerowałyby kociak!

Stephen zaśmiał się.

- I pomyśleć, że właśnie napisałem siostrom, że na Barbadosie nie spotkałem ani jednego kociaka!

Janet rzuciła okiem na przód swego kostiumu kąpielowego.

- Przykro mi, nie mam bikini.

- Możemy je kupić - zasugerował Stephen. - Autobusy do Bridgetown zatrzymują się przed drzwiami hotelu co pół godziny.

- Mam lepszy pomysł - rzekła Janet, biorąc do ręki torbę, gdy mikrobus zatrzymał się na parkingu przed ich hotelem. - Chodź ze mną, a ja ci pokażę, jak jak się pozbyć piasku ze spodenek.

- Żaden mężczyzna nie odrzuciłby podobnej propozycji - odparł. Później jednak, gdy dotarli do dziedzińca przed domkiem i Janet przedstawiła mu swoje magiczne rozwiązanie, był rozczarowany i pełen sceptycyzmu. - Basen?

- Właśnie - oświadczyła, wsuwając kciuki pod elastyczną gumkę szortów. - Zanurzyć się szybko, to najlepszy sposób na pozbycie się tej słonej lepkości.

Stał, obserwując ją w milczeniu.

- Coś znowu nie tak? - spytała.

- Obserwowanie, jak się rozbierasz, zwiększa moje problemy.

- Może woda będzie zimna - odrzekła ze słodkim uśmiechem.

Rzuciła szorty na najbliższe krzesło i skoczyła do głębokiej wody.

- Mam nadzieję - wymamrotał Stephen pod nosem. Opadł na krzesło, chcąc rozwiązać sznurowadła swych opanowanych przez piasek tenisówek.

Po obiedzie Stephen zaproponował, by pojechała z nim do Muzeum Barbadoskiego. Uśmieli się, gdy powiedziała, że, podobnie jak on, już zarezerwowała miejsce w wycieczce.

Przygotowując się do wyjazdu na wakacje, Janet kupowała głównie szorty i bluzki. Natknęła się jednak na sukienkę, której nie potrafiła się oprzeć - klasyczna, niebieska, ozdobiona u dołu szerokim pasem bawełnianej koronki i wąską koronką u góry staniczka. Trzy cieniutkie paseczki tworzyły ramiączko. Włożyła je teraz na siebie.

Janet nie bardzo wiedziała, w jaki sposób umyć zaplecione w warkoczyki włosy, więc w końcu wylała na głowę rozcieńczony szampon i spłukiwała go pod prysznicem dłużej niż zwykle. Następnie wysuszyła je ręcznikiem. Na koniec, bez potrzeby, spryskała włosy lakierem, bo ten zapach tak podobał się Stephenowi.

Coś o tym wspomniał, kiedy jechali autokarem do muzeum. Nie było daleko, lecz autobus zatrzymywał się wielokrotnie i jazda trwała pół godziny. Janet, przyciśnięta na wąskim siedzeniu do Stephena, ledwie zauważyła, że to wszystko się przeciąga.

Nowe, niesamowite otoczenie i zmiana trybu życia rozmyły poczucie czasu. Wydawało się niemożliwe, że dwa dni temu ten mężczyzna, który siedział obok niej, był jedynie elegancko ubranym, pijanym towarzyszem podróży potrzebującym pomocy. Teraz był Stephenem Dumontem i wiedziała wiele o nim samym, o jego rodzinie, zaletach i słabostkach.

W ciągu dwóch dni spostrzegła, jak pełen jest kontrastów, które świadczyły o jego niepowtarzalności: uwielbiał śnieg, lecz nie cierpiał piasku; uwielbiał

sery, lecz nie znosił mango; mówił o siostrach jak o jędzach głosem pełnym miłości; był zdolny, inteligentny i kompetentny, jednak od czasu do czasu w rozczulający sposób okazywał się drażliwy jak rozpieszczony mały chłopczyk.

Odkryła też, jak złożona jest jego osobowość. Na pozór zepsuty do szpiku kości z powodu dostatku, w którym się urodził, i cech, w jakie wyposażyła go natura. Dla niej był jednak sympatyczny i miły. Okazywał na wiele sposobów, że uważa ją za godną pożądania, że cieszy się z jej towarzystwa, że lubi z nią rozmawiać. Byli przyjaciółmi - i stałby się czułym kochankiem, gdyby ich stosunki ewoluowały w tym kierunku.

- Janet?

Zawstydzona swymi myślami, westchnęła z zażenowaniem. Miała nadzieję, że Stephen nie dostrzeże rumieńca na jej policzkach.

- Mówiłeś coś? - spytała.

- Pytałem, czy roślinność na Florydzie jest równie bujna, jak tutaj, nawet w zimie.

- Tak - odparła, zdumiona, że nie drży jej głos. - W gruncie rzeczy rosną niemal te same rośliny: palmy, chińskie róże, krotony, barwinki i, oczywiście, paprotniki i filodendrony. Miewamy coś w rodzaju zimy, której zwykle towarzyszy jeden czy dwa łagodne przymrozki. Niektóre rośliny tropikalne podmarzają, inne przechodzą okres spoczynku. Tutaj wszystko po prostu wyrasta większe i dorodniejsze.

- Wciąż wydaje mi się dziwna, ta zieleń w styczniu - rzekł Stephen. - Jakby przyroda się pomyliła. Czy to nie monotonne, jeśli nic nigdy się nie zmienia?

- Czasami tęsknię za porami roku - przyznała Janet. - Za barwą jesiennych liści i za budzeniem się przyrody do życia na wiosnę.

- Po raz pierwszy powiedziałaś coś, co brzmi jak tęsknota za dawnym domem.

- Nie ma idealnych miejsc. Człowiek musi się zdecydować, co jest najważniejsze. Mogę poświęcić czerwone liście w październiku za ciepłe słońce w listopadzie - i w grudniu. I w styczniu. I w lutym. I w marcu. I...

- Zrozumiałem - oświadczył Stephen.

Autobus zwolnił i wkrótce zaparkował. Poprowadzono ich przez podwójne drewniane drzwi dwupiętrowego dziewiętnastowiecznego budynku, który kiedyś mieścił więzienie wojskowe garnizonu brytyjskiego. Stephen ujął dłoń Janet gestem czułym i zaborczym jednocześnie. Poznała już szorstkość jego palców na twarzy, szyi, nawet na plecach, kiedy dokazywali w turkusowym morzu. Teraz pod wpływem dotyku jego dłoni zaczęła rozważać, co by czuła, gdyby te palce pieściły jej ciało. Nie mogła się skupić na świadectwach barbadoskiej historii.

W szklanych gablotach eksponowano rozwój kartografii, niektóre mapy były datowane na siedemnasty wiek. Jednak Stephen i Janet najbardziej zaintrygowały przedmioty codziennego użytku. Bawełniane ubrania, niektóre sprzed wieku, delikatne materiały i ręcznie robione koronki wprawiły Janet w zachwyt.

- To miejscowa bawełna, ceniona na całym świecie - rzekł Stephen, streszczając objaśnienia pod ekspozycjami. - Założę się, że wtedy te stroje kosztowały majątek.

- Wpadnij kiedyś do działu luksusowej bielizny - zasugerowała Janet. - Bawełniane rzeczy wykonane tak starannie jak te nadal kosztują majątek.

Przeszli do sal poświęconych niewolnictwu, które zostawiło znaczące ślady w historii, kulturze i charakterze wyspy. Niewolnictwo, ustanowione na Barbadosie w siedemnastym wieku, razem z przywiezionymi do pracy na plantacjach trzciny cukrowej niewolnikami

z Zachodniej Afryki, zostało tu zniesione w roku 1834 - trzydzieści lat przedtem, zanim amerykańska wojna domowa położyła kres niewolnictwu w Stanach Zjednoczonych.

Całą gablotę poświęcono legendzie o nasieniu tamaryndy, które, jak mówią, przypominało ludzką głowę, gdyż jakoby na jednym z konarów tego drzewa powieszono niewinnego człowieka.

- To musi być muzeum z tamtego filmu! - wykrzyknęła Janet.

- Jakiego filmu? - spytał Stephen.

- „Nasiono tamaryndy” - wyjaśniła Janet. - To był film szpiegowski z Julie Andrews i Omarem Shariffem. Zwiedzali muzeum, zobaczyli nasiono i śmieli się z legendy. A potem, na końcu tej historii, kiedy bohaterka sądziła, że on jest martwy, wysłał jej nasiono tamaryndy, aby wiedziała, że żyje. To było takie romantyczne.

- Oczywiście szalenie się kochali - zauważył sucho Stephen.

- To przytrafia się ludziom od czasu do czasu, zwłaszcza w filmach.

- Może przytrafia się to ludziom, którzy odwiedzają muzeum na Barbadosie - rzekł, uśmiechając się, a same jego słowa grzały jak słońce.

Obejrzelik eksponaty związane z morzem. Wśród nich „żeglarskie walentynki” - drewniane pudełka przemysłnie ozdobione małymi muszelkami. Żeglarze przywozili je jako podarki dla swoich ukochanych.

- To coś dla ciebie - skomentował Stephen.

- Marynarze prawdopodobnie mieli ich całe stopy i mogli rozdawać je w każdym porcie, podobnie jak w Europie po drugiej wojnie światowej żołnierze amerykańscy rozdawali czekoladki.

- Co to znaczy? Czyżbym miał do czynienia ze sceptykiem?

- Mężczyźni to mężczyźni - przekomarzała się Janet. - A wiesz, co się mówi o marynarzach.

- Rozczarowujesz mnie, Janet. Pomyśl: samotny młody człowiek, miesiącami na morzu, nie mający innego tematu do rozmyślań, prócz dziewczyny czekającej tam, w kraju. Wyobraź sobie, jak próbuje znaleźć odpowiednie pudełko, żeby jej się podobało, z sercami w środku, by pokazać, jak bardzo ją kocha.

- W głębi duszy jesteś romantykiem - stwierdziła Janet.

Delikatnie ścisnął jej dłoń i odwzajemnił uśmiech.

- Być może akurat teraz zdaję sobie sprawę, jakie uczucie może wzbudzić w mężczyźnie ładna dziewczyna.

Nie tylko jesteś romantyczny, jesteś słodki, myślała Janet, kiedy wyszli z muzeum. W patiu głównego budynku kilkanaście długich stołów pokryto białymi, papierowymi obrusami, przygotowując bufet. Za patiem ciągnął się dziedziniec ze starymi dębami, otoczonymi tropikalnymi krzewami.

Pośrodku dziedzińca czarne kobiety w tradycyjnych bawełnianych sukniach, fartuchach i barwnych bandanach zarządzały olbrzymią misą ponczu owocowego i pokrytymi rosą dzbanami miejscowego ponczu na rumie.

Janet oderwała wzrok od dziedzińca i spojrzała na Stephena. Nagle zdała sobie sprawę, że patrzą na siebie jakoś inaczej, a milczące porozumienie sprawiło, że ciepłe, wilgotne powietrze wydało się nagle zbyt ciężkie, by nim oddychać.

- Czy wiesz, jakie myśli przychodzą mi do głowy, gdy patrzę na ramiączka na twoich plecach? - zapytał.

Potrząsnęła głową w milczeniu. Twarz ją paliła, a pierś falowała.

- Że puściłyby od jednego szybkiego szarpnięcia - ciągnął. - Wyobrażam sobie, jak by to było całować twoje obnażone ramiona, ściągnąć tę suknię w dół do

pasa, zobaczyć twoje piersi i dotknąć. Wiem, jak wyglądają, Janet, jakie są w dotyku. Widziałem cię w tym kostiumie kąpielowym. Opinał twoje piersi. I to doprowadza mnie do szaleństwa, tak jak poznanie smaku pewnych rzeczy sprawia, że ma się na nie ochotę.

- Stephen - szepnęła ochryple, zarazem pytająco i błagalnie. Wiedziała, co znaczą te słowa. Była ich świadoma. Świadoma? Wszystkie nerwy w jej ciele zostały pobudzone, zaalarmowane. Czekały.

Stephen schwycił ją za rękę i pociągnął wzdłuż fasady budynku. Szedł coraz szybciej. Jego laska wybijała pośpieszny rytm na drewnianym chodniku.

Przystanął jedynie na chwilę, by powiedzieć absurdalne „proszę wybaczyć” do pary, której omal nie stracili z chodnika, a potem podjęli pełen udręki marsz, aż dotarli do końca budynku i skręcili za róg...

ROZDZIAŁ

9

Szli wzdłuż ściany budynku coraz dalej od światła dziedzińca, aż znaleźli się w głębokim cieniu. Potem Stephen zatrzymał się i odwrócił do Janet tak nagle, że na niego wpadła. Obrócił ją plecami do budynku. Ułożył dłonie na murze, po obu jej bokach, więżąc ją między swym ciałem a ścianą.

Patrzył na jej twarz, obserwując grę bladego światła w jej oczach, w prawie zupełnej ciemności. Potem podniósł prawą dłoń i pogłaskał ją po policzku.

- Nie jesteś dla mnie kociakiem, Janet - powiedział z jakąś niepokojącą siłą.

Zanim zdołała sformułować odpowiedź, nachylił się i pocałował ją mocno w usta, namiętnie, lecz przelotnie. Potem odsunął się.

- Pragnę cię, Janet - rzekł chropawym głosem.
- Chcę się z tobą kochać, lecz nie... nie po prostu dlatego, że się właśnie nawinęłaś. Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć? Pragnę cię, lecz nie jest to... zdawkowe. Powstrzymywałem się, próbowałem sobie wmówić, że to tylko wakacyjna znajomość, że nie byłoby w porządku prosić cię o coś więcej...

Dyszał ciężko, jak po długim biegu.

- Lecz pragnę cię tak, że odchodzę od zmysłów, Janet. Nawet jeśli to ma trwać tylko teraz, kiedy jesteś-

my tu razem, podzielmy się tym. Podzielmy się sobą...
- Jęknął. - Mówię jak marynarz, który na tydzień zatrzymał się w porcie. Czy to w ogóle ma sens?

Janet wsunęła palce w jego włosy, zakryła mu uszy dłońmi i przyciągnęła do siebie jego twarz. Teraz ona zaczęła go całować i po chwili straciła nad sobą kontrolę. Płonęła.

Gdy Stephen odsunął się od niej, była rozczarowana. Opuściła głowę, czołem oparła się o jego pierś. Czuła, jak drży. Wiedziała, że i on jest oszołomiony siłą ich pożądania.

- Dzisiaj - rzekł.

Nie było to pytanie, gdyż już mu odpowiedziała. Skinęła głową, milcząco wyrażając zgodę.

Przez dłuższy czas trwali w bezruchu. Odgłosy wieczoru - rozmowy i śmiech ludzi pijących poncz na głównym dziedzińcu, szelest drzew kołyszących się w łagodnym wietrze i podobna do dźwięku piszczałek gra świerszczy - napływały, by im przypomnieć, gdzie się znajdują.

Stephen objął ją, i tym razem pocałunek, długi i delikatny, stał się obietnicą.

- Gdybym miał tu swój samochód, w okamgnieniu odwiózłbym cię do domu - rzekł Stephen. - Konia! Królestwo za konia! - dodał zdławionym głosem. Z westchnieniem przeczesał włosy palcami. - Ciekaw jestem, jak szybko można tu złapać taksówkę.

- Może powinniśmy zostać - powiedziała łagodnie Janet.

Spojrzał na nią pełen oburzenia.

- Już zapłaciłeś za bilety - rzekła. - I zdecydowaliśmy się... przyjechać.

- Zostajemy więc - skrzywił się z rezygnacją i podniósł swą laskę, a swobodną ręką wykonał zapraszający gest. - Chodźmy. Myślę, że dobrze nam zrobi coś zimnego.

Szła przed nim, a gdy skręciła, by wejść na główny dziedziniec, poczuła, jak Stephen schwycił jedno ramięczko jej sukienki i kiedy zrobiła krok do przodu, ramięczko rozwiązało się. Teraz zwisało na piersi. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

Z uśmiechem podniósł końce paseczka i związał je.
- Po prostu trenowałem - wyjaśnił.

Podeszli do stołu z napojami, a potem stali na dziedzińcu, sącząc poncz. Dwie kelnerki w fartuszkach i bandanach krążyły wśród gości z tacami wypełnionymi stosami parujących przekąsek. Jedna zatrzymała się przy nich, by zaoferować złotobrazowe kulki nadziane na wykałaczki.

- Co to jest? - spytała Janet, gdy już spróbowali.
- Rybne kulki - odparła kobieta i przeszła dalej.
- To ciekawe - rzekł Stephen, wgrzyzając się w chrupką przekąskę. - Wcale nie smakują jak ryba.
- Szczeniaczki - zdziwiła się Janet.
- Co takiego? - spytał Stephan, kończąc swą kulkę.
- Szczeniaczki. Chleb kukurydziany. W południowych stanach jada się to razem z rybą. To właśnie ten smak, tylko trochę... Nie wiem... konsystencja jest nieco inna. Może trochę inaczej miałą mąkę.

Stephen ułożył dłonie na jej ramionach, jakby nie mógł ich oderwać.

- To absurd, że tak stoimy i rozmawiamy o rybnych kulkach i jakichś śmiesznych psach, gdy ja pragnę cię tak bardzo.

- O szczeniaczkach - poprawiła go Janet.
- Powinniśmy się całować - mruzczał. - Powiniennem odwiązywać ci te ramięczka.

Pokręcił koniec jednego z pasków między palcami. Dłonią dotykał jej pleców. Czuła, jak budzi się w niej pożądanie, pociągnęła spory łyk ponczu.

Stephen przysunął się bliżej, aż wargami muskał jej ucho.

- Ostrożnie z rumem, Janet. Nie chciałybyś się przecież wstawić.

Normalnie Janet pomyślałaby, że to alkohol ją rozgrzewa. Teraz wiedziała jednak, że rumieńca na policzkach nie wywołał rum, ale oczekiwanie - po prostu oczekiwanie.

Przełknęła jeszcze trochę ponczu razem z kostką lodu, którą trzymała przez chwilę na języku, smakując chłód.

- Podają kolację - rzekł Stephen, opierając się dłońmi o bufet. - Pójdziemy?

Znaleźli swoje miejsca, zostawili drinki i laskę Stephena na stole i stanęli na końcu kolejki do bufetu. Choć prawie nic nie mówili, Stephenowi cały czas udawało się przypominać Janet, że jest przy niej. Zdawało się, że jego dłoń znalazła sobie stałe miejsce na jej ramieniu, obok ramiączek sukni, a jego palce przesuwają się tam i z powrotem po jej skórze subtelnym ruchem, który wydawałby się machinalny, gdyby nie to, że palce nieruchomiały, a Stephen czekał, aż Janet zwróci ku niemu pytająco twarz. Wtedy uśmiechał się przebiegle i znów głaskał ją na poły niewinnie.

Tutejszy bufet oferował prawie to samo, co bufet w Rockleyu: filety z latającej ryby z chlebem, mus z dyni, owoce drzewa chlebowego, pieczone kurczaki. Janet wyciągnęła talerz i pozwoliła kelnerom, by go napełnili, ale kiedy wróciła ze Stephenem do stołu, przekonała się, że ma niewielki apetyt - zwłaszcza na dynię i latającą rybę.

Składane krzesła postawiono obok siebie tak blisko, że ramię Stephena wciąż ocierało się o jej ramię, a jego umięśnione udo dotykało jej uda. „Dziś” - to słowo odbijało się echem w jej mózgu. Za parę godzin zostaną kochankami. Czuła coraz większe pragnienie. Każdy dotyk, każde znaczące spojrzenie, zapach jego

wody toaletowej - wszystko to jak przystawki zaostrzało jej apetyt.

Pokaz, na który przyszli, miał być ostatnim punktem programu. Kobiety w barwnych długich spódnicach i halkach z bawełnianych koronek oraz mężczyźni w białych spodniach, koszulach i jaskrawych, kolorowych szarfach tańczyli w rytm bębnow. Posługując się uniwersalnym językiem gestu, odtwarzali sceny z historii wyspy.

Jednak prawie każda scena dotyczyła w jakiś sposób miłości. Kobiety oczekiwały na swych marynarzy i wyglądały statków, inne czekały na swych żołnierzy. Niezszczęśliwa miłość, zdrada kochanka, nie odwzajemniona miłość - to wszystko znalazło się w scenach baletowych.

Perkusja - talerze, bęben i kocioł - pulsowała pierwotnym rytmem; rytmem serc i szalonym, coraz szybszym rytmem miłości.

Bicie bębnow rozbrzmiewało w tropikalnej nocy, a tancerze kręcili się i wirowali na scenie. Jasne podeszwy ich bosych stóp kontrastowały z ich ciemnobrązową skórą.

Atmosfera nabrzmiała zmysłowością. Każde dotknięcie siedzącego obok Stephena - ciepłego, pachnącego wykwintnymi kosmetykami - sprawiało, że Janet jak nigdy czuła się kobietą.

Stephen zebrał garść jej warkoczyków, zważył je w dłoni i lekko za nie pociągnął, aż odwróciła twarz od tancerzy i spojrzała w jego pełne pożądania oczy.

Szalony odgłos bębnow wzmagął się, a potem zamilkł w pochłaniającej dźwięki ciszy. Światła na scenie zgasły, rozbłyły światła na dziedzińcu. Wybuchły brawa publiczności. Przerwa.

- Pójdę po napoje - zaproponował Stephen. - Z rumem czy bez?

- Bez - rzekła Janet, zastanawiając się, jak on może być tak spokojny, podczas gdy ona czuła takie napięcie.

Mrożony poncz z tropikalnych owoców zwilżył jej gardło i ukoił pragnienie, lecz nie mógł ugasić żaru płonącego w całym ciele, żaru kobiety gotowej na przyjęcie kochanka.

Nagle się zaniepokoiła. Cóż wiedziała na temat szaleństw wakacyjnych romansów? Nie była przygotowana na coś takiego. Nie zabrała nawet ze sobą... Jej oczy rozszerzyły się.

Stephen wyczuł zmianę jej nastroju.

- Janet?

- Chodź ze mną - pociągnęła go za rękę.

- Co...

- Musimy porozmawiać - zaszepiała przynaglająco.

Zatrzymali się w cienistym rogu patia za opuszczonymi teraz stołami przy bufecie.

- Co się stało, Janet? - zapytał Stephen.

- Ja nie... Ja nie przywiozłam... Żartowałam z Trudy na temat romansu, który mam nawiązać, ale... - głośno odetchnęła. - Nie przywiozłam żadnego... wiesz.

- Zabezpieczenia?

- Nie pomyślałam... To znaczy, myślałam, że jeśli... że będą tutaj drogerie.

Stephen objął ją pokrępiąco ramionami.

- Jesteś taka czarująca, Janet. W porządku. Nie martw się.

Uniosła głowę, by widzieć jego twarz.

- Ty masz coś z tych rzeczy?

- Cały diabelski tuzin w portfelu.

Westchnęła.

- To świetnie. Ja... - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Zaczęła się druga część występów - skoki i bardziej śmiałe niż przedtem tańce. Rytm bębnow narastał. Szczupli i wysportowani mężczyźni w opiętych kostiumach wykonywali szalony, ekstatyczny taniec. Janet czuła napięcie w całym ciele. Stephen dotykał jej co chwila, głaskał po szyi, bawił się warkoczycami.

Wstrzymała oddech, kiedy wycisnął pocałunek na jej karku, a potem szybko polizał to wrażliwe miejsce na jej skórze. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła odwrócić się i zagubić w jego mocnych ramionach, dać się pochłonać ciemnej wyspiarskiej nocy i miłości.

Gdy przedstawienie się skończyło, Janet i Stephen wrócili do autobusu jako pierwsi. Usiedli na samym końcu i gdy po półgodzinie kierowca zamknął drzwi, uruchomił silnik i zgasił światła, Stephen otoczył Janet ramieniem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je rozwiążę - szepnął, bawiąc się ramiączkami jej sukienki. - Czy nosisz coś pod spodem?

- Tylko... - wyszeptała.

Uciszył ją.

- Nie mów nic. Sam chcę się o tym przekonać. Przebiegł palcem wzdłuż górnej krawędzi jej staniczka, jakby zapowiadając, że z łatwością da sobie z nim radę. Całował jej ramię i mówił, jaka jest słodka, a potem delikatnie dmuchał jej w ucho.

- Mam zamiar cię pożreć - obiecywał.

Autobus zatrzymywał się na kolejnych przystankach, wypuszczając pasażerów. W końcu dotarł do Rockleya i przyszła kolej na Janet i Stephena. Bez słowa przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli dróżką wzdłuż terenów golfowych.

Na brzegu pola stał stary dąb, ogromny, sękaty i czcigodny, którego sylwetka rysowała się teraz w świetle księżyca. Stephen poprowadził Janet pod gałęzie drzewa i pocałował ją tak namiętnie, że poczuła słabość w kolanach. Potem znowu ruszył. Maszerował szybko, zapominając, że kuleje, i ciągnął Janet za sobą.

Nie zatrzymał się, by zapytać: „U mnie czy u ciebie?”, lecz poprowadził ją prosto do swego bungalowu i wpuścił od razu do sypialni, gdzie klimatyzator w oknie wytwarzał niemal arktyczną atmosferę - jeśli porównać ją z duchotą panującą w innych pomieszczeniach zamkniętego bungalowu.

- Nareszcie - rzekł Stephen, biorąc Janet w ramiona.

Ich usta stopiły się w pocałunku. Stephen tulił jej ciało, poufale przyciskając ją do siebie.

Jego zaborcza męskość nie pozwalała logicznie rozumować, pozostawiając ją na łasce zmysłów. Wyciągnęła mu ze spodni brzeg koszuli i dłońmi zaczęła wodzić po twardej, płaskiej muskulaturze jego pleców.

Stephen, z ustami nadal przy jej ustach, walczył z ramiączkami sukienki, aż je rozwiązał.

Gdy oderwał wargi od jej ust, Janet dyszała ciężko. Obserwowała zafascynowana, jak Stephen podnosi dłoń i kładzie ją na jej lewej piersi. Zauważyła - dziwnie świadoma szczegółów - że kolor jego skóry kontrastuje z pastelowym błękitem sukienki. Odetchnęła gwałtownie, gdy nacisnął brodawkę i delikatnie zamknął palce wokół jej pełnych piersi. Wpiła się w twarde mięśnie na jego plecach. Paciorki przy warkoczykach zastukały o siebie, gdy przechylił jej głowę do tyłu. Mruknęła zmysłowo, kiedy poczuła, jak jego palec wślizguje się do wnętrza jej staniczka i sunie wzdłuż koronkowego brzegu.

- Spójrz na mnie, Janet - rzekł, a miękki francuski akcent sprawił, że ten rozkaz zabrzmiał jak najczulsze słowa.

Popatrzyła mu w oczy.

Całe jej ciało naprężyło się. Z niemal brutalną szybkością Stephen zsunął górę sukienki. Zaśmiał się cicho, widząc wąski koronkowy biustonosz przykrywający piersi. Cieszył się z nowej wiedzy o jej intymnych sekretach. Koronka zakrywała bardzo niewiele. Brodawki były napięte, ciemniejsze niż skóra dookoła.

Nagle poczuła ciepło - ciepło bijące ze źródła ukrytego głęboko we wnętrzu jej ciała.

Rozchyliła jego koszulę. Przez kilka sekund przyglądała się męskiej piersi. Widziała twarde wypukłości mięśni, brązowe brodawki, kępki ciemnych włosów. Pochyliła się, przyciskając miękkie pełne piersi do twardego torsu.

Zsunął koszulę i odrzucił na bok. Teraz skoncentrował się na ramionach Janet i na jej szyi. Spróbował tych miejsc językiem i przekonał się, że nie są słodkie, lecz egzotycznie smakowite. Tak może smakować tylko kobieta. Rozpaczliwie pragnął zbliżyć się do niej jeszcze bardziej, położył dłonie na jej pośladkach i uniósł ją.

Spódnica przesunęła się nieco pod jego dłonią i nagle wydało im się, że to wrogie siły przeszkadzają im się połączyć, choć tak bardzo tego pragnęli.

- Łóżko - szepnął.

Nie wypuszczając jej z objęć, cofnął się do niskiego łóżka i opadł na nie, pociągając ją za sobą. Zawinął jej spódnicę do góry, aż do talii. Majteczki zsunął jej z nóg jednym szarpnięciem. Janet mu pomagała, odrzucając bieliznę nogami, i jednocześnie zrzuciła sandały.

Stephen patrzył na jej ciało, a wyraz jego twarzy sprawiał, że Janet zrobiło się jeszcze cieplej. Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinna być skąpowa, lecz czuła się jedynie zaszczycona, że mężczyzna patrzy na nią z takim pożądaniem, i odkryła, że jego pożądanie ją samą podnieca.

Niemal z czcią dotknął jej brzucha i jego dłoń spoczywała tam lekko przez kilka sekund, zanim przesunął ją w dół. Końcami palców pogładził wzgórek między jej nogami.

Wykrzyknęła, wyprężając się w łuk.

- Pocałuj mnie - wydyszała i zagarnęła go ramionami.

Całował ją. Potężny tors wgniałał się w jej żebra. Czuła jego męskość.

Odsunął się na chwilę i, choć niezręczny z pożądania, zdołał jednak zsunąć z siebie spodnie i slipy.

Znowu wyciągnął się przy niej. Ich oczy spotkały się, a w jego wzroku Janet, prócz namietności, ujrziała czułość. Jakby na potwierdzenie pocałował ją z przejmującą delikatnością. Wsunął udo między jej uda.

- Muszę się dostać do ciebie - szepnął.

Nagle zaklął i odsunął od niej, sycząc z bólu, gdy uraził sobie bolącą nogę.

- Stephen?

- Cholera, prawie zapomniałem - rzekł. Schwycił spodnie i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu portfela. - Powinnaś mi przypomnieć.

- Ja też zapomniałam. I ja nie znam... nie jestem na bieżąco.

Spojrzał na nią - odsłoniętą i bezbronną. Spódnica zwinięta wokół talii, góra sukienki opuszczona. Nie jest na bieżąco. Nie była przygotowana. Gratulacje, Dumont, oto nagroda za brak wrażliwości.

Usiadł na brzegu łóżka tuż obok niej i odgarnął warkoczyki z jej twarzy, rozkładając je wachlarzem na poduszce.

- Jak się zdejmuje tę sukienkę? Przez głowę czy...

- Przez głowę byłoby prościej - odparła siadając.

Zebrał sukienkę rękami i przesunął przez jej ramiona i głowę, a potem dotknął koronkowego, opuszczonego aż do talii biustonosza.

- A to?

- Tak samo.

Z tym poszło trudniej, gdyż biustonosz był obcisły. Przesuwał go ostrożnie, starając się nie otrzeć jej piersi.

Janet ujęła w dłonie twarz Stephena.

- Czy wiesz, jakie to erotyczne, gdy rozbierasz mnie w ten sposób?

- Wiem, Janet.

- Pocałuj mnie.

- Mam zamiar zrobić coś więcej. - Uważnie oglądał koronkę staniczka. - Jaka śmieszna część garderoby!

Janet wyrwała mu biustonosz, rzuciła w kąt pokoju i ponownie ujęła twarz Stephena w dłonie.

- Pocałuj mnie.

Spełnił tę prośbę, lekko dotykając jej warg, lecz kiedy chciał się odsunąć, otoczyła jego szyję dłońmi.

- Porządnie.

- W żaden sposób nie można pocałować porządnie nagiej kobiety - oświadczył. - Kiedy zacznę całować cię naprawdę, znajdziemy się natychmiast tam, gdzie byliśmy, kiedy wstałem, by wziąć swój portfel.

Jego wzrok powędrował ku jej piersiom.

- Bezpieczny seks to dno, wiesz o tym? - Delikatnie zsunął jej ręce ze swej szyi.

Już wcześniej znalazł prezerwatywę w swym portfelu i umieścił foliową torebkę na szafce nocnej. Teraz ją otworzył. Janet patrzyła zafascynowana, jak za-

czyna ją zakładać. Zauważył, że go obserwuje, i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Jesteś piękny - powiedziała. - Piękny mężczyzna. Czy potrzebna ci pomoc?

- Ty będziesz mi potrzebna, kiedy założę to cholerstwo. - Patrzył na nią i widział, jaka jest ładna. - Chyba nie będę miał problemów z zachowaniem gotowości.

- Ja również nie - oświadczyła i nieoczekiwanie dla obojga wyciągnęła rękę.

Stephen powtórzył swoje zdanie na temat bezpiecznego seksu, tym razem z większą energią, i przekreślił się nagle, wiążąc Janet pod sobą.

- A teraz się pocałujemy - oświadczył. - Porządnie, nieporządnie i na wszelkie inne sposoby, jakie nam tylko przyjdą do głowy.

I całowali się - porządnie, nieporządnie, zupełnie nieporządnie. Krótko, długo, próbnie. Powolnie, pośpiesznie, słodko. Gorąco, szaleńczo, z miłością. A gdy Janet szepnęła: „Teraz, Stephen”, wniknął w jej ciepłą, mokrą, aksamitną miękkość. Minęło kilka sekund, nim dostosowali się do tej najbardziej poufałej pieśczęty dwóch ciał, nim Stephen zaczął się poruszać delikatnie, a Janet odpowiedziała mu falowaniem dopełniającym jego ruchy. Nie dostrzegali niczego prócz siebie i szalonego pożądania prowadzącego obydwójce do spełnienia.

Janet pierwsza osiągnęła zmysłowy szczyt.

- Obejmij mnie - szepnęła. - Proszę. Obejmij.

Uścisnęła go z zadziwiającą siłą, a on pokrywał jej twarz delikatnymi pocałunkami.

- Taka słodka - wyszeptał. - Słodka, słodka Janet.

Powoli odprężyła się, a jej oddech się uspokoił.

Znowu zaczął się poruszać, z początku delikatnie, a potem szybciej, podczas gdy jej dłonie igrały na jego plecach, aż zaczęło się jego własne odprężenie. Ukoła

go, tak jak on ukoił ją, głaszcząc jego włosy i całując go w skroń, kiedy spoczywał na niej słaby i usatysfakcjonowany.

W końcu westchnął, zsunął się z niej ostrożnie i usiadł, opuszczając nogi na podłogę.

- Bezpieczny seks to dno - powtórzył i wyszedł z pokoju.

Po kilku minutach powrócił i zatrzymał się w drzwiach, by spojrzeć na Janet, która leżała z prześcieradłem podciągniętym pod pachy, mając plecy odsłonięte aż do talii.

Podszedł do łóżka, myśląc, jakim jest szczęściarzem. Nie wchodził pod prześcieradła - wyciągnął się przy niej, położył jej dłoń na ramieniu i przesunął po jej ręce. Później koniuszki jego palców zatańczyły na jej gładkich plecach. Westchnęła rozleniwiona. Było to westchnienie najczystszej przyjemności, jak mruczenie kota.

- To było dla mnie coś bardzo specjalnego, Janet - oświadczył.

Przewróciła się na drugi bok. Uśmiechała się.

- Uwielbiam, jak wymawiasz moje imię. Twój akcent je zmiękcza.

Stephen uśmiechnął się.

- Jaki akcent?

- Twój francuski akcent, głuptasie. W twoich ustach moje imię brzmi bardziej czule.

- Może to moje uczucia, a nie akcent.

Janet podniosła się na łokciu tak, że ich twarze niemal się dotykały.

- Co masz na myśli?

- Że jesteś dla mnie bardzo wyjątkową kobietą.

Położyła głowę na poduszce tuż obok jego głowy.

- Kiedy tak mówisz, właśnie tak się czuję.

Umilkli na chwilę, zamyśleni, zadowoleni. Stephen odgarnął jej warkoczek z policzka.

- Twoje włosy ładnie pachną, Janet... - zaczął.

- Ale? - spytała, odczytując wahanie w jego głosie.

- Ale bardzo chciałbym przeczesywać je palcami i nie słyszeć stukania paciorków, gdy cię całuję.

- Długie i rozpuszczone - rzekła Janet. Rozbawiło ją to, że przewidziała taką sytuację. - Zaczynaj od tych na dole i posuwaj się do góry.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?

- Chyba trudno byłoby mi spać na paciorkach.

Parę minut później leżała zwrócona do niego plecami, a on odwijął folie, usuwał koraliki i rozczesywał warkoczki palcami. Trzeba było zaczynać od końca i posuwać się powoli w górę, rozplatając splot po splotcie. Po paru próbach pracował ze zręcznością chirurga.

Dotyk koniuszków palców, kiedy przesuwał je powoli ku jej głowie, i pocałunki, którymi pokrywał jej kark, ramiona i plecy po rozpleceniu każdego warkoczka, wprawiły ją w zmysłowy błogostan.

To boskie uczucie - tak leżeć z mężczyzną, który poświęca ci całą swoją uwagę i tak delikatnie manewruje swymi silnymi rękami. To intymne zajęcie uspokajało, usypiało. Janet nie miała ochoty poruszyć nawet najmniejszym mięśniem.

- Włosy zrobiły ci się bardzo puszyste - zauważył Stephen.

- Gdy się rozplecie warkocze, włosy zawsze się kręca.

Płynęły minuty lenistwa i słychać było tylko regularny stuk paciorków wrzucanych do popielniczki.

- Twoje siostry noszą francuskie imiona - zagadnęła w końcu.

- A Stephen nie jest francuski i chcesz się dowiedzieć, skąd je mam.

- Uhm - potwierdziła Janet.
- Nosze imię trenera narciarskiego mego ojca. Był nie tylko trenerem - również przyjacielem.
- Musiał czuć się zaszczycony, że dano ci jego imię.
- Dla mnie był jak dziadek. Opowiadał mi historyjki o moim ojcu. O olimpiadzie i o wszystkich biedach, jakie mogą spotkać narciarza i jacy wszyscy byli dumni, kiedy mój ojciec zdobył medale. - Stephen wrzucił następny paciorek do popielniczki i zanim zaczął rozplatać warkoczyk, westchnął. - Niewiele o nim wiem. Umarł, kiedy miałem siedem lat.

Rozplótł warkoczyk, potem kilka następnych, a potem pocałował ją za uchem.

- Odwróć głowę, muszę sięgnąć z drugiej strony.
- Jak to jest, kiedy się wyrasta w cieniu sławnego ojca? - zapytała. Twarz miała teraz zwróconą w jego kierunku.

- Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. To był mój ojciec i akurat był sławny. Wydawało mi się to całkowicie normalne, bo zawsze tak było. Ojciec miał charyzmę, ludzie do niego łąnęli. Uwielbiali go za energię i talent, ja również go za to uwielbiałem.

Przerwał i chwilę rozmyślał.

- - Nauczył mnie jazdy na nartach, gdy tylko zacząłem chodzić. Obserwowałem, jak porusza się po śniegu, tak zręcznie, tak umiejętnie, że zawsze zapierało mi to dech w piersiach. Przyswoiłem sobie wszystko, co mógł mi przekazać. Jednak w moim wypadku jazda na nartach to głównie technika. Talent mam ledwie trochę większy niż przeciętny. U niego technika tylko jakby wzmacniała olbrzymi talent. Był predystynowany do zdobycia olimpijskiego złota, ja natomiast wygrałem mistrzostwa Kanady, gdyż po prostu dopisało mi szczęście.

Wziął w dłonie na wpół rozpleciony warkoczyk.

- Nie wygrałbym, gdyby nie to, że inny narciarz doznał kontuzji tuż przed zawodami. Nie chciałem zdobywać mistrzostwa w taki sposób. Czułem się prawie tak, jakbym oszukał przyjaciela, narciarza lepszego ode mnie.

- To chyba naturalne w sporcie wyczynowym? Medal otrzymuje się za najlepsze wyniki w pewnym szczególnym czasie, pewnego konkretnego dnia. Czy sportowcy nie są przygotowani na to, że będą się im przytrafiały kontuzje i czy to ryzyko nie jest nieodłączną częścią wszystkich zawodów?

- Tak sądzę - zaczął i zawahał się. - Jeśli rozważyć to na zimno, myślę, że to prawda, chociaż... Chyba nikt naprawdę nie przypuszcza, że przydarzy mu się coś takiego. Nigdy nie myślałem... Mój ojciec całe życie jeździł na nartach i nie miał poważniejszej kontuzji, najwyżej jakiś naciągnięty mięsień. Sądziłem, że będę niezwykleszy jak on.

- Czy ciągle jesteście sobie bliscy?

- Tak. Nigdy nie utracił charyzmy, energii. Nawet gdyby nie był moim ojcem, podziwiałbym go tak, jak podziwia go wielu innych ludzi.

- Byłeś późnym dzieckiem.

Stephen uśmiechnął się.

- Późno się ożenił, miał już czterdziestkę. Był znanym playboyem - można by nawet powiedzieć, znanym na całym świecie playboyem. Uważano go za doskonałą partię. Jego małżeństwo wywołało mnóstwo szumu i domysłów. Żona była o wiele młodsza i znacznie różniła się od dziewcząt z elity, z którymi się spotykał.

- Jak się poznali?

- Zjawiła się w pensjonacie Dumont w sprawie pracy, a mój ojciec szalenie się w niej zakochał. Pobrali się parę tygodni później.

Ułożyła policzek wygodniej na poduszce i westchnęła.

- To bardzo romantyczne.

Stephen rzucił kolejny koralik do popielniczki, a potem schylił się, by pocałować ją w zwrócony ku niemu policzek.

- Tak. Zawsze mnie zdumiewało, że coś takiego się zdarzyło. To wydaje się takie... absurdalne, że po tamtych wszystkich kobietach zobaczył jakąś nieśmiałą pianistkę i proszę! - miłość od pierwszego wejrzenia. A jednak po trzydziestu pięciu latach nadal są sobie bardzo bliscy. Nikt nie może w to wątpić. To nie jest tylko przyzwyczajenie.

- Moi rodzice też byli sobie bliscy. Gdy ojciec umarł, matce było ciężko, zwłaszcza że śmierć ojca była nieoczekiwana. Myślę, że przeprowadzka dobrze jej zrobiła. Zmusiła ją do zmiany trybu życia. Łatwiej dzięki temu przeżyła odejście ojca.

- Kiedy umarł?

- Przed trzema laty - rzekła cicho Janet. - Sprzątał podjazd i dostał ataku serca. To była szybka śmierć.

- Podczas odgarniania śniegu.

- Od kilku lat miał podwyższone ciśnienie, prócz tego były jeszcze inne sygnały ostrzegawcze, lecz on - my wszyscy - nie zauważaliśmy ich.

- Ale umarł na śniegu.

Zamknęła oczy i zrobiła głęboki wydech.

- Tak.

- Tak mi przykro, Janet.

- Niech ci nie będzie przykro. - W jej otwartych oczach Stephen dostrzegął ból. - To było nieuniknione. Mogło się wydarzyć także latem, gdy strzygł trawę.

Przeczesał palcami rozplecioną partię włosów i odgarnął je na bok. Gdy pochylał usta, by pocieszyć ją pocałunkiem, palcami pieścił jej policzek.

- Jeszcze tylko kilka, tu na samym szczycie głowy. Minutę później przeczesał palcami wszystkie włosy. Wzburzał je, by stały się puszyste.

- Są wszystkie poskręcane, prawda? - spytała Janet. Nie podobała jej się jego rozbawiona mina. - Wszystkie są poskręcane i wyglądam śmiesznie. - Naciągnęła prześcieradło na głowę i usłyszała, jak jego uśmiech zmienia się w serdeczny śmiech. - Chciałam wyglądać jak Bo Derek, a prawdopodobnie wyglądam jak fracuski pudel, który wsadził ogon do kontaktu.

Stephen przesunął dłonią tam i z powrotem po prześcieradle otulającym jej ciało. Zatrzymał rękę na wypukłych pośladkach, a potem dał jej mocnego klapsa. Janet wciągnęła powietrze i gwałtownie usiadła, odrzucając prześcieradło.

Stephen zaśmiał się triumfalnie.

- Pomyślałem, że to zwróci twoją uwagę.

Chciała zaprotestować z oburzeniem, lecz zamknęła jej usta pocałunkiem. Głaskał ją po głowie, ponownie kładąc na łóżko. Jego tors rozkosznie gniótł jej obnażone piersi. Stephen całował jej policzki, podbródek, szyję.

- Zupełnie nie przypominasz pudła - szepnęła.

Jego głos, ochryply z podniecenia, działał jak afrodyzjak. Wodziła dłońmi po umięśnionych ramionach, plecach i karku.

- Twoje włosy są miękkie, Janet. Pachną tak ładnie. I ty jesteś piękna.

Przesuwał usta od szyi do obojczyka, smakując jej skórę językiem. Położył zgiętą w kolanie nogę na jej nogach. Ciepło jego ud, promieniujące przez prześcieradło, podniecało. Jego męskość nabrzmiewała. Chciał być powtórnie przyjęty do tego ciepłego, intymnego miejsca w jej wnętrzu.

Jego świeży zarost łagodnie drażnił jej piersi. Szalenie ją to pobudzało. Wodził palcem dookoła brodawki

i patrzył, jak twardnieje. Potem wziął ją do ust. Ssał ją, drażnił językiem, ciągnął. Janet przesunęła się, by mógł sięgnąć do drugiej piersi, której poświęcił tę samą, pełną miłości uwagę.

Pod prześcieradłem głaskał ją po żebrach. Potem ustami zsunął się do jej pępka. Zagłębił język w tym dołeczku, dłonią głaskał wrażliwy obszar w złączeniu jej nóg.

Uniósł głowę, by szepnąć jej do ucha, że jej pragnie i spytać, czy jest już gotowa go przyjąć. Kiedy pytał, jego palce znalazły odpowiedź - jednoznaczny dowód tej gotowości. Pocałunkiem stłumił jej zmysłowe westchnienie, a potem, gdy oderwał od niej wargi, pomrukując zaprotestowała.

- Czas myśleć odpowiedzialnie - rzekł, szczypiąc ją w policzek. - Muszę teraz iść do łazienki.

Skinęła głową, lecz jej ramiona zacisnęły się wokół jego szyi.

- Bezpieczny seks to dno - rzekła bez tchu.

ROZDZIAŁ

10

Janet zastanawiała się, co Stephen tam robi. Wydawało jej się, że nie ma go już bardzo długo, przypuszczała jednak, że to z niecierpliwości czas tak się dłuży.

Uniosła rękę do włosów. Pamiętała jeszcze dotyk Stephena. Nie mogła się zorientować, jak wygląda, lecz była przekonana, że Stephen uprzejmie skłamał, gdy twierdził, że wcale nie przypomina pudła.

Wciąż czuła skutki jego dotyku: nabrzmiąte piersi, gorąco w całym ciele, pożądanie.

Co on tak tam długo robi?

Powodowana nagłym impulsem, wygramoliła się z łóżka. W szafie wisiało kilka koszul. Nałożyła jedną - nie chciała być zupełnie naga, choć nie pozapinała guzików. Drzwi do łazienki były uchylone - w lustrze widziała Stephena. Stał nad umywalką, uznała więc, że może wejść. Zapukała delikatnie i pchnęła szerzej drzwi.

- Janet! - zawołał z miną osoby nieprzyjemnie zaskoczonej.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, że pożyczę twoją koszulę. Chciałabym tylko obejrzeć moje włosy, jak śmiesznie wygi...

Umilkła skonsternowana, gdy zobaczyła przyczynę, dla której Stephen tkwił tak długo w łazience.

Nachmurzona twarz Stephena pokryła się rumieńcem.

- Zatłukę tę Brigitte!

- Jest w paski - stwierdziła Janet. Nie odrywała wzroku od jego przywdzianej w gumę męskości.

- One miały być zrobione „w pracowni artysty”, lecz sądziłem, że chodzi tylko o kolory.

- Ten jest zielony - stwierdziła Janet. - Zielony i w paski.

- Nazywa się „Traper w dżungli”. Brzmi to bardziej niewinnie niż „Bananowa kiełbaska” czy „Namiętny pieprz”, ale - spojrzał groźnie na Janet - zaśmiej się tylko i niech mnie...

Ale wiedział, że będzie się śmiała - śmiech miała już na wargach.

- Przepraszam - powiedziała chichocząc - to po prostu takie nieoczekiwane.

- On załatwi to, co ma załatwić - oznajmił Stephen, biorąc ją w ramiona i nachylając się, by ją pocałować.

Stephen wiedział, że jeśli kobiety chichoczą, trzeba postępować z nimi surowo - nie darmo miał dwie siostry.

- Janet! - rzucił ostro.

Ten ostry ton na chwilę ją uspokoił, ale tylko na chwilę. Gniewny wyraz jego twarzy wydał jej się tak zabawny, że opanował ją nowy atak chichotów.

- Kobiety to najbardziej nieznośne stworzenia na ziemi! - zrzędził Stephen. - Na miłość boską, Janet, przestań się ze mnie śmiać - zawołał z irytacją. - Mogę się na zawsze zezłościć i więcej nie...

- To nie z ciebie - odparła z wysiłkiem pomiędzy atakami chichotu. - To naprawdę nie jest... to... po prostu... taki... zielony!

Stephen warknął z irytacji, schylił się, ujął ją pod kolana i zarzucił sobie na ramię.

- Stephen! - zawołała Janet. Zaskoczona, przestała chichotać. - Stephen! Postaw mnie!

- Pokażę ci, co się robi z histerycznymi panienkami!

- Twoja noga - powiedziała - nie powinieneś...

- Mężczyźni z zielonymi łodyżkami potrafią wszystko - rzekł. - I przestań się wiercić.

By nadać powagi swym słowom, wlepił jej serdecznego klapsa.

Przebrnął jakoś przez drzwi łazienki, zamknął je za sobą kopnięciem, rzucił Janet na łóżko i przygniótł ją sobą.

- Mniesz własną koszulę - zauważyła.

- Do diabła z koszulą - mruknął i zapamiętale zaczął całować Janet.

- Teraz nie ma to już znaczenia, że jest zielony w paski, prawda? - zapytał ochrypłym, zmysłowym głosem.

Znowu namiętnie ją pocałował.

- To się nazywa uczucie zbijające z nóg - zauważyła Janet.

Stephen, ciężko dysząc, ujął ją za pośladki, uniósł lekko i połączył z nią.

- To się nazywa... przeznaczenie - powiedział.

Dużo później leżeli przytuleni do siebie i szczęśliwi.

Janet przysunęła się jeszcze bliżej i wypowiedziała jego imię.

- Hmm? - zapytał leniwie.

- Dlaczego chciałeś zatłuc Brigitte?

Gdy się obudził, w łóżku przy nim nie było nikogo. Chwilę rozpamiętywał ubiegły wieczór i wszystko, co się z nim wiązało, lecz potem się zaniepokoił. Wkrótce jednak odczuł ulgę - szum wody w łazience świadczył, że Janet nadal jest w bungalowie.

Po paru minutach otworzyły się drzwi łazienki. Stephen zamknął oczy i udawał, że śpi. Janet miała na sobie jego rozpiętą koszulę. Zaczęła zbierać rozrzucone po pokoju części swojej garderoby. Stephen patrzył spod wpółprzymkniętych powiek, odczuwając przyjemność, że tak ją podgląda bez jej wiedzy.

- Nie masz chyba zamiaru włożyć tego wszystkiego i zostawić mnie? - zapytał.

Zaskoczona, instynktownie zebrała na piersi połę koszuli.

- Nie chciałam cię budzić.

- Pytałem, czy miałaś zamiar stąd wyjść?

Po jej twarzy przemknęło poczucie winy.

- Chciałam zostawić karteczkę.

- A może byś mi przekazała jej treść ustnie? - zaproponował. Wyczuwał między nimi jakiś dystans.

- Zapisałam się na wycieczkę na dziś rano. Muszę umyć włosy i zmienić ubranie.

Ujął ją za rękę gestem czułego kochanka.

- Nie jedź na wycieczkę - zaproponował. - Spędź dzień ze mną.

Widać było, że walczą w niej sprzeczne uczucia.

- Już za nią zapłaciłam.

Nie spierał się, lecz cisza i jego mina były wymowne.

To milczenie denerwowało ją, spychało na pozycję obronne.

- Nie podróżuję wiele. Chciałabym obejrzeć wyspę - rzekła zirytowana, że czuje się zmuszona do usprawiedliwień. - Cały czas opiekuję się turystami. Chciałabym dla odmiany sama być turystką.

- O której godzinie wyruszacie?

- Za piętnaście ósma.

- A która jest teraz?

- Parę minut po szóstej.

Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

- Ile czasu ci potrzeba, by się przygotować?

- Godzinę.

Wciąż z tym samym uśmiechem ujął jej rękę i zaczął całować przegub.

- Całą godzinę?

- Trzy kwadranse - poprawiła.

- Mamy więc czas - rzekł triumfalnie i pociągnął ją na łóżko - by powiedzieć sobie dzień dobry!

Kochali się czule i niespiesznie.

Jeszcze zanim Stephen odprowadził ją do bungalowu, zastanawiała się w duchu, czy robi mądrze. Z jednej strony, wiedziała, że nie powinna rezygnować z opłaczonej wycieczki. Uznała, że to samolubne ze strony Stephena prosić ją, by nie jechała - przecież on podróżował znacznie częściej od niej.

Z drugiej jednak strony, niemal każdy może wybrać się na Barbados i oglądać turkusowe morze, tropikalną roślinność, jaskinie i stare kościoły. A ile kobiet spotkało mężczyznę takiego jak Stephen Dumont? Rozsądek jednak zwyciężył, Janet weszła do swego bungalowu, by doprowadzić się do porządku przed wyjazdem. Miała wrażenie, że wystarczy rzut oka na jej twarz, i każdy będzie wiedział, jak spędziła tę noc.

Goście przebywający w Rockleyu tłoczyli się w głównym holu hotelu. Podzieleni byli na pary lub rodziny. Wyraźnie odróżniały się dwie grupy: plażowicze w kostiumach kąpielowych i kłapkach oraz wycieczkowiec w bawełnianych szortach, koszulkach i tenisówkach.

Plażowicze szybko przeszli do mikrobusów. Janet przyjrzała się pozostałym turystom i doszła do smutnego wniosku, że na podwójnym siedzeniu będzie jej towarzyszyła starsza kobieta, która miała pecha być jedyną, prócz Janet, samotną osobą na wycieczce. I po to zrezygnowała ze spędzenia dnia w towarzystwie Stephena Dumonta?

Nagle poczuła klepniecie na ramieniu.

- Hej, ślicznotko, siedzisz z kimś specjalnym?
- spytał znajomy głos.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała prosto w twarz człowiekowi, o którym właśnie rozmyślała.

- Nie sądzisz chyba, że tak łatwo pozwoliłbym ci odejść, gdybym już wcześniej nie wykupił miejsca na tej wycieczce?

- Wcześniej?

- Uhm. Wczoraj. Miałem zamiar się urwać i spędzić dzień z tobą, lecz kiedy upierałaś się, że pojedziesz, postanowiłem zrobić ci niespodziankę. - Uśmiechnął się jak psotny chłopiec. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Miała nadzieję, że uśmiech, którego nie zdołała powstrzymać, nie upodabnia jej do rozanielonej idiotki.

Autobus wycieczkowy pojawił się punktualnie. Gdy wyszli z holu, zdziwili się, widząc nadciągające chmury deszczowe. John, ich kierowca i przewodnik, pięćdziesięciolatek, zapewnił, że chmury te prawdopodobnie przyniosą krótką ulewę i rozwieją się.

I rzeczywiście. Gdy autobus wjechał na główną nadbrzeżną szosę Barbadosu, lunął deszcz. Padał jednak tylko kilka minut i pozostawił po sobie szeroką, kolorową tęczę, która wydawała się wytryskiwać z morza. Jej żywe kolory nad turkusową wodą odzwierciedlały nastrój Janet.

- Jaka wspaniała - rzekła z zachwytem.

Stephen położył jej rękę na ramieniu. Obserwowali razem zjawisko, póki autobus nie skręcił w kierunku lądu.

Roślinność wokół szosy stawała się coraz bujniejsza. Gdy zbliżali się do Holetown, John przez mikrofon opowiedział im o drogich terenach między szosą a morzem. O domach za wiele milionów dolarów i o światowej sławy hotelu Sandy Lane, miejscu spotkań gwiazd filmowych, legendarnych muzyków rockowych, królów i przywódców państw.

Potem przejechali przez Speightstown w St Peter. Dwukondygnacyjne sklepy ozdobione balkonami w tyłu georgiańskim usytuowane wzdłuż wąskich uliczek miasta przypomniały Janet dzielnicę francuską w Nowym Orleanie.

W St Lucy Parish, kilka kilometrów dalej, krajobraz ożywiły malownicze domki. Były drewniane, pomalowane na jaskrawe kolory, wokół drzwi i okien miały ozdobną cieszolkę. Niektóre z nich przykrywały dachy z blachy falistej.

- W połowie dziewiętnastego wieku - objaśniał John - wielu dawnych niewolników zostało robotnikami kontraktowymi. Mieszkali na plantacji, lecz ziemię, na której stały ich domy, dzierżawili od właściciela. Nauczyli się budować składane domy, które można było przenosić z miejsca na miejsce. Domy stały się częścią ich majątku ruchomego.

- Przenośne domy, jakby przyczepy kempingowe w stylu barbadoskim - szepnęła Janet do Stephena.
- Interesujące.

Na tle kwitnących poisencji i chińskich róż domki wydawały się tak nieodłączną częścią przyrody, jakby one również wyrosły z tej gleby. Lecz w rzeczywistości nie miały korzeni - były przenośne.

- Nie ma dwóch identycznych domków - kontynuował John - lecz zauważycie w nich pewne wspólne cechy. Na przykład drewniane żaluzje w oknach, które można ściągnąć na dół podczas silnych burz czy huraganów. Na Barbadosie silny huragan miewamy mniej więcej raz na stulecie. Ostatni, który uderzył na wyspę z pełną siłą, to cyklon Janet w 1955 roku.

Stephen uśmiechnął się i spojrzał z ukosa na Janet.

- Cyklon Janet! To nie do wiary.

Bardziej na północ teren wyspy stawał się skalisty i pozbawiony roślinności. Pierwszy przystanek - Jas-

kinia Zwierząt-Kwiatów - był usytuowany na spękanym klifie niedaleko północnego krańca wyspy.

Janet i Stephen już w połowie schodów prowadzących w głąb jaskini uświadomili sobie, że zrobili błąd, nie przepuszczając przed sobą innych. Stephen ze swą usztywnioną nogą nie mógł szybko schodzić po stromych stopniach i powstał zator.

Janet ujęła rękę Stephena i założyła ją sobie na ramiona.

- W razie czego oprzyj się na mnie.

- Pospadamy i skręcimy sobie karki - szepnął ponuro Stephen, lecz turyści popychali ich z tyłu i musiał zastosować się do jej rady.

Wilgotne skaliste dno jaskini okazało się niemal tak zdradliwe jak schody, znaleźli jednak w końcu miejsce przy ścianie, gdzie mogli stanąć, nie tarasując drogi innym.

Gdy wszyscy zeszli, John pokazał im wypukłości na ścianach jaskini, bardzo podobne do żółwia i ludzkiej dłoni. Były to formacje naturalne - wynik działania wody morskiej.

- Gdy będziecie oglądać jaskinię, zwróćcie uwagę na małe jeziorka w jej dnie. Zobaczycie anemony przyssane do stalagmitów i stalaktytów - powiedział John do całej grupy. - Od tych żyłatek pochodzi nazwa jaskini, gdyż niektórym ludziom przypominają one kwiaty, gdy tak otwierają i zamykają swe macki.

Turyści ruszyli na zwiedzanie.

- Możesz iść z nimi, Janet - zaproponował Stephen. - To, że jestem inwalidą...

- Inwalida, rzeczywiście. Nie dramatyzuj. Ja też nie mam ochoty walnąć pupą o kamienie. Chodźmy popatrzeć na ocean.

Skrzywił się z irytacją, gdyż wiedział, że Janet chętnie obejrzałaby jaskinię.

- Wszystko w porządku, Stephen. Jaskinie to nie jest moje ulubione miejsce. Widzieliśmy dłoń i żółwia, a anemony mogę sobie pooglądać u siebie na Florydzie, w sklepie zoologicznym po sąsiedzku. Naprawdę chciałabym obejrzeć urwiska.

Bez pośpiechu wspięli się na schody. Z krawędzi urwiska obserwowali wspaniałe, rozbryzgujące się w mgiełkę fale. Janet wciągnęła do płuc morskie powietrze i wypuściła je, delektując się jego smakiem.

- Zawsze chciałam zobaczyć takie urwisko - oświadczyła. - Tu jest jak w romantycznej powieści. Mam wrażenie, że za chwilę ujrzę tonącą łódź Rebeki de Winter.

- Kto to jest Rebeka de Winter?

Janet wyglądała na zaskoczoną.

- Nie opowiadaj, że nie czytałeś Rebeki.

Z jego spojrzenia wywnioskowała, że nie czytał.

- A może widziałeś film? - spytała z nadzieją.

- Nakręcił go Alfred Hitchcock. Grali Joan Fontaine, Judith Anderson, Laurence Olivier i George Sanders.

Żadnej reakcji.

- Jak mogłeś nie czytać ani nie oglądać Rebeki?

Stephen wzruszył ramionami.

- Co to za powieść?

- Och, wspaniała. O prostej młodej dziewczynie, która zakochała się w bogatym mężczyźnie. Nazywał się Maxim de Winter. On też się w niej zakochał, gdyż była taka niewinna i bezpretensjonalna. Pobrali się, a on zabrał ją do swej rezydencji zwanej Manderley położonej na nadmorskim urwiskiem, takim jak to.

- I żyli potem długo i szczęśliwie.

- To dopiero początek akcji - odparła nieco zniecierpliwiona. - Otóż jego pierwsza żona, Rebeka, która była oszałamiająco piękna, utonęła, a nowa żona dostała obsesji na jej punkcie, gdyż tamta była niezwykle światową, urodziwą damą i wszyscy ją

podziwiali. Gospodyni, która uwielbiała Rebeke, trzyma wszędzie jej rzeczy, na przykład srebrne szczotki do włosów z wygrawerowanymi literami „R”. Pokój Rebeki wydaje się wręcz zamieszkały. Nowa żona zadręcza się i uważa, że Maxim nie mógłby pokochać jej tak, jak kochał Rebeke.

- A powiadają, że tak trudno o dobrą pomoc domową.

- Proszę cię, nie kpij. Chyba nie opowiadam tego zbyt dobrze. Trzeba to przeczytać lub zobaczyć; odczuć sposób, w jaki narasta napięcie, gdy ona znajduje na wszystkim wielkie ozdobne „R” - Daphne Du Maurier umyślnie nie przydaje bohaterce imienia i nazwiska, by podkreślić poczucie braku tożsamości młodej kobiety.

- Co się dzieje dalej? Czy okazuje się, że tak naprawdę Rebeka żyje?

Janet potrząsnęła głową.

- Wszystko się zmienia, kiedy na skałach rozbija się statek i nurek, który szuka ofiar, znajduje łódź Rebeki z ciałem w środku, a władze postanawiają sprawdzić, czyje to ciało, gdyż już pogrzebano kogoś, kogo Maxim zidentyfikował jako Rebeke. A Maxim opowiada bohaterce, że zabił Rebeke w sprzeczce i rozmyślnie zatopił łódź z jej ciałem oraz złożył fałszywe zeznanie, by nikt tego nie odkrył.

- Musiała poczuć się bardzo pewnie, wiedząc że poślubiła mordercę - stwierdził ironicznie Stephen.

- W pewnym sensie, owszem. Widzisz, on naprawdę nienawidził Rebeki, ponieważ była zimna, egoistyczna i miała w sobie coś z nimfomanki. Bohaterka mimo wszystko się ucieszyła, gdyż była przekonana, że on jej nie może pokochać, póki kocha pierwszą żonę. To właśnie sprawia, że historia jest taka romantyczna

- to, co on zrobił, nie jest takie ważne w porównaniu z faktem, że nie kochał Rebeki i w związku z tym, nie ma przeszkód, by kochał bohaterkę.

- Złapano go?

- Oczywiście bardzo się tego bali. Kiedy władze odkrywają, że Łódź została celowo uszkodzona, rozpoczyna się śledztwo i wszystko wskazuje na to, że Maxim będzie sądzony za morderstwo. A potem wychodzi na jaw, że Rebeka dowiedziała się, iż jest śmiertelnie chora, i nie czeka jej nic prócz bólu i powolnej śmierci. Zwalniają Maxima, bo myślą, że popełniła samobójstwo.

Przerwała, by zaczerpnąć tchu.

- Gdy Maxim uświadamia sobie, że Rebeka go sprowokowała, by ją zabił, ma poczucie, iż go pokonała, ponieważ potrafiła nim manipulować nawet w chwili śmierci. Nie można z całą pewnością powiedzieć, że żyli potem długo i szczęśliwie, jednak znaleźli spokój po tym, kiedy oszałała gospodyni spaliła Manderley.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Stephena z irytacją.

- Dlaczego mi na to pozwoliłeś?

- Na co?

- Żebym tak paplała i paplała. Czuję się jakbym brała udział w audycji „Pięć minut klasyki światowej”.

- Bardzo mi się podobało, jak opowiadałaś. Byłaś taka przejęta.

- Musisz zobaczyć film. Dostał Oscara. Jest dostępny na wideo. Obiecay mi, że go poszukasz po powrocie do Kanady.

- Obejrzę go na wielkim ekranie w holu.

- Ale najpierw musisz przeczytać książkę.

- Jak mógłbym się oprzeć po takiej recenzji?

Zamyśliła się nagle i zamarła w bezruchu, patrząc na niespokojny ocean.

- Wrócisz do Kanady, będziesz miał inne zajęcia i zapomnisz o tym.

Stephen ujął ją za podbródek i zbliżył jej twarz do swojej.

- Tak mało ufasz moim obietnicom?

- To głupie z mojej strony, że prosiłam cię, byś obejrzał romantyczny film i przeczytał starą powieść, gdy najwyraźniej nie lubisz historii tego rodzaju.

- Chcę zobaczyć ten film, a kiedy będę go oglądał, będę wspominał to urwisko i ciebie.

Janet poczuła się, jakby przeniesiono ją, przynajmniej na moment, na stronicie szalenie romantycznej powieści. Nie miało znaczenia to, że nie znajdowali się w Anglii, lecz na Barbadosie, że klif nie był naprawdę taki wysoki, że wiała tylko łagodna bryza, a nie silny wicher smagający włosy i ubranie. Te szczegóły zupełnie się nie liczyły. Liczył się i zakłócał doskonałość tej chwili tylko fakt, że dla nich długie i szczęśliwe życie skończy się w momencie, gdy w poniedziałek odleci samolot Stephena.

Niecałą dobę byli kochankami, a już perspektywa pożegnania psuła piękno czasu, jaki im pozostał.

ROZDZIAŁ

11

Autobus jechał teraz na południe, wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, i krajobraz znowu się zmieniał. Minęli stożkowaty młyn Morgana Lewisa, ostatni z zaprojektowanych przez Holendrów pięciuset młynów, które kiedyś pracowały na wyspie. To dziwne, ale wśród kołyszących się palm i tropikalnej roślinności młyn wydawał się na właściwym miejscu.

Ze szczytu Wiśniowego Wzgórza rozciągała się malownicza panorama. Nazwa pochodziła od kępy drzew porastającej zbocze i tworzącej w jednym miejscu kopułę nad szosą. Nie były to jednak wiśnie, lecz mahoń.

- Zwróćcie uwagę na kozy pasące się na zboczach - rzekł John do mikrofonu. - To wcale nie są kozy, to owce barbadoskie. Mają na sobie mało wełny z powodu ciepłego klimatu i właśnie dlatego większość przyjezdnych sądzi, że to kozy. Gdy się zatrzymamy, będziecie mogli przyrzeć się im lepiej. Z tego pagórka rozciąga się również najbardziej malowniczy widok na wyspę. Ci z państwa, którzy mają aparaty fotograficzne, powinni teraz sprawdzić, czy jest w nich film.

Stephen zostawił swoją kamerę w hotelu, lecz Janet wyciągnęła z torebki mały prosty aparacik.

- Moje koleżanki z pracy byłyby rozczarowane, gdybym nie przywiozła fotografii.

- Zrobię ci zdjęcie na szczycie pagórka - zaproponował Stephen.

- Nie, nie - sprzeciwiła się Janet. - To ja zrobię ci zdjęcie. Ty będziesz tematem numer jeden opowieści w czasie oglądania zdjęć. Oczywiście Ellie i Beth, moje dwie najlepsze przyjaciółki, oskarżą mnie, że ci zapłaciłam za pozowanie do fotografii.

Stephen zaśmiał się.

- Dlaczego miałyby cię o coś takiego oskarżać?

- Ponieważ historia o tobie jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa. Kawaler, bardzo przystojny i w dodatku sympatyczny. Nigdy mi w to nie uwierzą. Sądzą, że wrócę poparzona słońcem i z poobcieranymi stopami, a nie...

- Nie? - przekomarzał się, rozbawiony rumieńcem na jej policzkach.

- Nie... z takim samopoczuciem, jakie miałam dziś rano.

- Ja czuję się tak samo, Janet. - Uścisnął ją na potwierdzenie swych słów.

Tym razem nie popełnili błędu - wyszli z autobusu ostatni. Większość wycieczkowiczów już wspinała się po zboczu ku punktowi widokowemu, lecz kilkoro skupiło się wokół miejscowego pasterza, który stał tam ze skapo owłosionym jagnięciem. Pozwalał je turystom głaskać i fotografować w zamian za drobne sumy pieniędzy.

- Chciałabym je potrzymać - oznajmiła Janet Stephenowi. - Poczekajbyś ze mną w kolejce?

Kilka minut później Stephen patrzył na Janet i jagnię przez obiektyw. Jagnię trącało nosem jej twarz i Janet zaśmiała się. Stephen pstryknął zdjęcie i żałował, że nie ma własnego aparatu.

- Sfotografuj również pasterza - powiedziała, przyzywając mężczyznę gestem. Pasterz podszedł, lecz

spełnił jej prośbę z miną męczennika, jakby robił to już wcześniej setki, może tysiące razy.

Stephen patrzył na kontrastujące ze sobą elementy skomponowanej przez Janet sceny: jagnię - młode, drobne i łagodne; Janet - śliczna, o jasnej cerze, z błyskami słońca w ciemnych włosach; pasterz - stary i chudy, z wysmaganą wiatrami, hebanową skórą, kaprawymi oczyma i włosami przyprószonymi siwizną. Zrobił dwie fotografie, jedną po drugiej, i opuścił aparat.

Janet chciała zwrócić jagnię pasterzowi, lecz on pokazał gestem, by trzymała je dalej, gdyż żaden turysta już na nie nie czekał. Stephen widział, z jaką przyjemnością Janet trzymała i głaskała zwierzę.

- Może zechciałabyś jednak obejrzeć najpiękniejszą panoramę Barbadosu? - zapytał, wskazując szczyt pagórka.

Widok, który ich czekał po mozolnym kuśtykaniu na szczyt, wart był tego wysiłku. Drzewa i krzewy stoły się w zielone tło, drogi wiły się jak żółte wstążeczki, domy wyglądały jak malowane pudełka zapalek, a całą scenę oświetlało jaskrawe słońce wśród białych jak bawełna obłoków na tle jasnoblękitnego nieba.

- Już zapomniałam, jak piękne mogą być góry i doliny - rzekła Janet, oddychając głęboko i gładząc jagnię. - Floryda jest taka płaska. Ale dla ciebie to chyba zaledwie mrowisko, jeśli porównujesz je z Górami Skalistymi.

- Niemniej jest tu bardzo ładnie - odparł Stephen. - Choć nie można jeździć na nartach.

Obróciła się do niego i zaproponowała:

- Może je pogłaszczesz?

Stephen potarł jagnię między uszami. Zwierzę podstawiło łepkę do dalszego głaskania.

- Widzisz? Lubi cię.

- Tobie też się podoba, prawda?

- Jak można nie lubić czegoś tak małego i ufnego. Biedne łyśawe maleństwo.

- Janet, można cię na chwilę przeprosić? Spotkamy się przy autobusie.

- Czy coś się stało? - spytała, zaniepokojona.

- Jest coś... po prostu chciałym coś sprawdzić.

- Pójdę z tobą - zaproponowała.

- Nie, Janet. Ja... to coś, co chciałym załatwić sam.

- A twoja noga...

- Janet, nie niańcz mnie. Doskonale mogę zejść z tego pagórka bez pomocy.

- Cóż, jeśli musisz... Spotkamy się zatem przy autobusie.

Patrzyła za nim, jak zaczyna schodzić, lekko kulejąc, i miała ochotę rzucić się mu na pomoc, gdy nastąpił zdrową nogą na ruchomy kamień i musiał przenieść cały ciężar ciała na chorą nogę.

Ale opanowała ten impuls i uśmiechnęła się, słysząc jego ulubione przekleństwo. Ambitny facet! Dlaczego z takim uporem stara się być niezwyknięzony? Trudno, jeśli nawet będzie zjeżdżał ze wzgórza na tylnej części ciała, nie chciała tego oglądać.

Kilka minut później zeszła z pozostałymi turystami do autobusu. Stephen, tak jak obiecał, już tam czekał.

- Widzę, że ci się udało - zauważyła.

- Czy dostanę złoty medal za pokonanie o lasce tego pagórka?

Janet popatrzyła na niego z ukosa, a potem zajęła się jagnięciem.

- Lepiej odnieśmy to małe do tatusia i wsiadajmy.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Stephen. - John rozdaje napoje, więc trochę potrwa, zanim odjedziemy.

- Ale gdzie się podział pasterz? - spytała Janet. Potem zauważyła, jak odchodzi drogą, jakieś pięć-

dziesiąt metrów od nich. Prychnęła z irytacją. - Chyba będziemy musieli go gonić.

- Nie musisz go gonić - oświadczył Stephen.

Spojrzała na niego ostro.

- Jeżeli on albo ty myślicie, że zostawię to maleństwo, by się tu włóczyło, to obydwaj się mylicie.

Stephen pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Nie musisz go też zostawiać, Janet. Jagnię jest twoje. Należy do ciebie. Kupiłem je od pasterza.

Zaśmiał się, widząc, jak jest oszołomiona.

- Co zrobiłeś?

- Kupiłem je od pasterza. To prezent.

- Stephen!

- Nie podoba ci się?

- Oczywiście, że mi się podoba. Jest malutkie i słodkie. Ale co mam robić z jagnięciem?

- Cieszyć się nim - oświadczył, a potem widząc jej rozterkę, dodał: - Tylko podczas pobytu na wyspie. Kiedy będziesz wyjeżdżała, poprosimy kogoś z hotelu, by odwiózł je pasterzowi.

- Ale to zwariowany pomysł.

- Co w tym zwariowanego? Lubisz je trzymać, ono lubi, jak się je trzyma. Nawet mnie lubi, sama mi to powiedziałaś.

Położył jej lekko rękę na ramieniu.

- Chciałem ci ofiarować coś szczególnego, Janet, coś, czego nie dał ci dotąd żaden mężczyzna.

- O, z pewnością ci się udało! Jak mam je karmić? I gdzie je będę trzymać. Hotel...

- Janet, ja całe życie mieszkałem w hotelu i wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli się je odpowiednio zorganizuje. Czy pozwolisz mi się tym zająć?

Kiedy nie odpowiedziała, przynaglił ją:

- No, więc jak? Zatrzymujesz jagnię czy mam pokuśtykać za pasterzem?

Janet popatrzyła na stworzonko, potem na Stephena.

- Jak mogłabym nie przyjąć tak szczególnego daru - rzekła, jakby słowa przychodziły jej z trudem.

Stephen wziął ją w ramiona razem z jagnięciem. Powstrzymała łkanie i ukryła twarz na jego piersi, by nie zauważył, jak bliska jest płaczu. W jej głowie kołatało się jedno pytanie: „Jak mam się z tobą pożegnać na zawsze, skoro się w tobie zakochałam?”

Stali tak objęci, póki John nie zawołał ich do autobusu. Potraktował obecność jagnięcia z typową wyspiarską nonszalancją.

- Zdaje się, że przybył nam nowy pasażer - ogłosił ze swego miejsca, a Janet i Stephen przeszli do swych foteli w towarzystwie okrzyków: „Ach, jakie ono słodkie!”

Jeśli nawet jagnię niepokoiło się podróżą, nie dało tego po sobie poznać. Zwinęło się w kłębek i zasnęło na kolanach Janet, a ona głaskała je z roztargnieniem.

- Biedactwo, wygląda jak zmywaczek firmy Brillo.

- Myślę, że właśnie nadałaś mu imię - powiedział Stephen.

- Chyba masz rację - zgodziła się Janet, głaszcząc kościsty grzbiet zwierzątka.

Zatrzymali się na obiad w hotelu Atlantic w Bathsheba. Tutaj, w rybackiej wsi z kamienistą plażą, pośród bungalowów i palm, na turystów czekała bosa dziewczynka, może sześćioletnia. Od głowy pod dziwnymi kątami odchodziły nieregularne warkoczyki. Proponowała turystom kupno muszelek.

Z pomocą Johna, Stephen zaproponował jej zajęcie: miała opiekować się jagnięciem, gdy oni pójdą na obiad.

Posiłek jedli na zacienionym tarasie wychodzącym na Tent Bay, w której każdego ranka miejscowi rybacy zarzucali sieci.

Obiad składał się z kurczaków, groszku, ryżu i ciastka. Kiedy zjedli, zeszli po długich, krętych schodach z tarasu na ulicę.

Dziewczynka siedziała obok autobusu z jagnięciem pod pachą. Kiedy się zbliżyli, wzięła jagnię na rękę i wstała.

- Jagnię miłe, miłe, miłe. Lizzie robi dobra praca - oświadczyła. Dopiero gdy dostała od Stephena trochę monet, oddała jagnię Janet.

- Masz na imię Lizzie? - spytała Janet. Dziecko przytaknęło. Janet wskazała na jagnię. - Ono nazywa się Brillo. Potrafisz to powiedzieć?

- Brillo - powiedziała dziewczynka z nieśmiałym uśmiechem. Potem, wyczuwając potencjalnych klientów, złapała swoje wiaderko i wyciągnęła je przed siebie.

- Widzicie te muszle? One ładne, ładne, ładne. Znaleźć je rano.

- Nie... - zaczął Stephen, lecz Janet uciszyła go gestem ręki. Uśmiechnął się. - Może powinniśmy obejrzeć te muszle - stwierdził. - Mam w domu dwie małe dziewczynki, którym się mogą spodobać ładne muszle z Barbadosu.

Lizzie podsunęła mu wiaderko pod nos.

- One ładne, ładne, ładne.

- Może pokazalibyśmy je mojemu kierownikowi działu zakupów - rzekł Stephen, mrugając do Janet.

Lizzie popatrzyła, nie rozumiejąc.

- On tak mówi na mnie - wyjaśniła dziecku Janet. Podała Brillo Stephenowi, uklękła i starannie wybrała kilka muszelek.

- Ile za to wszystko?

Teraz Lizzie rozumiała doskonale.

- Trzy barbadoskie dolary.

- Kupione - oświadczyła Janet. Sięgnęła po swą portmonetkę, lecz Stephen złapał ją za rękę.

- Nic z tego. Pamiętasz, co powiedziałem? Jesteś tylko moim kierownikiem działu zakupów. Ja płacę za wszystko.

Z jagnięciem w jednej ręce i aparatem w drugiej, Janet sfotografowała Stephena, jak wręczał dziecku pieniądze.

- Powinna je zatytułować „Naciągnięty kanadyjski turysta” - rzędził, gdy wracali do autobusu.

- Była taka urocza. Te wielkie oczy i te śmieszne warkoczyki.

- Powinnaś się była przynajmniej trochę potargować, Janet. Dostałabyś całe wiaderko za dolara.

- Ale ona była taka milutka.

- Milutka jak mały gangster. A pani, panno Granville - schylił się, by pocałować ją w czubek nosa - była łatwym celem. Kupować muszle!

- One ładne, ładne, ładne - rzekła lekko Janet. Zakładam, że są dla twoich siostrzenic. Opowiedz mi o nich - dodała, kiedy już się usadowili.

Stephen przez chwilę zastanawiał się, co ma powiedzieć.

- Nicole ma dwanaście lat i bez przerwy chichocze, a Jennifer ma dziesięć i chichocze jeszcze częściej.

- A wuj Stephen kocha je do szaleństwa.

Żywo zaprotestował.

- To właśnie postępek w stylu Claire - mieć córki zamiast synów. Myślę, że taki już mój ciężki los - żyć stale w otoczeniu chichoczących kobiet.

Janet powstrzymała uśmiech po tym wyznaniu męczennika.

Nie nabierzesz mnie, Stephenie Dumoncie. Ani odrobinę, pomyślała, głaszcząc Brillo.

- Stephen? - spytała po chwili milczenia.

- Uhm?

- Przepraszam, że chichotałam w nocy z powodu tego... wiesz czego.

Usta Stephena skrzywiły się z irytacją.

- Nie śmiałam się z ciebie. Ty jesteś... cóż, mężczyzną robiącym wrażenie.

Odpowiedział jej lekko ironiczny uśmiech.

- Bardzo męskim?

- Tak, bardzo męskim.

Męskim, inteligentnym, dowcipnym, opiekuńczym i w ogóle mającym wszystkie cechy, jakich zawsze szukałam w mężczyźnie, dodała w duchu.

Autobus zaparkował przed kościołem pod wezwaniem świętego Jana.

Janet niosła jagnię na rękach, gdy zwiedzali cmentarz - niektóre grobowce pochodziły aż z siedemnastego wieku. Potem zatrzymali się na urwisku na obrzeżach cmentarza. Stephen objął Janet z tyłu ramionami i oparł brodę na jej ramieniu. W milczeniu podziwiali piękno dziwnie ukształtowanego przez fale przyboju.

- Nie chcesz zrobić tu zdjęcia? - spytał Stephen.

- Nie jest mi potrzebne zdjęcie.

Nie muszę mieć obrazu na papierze, bo będę nosiła w sercu wspomnienie tej chwili, pomyślała Janet.

- Mnie też nie - odparł i pocałował ją w czubek głowy.

ROZDZIAŁ

12

- Nie mogę uwierzyć, że robię coś takiego - oznajmił Stephen.

- Teraz masz o czym pisać do domu na tych swoich ohydnych pocztówkach.

- „Kapałem dzisiaj jagnię. Szkoda, że was tu nie ma”. Kto by uwierzył w coś takiego?

- Ono tak spokojnie stoi - zauważyła Janet, kierując dłonią strumień wody na grzbiet jagnięcia. - Bardzo grzecznie, prawda, Brillo?

Nie byli pewni, jak jagnię zareaguje na wodę, lecz Janet uparła się, że jeśli Brillo ma wchodzić do bungalowu, nawet na krótko, musi być najpierw wykapany.

Jagnię było bardzo zadowolone, że się je mydli, szoruje i spłukuje. Stało grzecznie pod kranem na dziedzińcu, blisko basenu, znosząc tarcia i ugniatania, szczęśliwe, że poświęca się mu tyle uwagi. Gdy skąpe futerko było mokre, jagnię wydawało się jeszcze mniejsze.

Janet wytarła Brillo specjalnie przygotowanym ręcznikiem.

- Jest taki słodki, Stephen. Jaki wspaniały prezent. Nie zapomnę, żeś mi je dał.

Stephen nagle spowaźniał.

- Nie chciałbym, żebyś mnie zapomniała, Janet. Jej oczy zdradziły mu, co czuła, zanim jeszcze wyraziła to słowami.

- Na pewno nigdy cię nie zapomnę.

Zapadła wymowna cisza. Przerwało ją dopiero beczenie Brillo.

- Ono chyba chce się trochę przejść - rzekła Janet, dodając jagnięciu otuchy poklepywaniem.

Stephen przemawiał uspokajająco do jagnięcia. Przywiązał je na długiej smyczy z materiału do stołu w patiu. Dreptało w koło, badając zasięg smyczy, a potem z entuzjazmem zaczęło skubać suche płatki owsiané, które Janet postawiła w plastikowej misce.

Potem poszli popływać, a gdy wyszli z basenu, słońce niemal już zaszło. Janet wzięła ręcznik, opadła na leżak i westchnęła z rozleniwieniem.

- Jesteś zmęczona? - spytał Stephen.

- Uhm. Turystyka może być wyczerpująca. A ja prawie nie spałam zeszłej nocy.

- A czemuż to? - spytał, uśmiechając się znacząco.

- Chrapiesz! - odparła przekornie.

Stephen zaśmiał się.

- Nie spaliśmy przecież na tyle długo, byś mogła się o tym przekonać!

- Wyśpimy się lepiej, jeśli dziś pójdziemy do osobnych bungalowów - zasugerowała.

- Pokazałaś mi się w kostiumie kąpielowym, kręciłaś się tu dookoła przez cały dzień w krótkich szortach. Po tym wszystkim nie mogę przystać na twoją propozycję, moja pani.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że pragniesz mojego ciała?

- Każdego centymetra. - Wziął ją za rękę. - Chodźmy. Tracimy czas. Mamy go bardzo niewiele i nie możemy zmarnować ani sekundy.

Poszedł się przebrać i po kwadransie pukał niecierpliwie do drzwi Janet.

- Nie jestem jeszcze ubrana - rzekła, wystawiając głowę na zewnątrz.

- Doskonale. - Stephen zdecydowanie wszedł do bungalowu, a potem podziwiał jej skąpy sarong z ręcznika hotelowego. - Cieszę się, że się pośpieszyłem.

Nie zdołała mu odpowiedzieć, bo już ją całował. Ręcznik opadł na podłogę.

Kilka godzin później zawołali taksówkę i pojechali do pizzerii na późną przekąskę.

Kiedy wrócili do Rockleya, upewnili się, że Brillo jest bezpiecznie przywiązana do ogrodzenia bungalowu Stephena i że jej naczynie z wodą jest pełne. Potem wycofali się do klimatyzowanej sypialni Stephena, gdzie kochali się, drzemali, znów się kochali, a potem zaspokojeni zapadli w głęboki sen, który trwał prawie do południa następnego dnia.

Potem powędrowali do hotelowego sklepu po zapasy na piknik i zrobili sobie kanapki w patiu u Stephena. Gdy skończyli posiłek, rzucali okruchy chleba gołębiom, wróblom i wronom, które, jak wiedzione radarem, zawsze przylatywały tam, gdzie było jedzenie. Brillo trącała nosem nogi Janet, prosząc o więcej płatków. Janet nabrała płatków i jagnię jadło jej z ręki.

- Łatwo się przystosowała do życia z ludźmi - skomentował to Stephen.

- Uhm - mruknęła Janet. Słońce stało wysoko, wokół rosła bujna zieleń, a ona siedziała w cieniu ze swym kochankiem, karmiąc ptaki i jagnię i czuła się w pełni szczęśliwa - Mogłabym zostać tu na zawsze - rzekła.

- A może zostałabyś jeszcze na tydzień? - spytał Stephen. Janet, zdziwiona, odwróciła się do niego,

a on ciągnął dalej: - Moglibyśmy wypożyczyć małego dżipa. W dzień zwiedzać wyspę, a w nocy...

Janet westchnęła smętnie. Stephen nie musiał jej mówić, co mogliby zrobić po nocach - wiedziała to aż nazbyt dobrze. Mogliby się jeszcze mocniej w sobie zakochać.

Już przecież liczyła godziny, które im pozostały. Czas był bezlitosnym wrogiem. Zastanawiała się, jak powie mu „żegnaj”, kiedy będzie wyjeżdżał w poniedziałek rano na lotnisko.

- Nie mogę zostać na następny tydzień - powiedziała bezbarwnym głosem.

Nie mogę zakochać się w tobie jeszcze mocniej, a później pożegnać cię na zawsze, dodała w duchu.

- Muszę spędzić z tobą więcej czasu, Janet - rzekł Stephen. - To nie do pomyślenia, że pojutrze mam uścisnąć cię na pożegnanie, wsiąść do samolotu i wszystko się skończy. To... to nie może tak być.

Janet szukała właściwych słów, by mu powiedzieć, że przedłużanie ich pobytu byłoby błędem. Szukała właściwych słów - i odwagi.

- Muszę wracać. We wtorek powinnam być w pracy. A ważności mojego biletu nie da się przedłużyć ani otrzymać zwrotu pieniędzy. Nie mogłabym sobie pozwolić na drugi bilet, a tym bardziej na dodatkowy tydzień pobytu. I tak nadszarpnęłam swój budżet, kiedy Trudy się wycofała i w końcu zapłaciłam pełną cenę bungalowu, a nie połowę.

- Jeśli to tylko sprawa pieniędzy...

Potrząsnęła głową.

- Proszę cię, Stephen, nie proponuj mi tego.

Zacisnął usta, bo już miał powiedzieć, że z łatwością może sobie pozwolić na bilet lotniczy dla niej i na jeszcze jeden tydzień pobytu w Rockleyu dla nich dwojga. Chciał, by zrozumiała, że pieniądze nie mają

znaczenia, a ona jest dla niego kimś szczególnym, ze rozpaczliwie pragnie spędzić z nią więcej czasu. To, co chciała mu przekazać było jasne: nie godziła się być „kociakiem na jeden tydzień”.

Niech diabli wezmą jego siostry i całą tę historię z kociakami.

- Masz dzisiaj ochotę na coś specjalnego? - zapytał po dłuższej chwili.

Potrząsnęła głową.

- Nie. A ty?

- Chcę coś kupić dla mojej rodziny. Sklepy mogą być jutro pozamykane, a w poniedziałek przed wyjazdem nie będę miał czasu.

- Zawsze jestem gotowa robić zakupy - oświadczyła Janet.

Czy beztroška w jej głosie zabrzmiała w jego uszach równie fałszywie jak w jej własnych? Czy on naprawdę ma zamiar odlecieć samolotem w poniedziałek?

- Jeszcze raz do Bridgetown? - spytał Stephen.

- Pod Bridgetown znajduje się wioska słynna z rękodzieła. Wyroby sprzedają miejscowi rzemieślnicy - powiedziała Janet. - Miałam zamiar ją zwiedzić.

- Autobus czy taksówka? - przekomarzał się Stephen.

W Pelican Village trafili na targowisko. Stephen i Janet przeszli się najpierw po całym terenie, zaglądając do licznych straganów. Patrzyli na barbadojskie batiki, ręcznie plecione kosze, ręcznie tkane serwety, makatki, aromatyczne wyroby z korzenia wetiweru, drewniane rzeźby, ozdobne drobiazgi z muszelek i skóry oraz gliniane garnki i dzbanki. Potem, siedząc przy chłodzonych napojach w barze, dyskutowali, co ma kupić Stephen.

Za poradą Janet zdecydował się na batiki dla matki i siostr, szmaciane lalki, w których można trzymać piżamy, dla siostrzenic i rzeźby z mahoniu dla ojca i szwagra.

Stephen umiał kupować. Większość mężczyzn po prostu złapałaby parę szmacianych lalek i rzuciła je na ladę. On natomiast starannie obejrzał przynajmniej kilkanaście, zanim wybrał te, których miny, jego zdaniem, pasowały do osobowości siostrzenic.

W sklepie z drewnianymi figurkami brał rzeźby do ręki, podnosił do okna, do światła, oglądał pod różnymi kątami. W końcu wybrał ptaka dla ojca, a psa dla Claude'a.

- Claude szaleje za psami - objaśnił Janet, gdy sprzedawca zawijał rzeźby w tkaninę. - To taki rodzinny żart: Claire mówi, że ożenił się z nią ze względu na psy Dumontów.

- Chowacie psy w pensjonacie?
- Tylko dwa. Bernardyny.
- Czy używa się je do odnajdywania turystów?

Stephen potrząsnął głową.

- Te nasze to pieszczochy, a nie psy pracujące. Ale goście je uwielbiają. Ojciec kupił pierwsze, kiedy otwierał pensjonat, i od tamtego czasu zawsze mieliśmy parę. Ich imiona pochodzą od nazw miast szwajcarskich, Mortie od Saint Moritz i Bernie od Berna.

- Tak chciałabym je zobaczyć! - wykrzyknęła Janet, zbyt późno zdając sobie sprawę, co takie oświadczenie może znaczyć.

- Może tego lata...

Może bym cię odwiedziła, a potem czuła się tak samo jak teraz, gdy przyjdzie pora pożegnania?

- Trudno dostać urlop w lecie - powiedziała głośno. - Kraina Magii jest pełna gości.

- Szkolne wakacje. Oczywiście - uświadomił sobie Stephen, wyraźnie rozczarowany.

Dotarli do sklepiku z batikami. Pośród tej obfitości szali, bluzek, spódnic, sukni i kaftanów Stephen czuł się mniej pewnie niż wśród drewnianych figurek i lalek. Po długich wahaniach zdecydował się na kupno kaftanów, gdyż miały uniwersalne rozmiary. Wydawało się, że cena nie ma dla niego specjalnego znaczenia.

Wybrał jaskrawe kolory, decydując się szybko na motyle dla Claire i kwiaty dla matki.

- A teraz dla Brigitte - rzekł. Nie mógł się przekonać do żadnego z pozostałych wzorów.

Obrócił się do Janet, unosząc brwi.

- Co byś radziła?

- Zakładam, że kwiaty nie są w jej typie.

- Z pewnością nie.

- Wzór w ryby jest dość atrakcyjny - rzekła Janet, rozpościerając dolny brzeg jednego z kaftanów, tak, by mogli zobaczyć utrzymany w turkusowo-żółtej tonacji wzór przedstawiający ryby pływające w morzu.

- Tak. Ryby będą doskonałe - stwierdził Stephen, a potem mruknął: - Można mieć tylko nadzieję, że to piranie.

Na ścianie za ladą wystawiono wspaniałą bawełnianą suknię. Nieskazitelnie biała, elegancka, lecz prosta, z haftowanym karczkiem i długimi, rozkloszowanymi rękawami zakończonymi falbanką. Kliny sprawiały, że opięta u góry, długa do kostek spódnica, przechodziła u dołu w klosz. Brzeg sukni był wykończony tak jak rękawy.

Kiedy Stephen podpisywał rachunek, sprzedawczyni zauważyła pełen podziwu wzrok Janet, patrzącej na suknię.

- Ładna, prawda? - spytała, wymawiając słowo „ładna” z charakterystycznym wyspiarskim akcentem.

Janet skinęła głową.

- To pomysł jednego z tutejszych projektantów - dodała sprzedawczyni. - Haft richelieu i falbanki na brzegach są wykonane ręcznie.

- Bardzo elegancka - skomentowała Janet, nawet nie trudząc się, by popatrzeć na cenę.

- Doskonała na ślub na wyspie, prawda?

- Tak - zgodziła się Janet. - Byłaby idealna na ślub.

Z łatwością mogła sobie wyobrazić bosonogą, stąpającą po plaży pannę młodą w tej białej bawełnianej sukni.

Stephen uznał, że kobieca, niewinna, godna pożądania Janet wyglądałaby w tej sukni uroczo. Już miał zaproponować, by ją przymierzyła, lecz się powstrzymał. Wiedział, że by się nie zgodziła, chociaż pragnął, żeby o nim myślała, gdy wróci na Florydę. Chciał, aby wspominała czas, który spędzili razem, tę szczególną jedność ich ciał i dusz.

- Więc skończyliśmy - przerwała mu rozmyślania.

Spojrzał na plastikowe torby z zakupami, które zgromadził, i obdarzył ją znajomym uśmiechem.

- Całe szczęście. Gdybym kupił coś jeszcze, nie mógłbym domknąć walizek.

Wzmianka o pakowaniu walizek zaboląła Janet. Starła się nie myśleć o jego wyjeździe, o swej ostatniej samotnej nocy na Barbadosie, o tym, że przez resztę życia będzie się zastanawiać, co by się zdarzyło, gdyby on nie był Dumontem - mężczyzną, który choćby z racji swego nazwiska przynależy górom - i gdyby ona kiedyś omal nie zamarzła na śmierć na poboczu drogi w Minnesocie.

Zdziwiła się, gdy Stephen, jakby pod wpływem impulsu, wprowadził ją do sklepu jubilerskiego i oświadczył, że pragnie jej kupić drobiazg na pamiątkę pobytu na wyspie. Janet wahała się. Czuła, że to niewłaściwe przyjmować drogi podarunek, a jednocześnie chciała posiadać coś ofiarowanego przez Stephena.

To wyraz jego oczu przesądził sprawę. Patrzył z uwielbieniem na jej twarz i błagał milcząco: chcę, byś mnie pamiętała, Janet.

Tak jakbym potrzebowała jakiegokolwiek przypomnienia. Tak jakbym mogła zapomnieć małe jagnię, które mi kupiłeś, zapomnieć o tym, jak nienawidzisz piasku w spodenkach i jak koniuszkami palców rozczesywałeś moje włosy, myślała Janet.

Odwróciła głowę, by nie widział jej łez, i ze wzruszeniem kiwnęła głową na znak zgody.

Po długich naradach wybrali wisiołek z koralu, oprawny w złoto. Stephen koniecznie chciał kupić złoty łańcuszek, by mogła natychmiast zawiesić ozdobę, choć zapewniała go, że ma już jeden w domu. Podtrzymała włosy, kiedy zapinał jej łańcuszek na szyi. Potem schylił się i pocałował ją w kark. Janet zamknęła oczy i na sekundę oparła się o Stephena, gdyż potrzebowała jego siły. Potem wyprostowała się i odstaąpiła o krok, a on uregulował należność.

Nadchodzące rozstanie całkowicie zaprzętało ich myśli. Dopiero gdy wjechali w dzielnicę handlową Bridgetown, Stephen odezwał się po raz pierwszy.

- Musimy się tu zatrzymać. Wstąpię do drogerii.
- Z ciepłym, przebiegłym uśmiechem pochylił się i szepnął: - Mnie osobiście nie zżera ciekawość, jak wygląda „Bananowa kiełbaska”.

Janet trzymała wisiołek, koniuszkami palców i myślała, że chciałaby dać Stephenowi coś specjalnego na pamiątkę. Przychodziła jej na myśl tylko jedna rzecz, która by się do tego nadawała, a i tak nie miała pewności, czy to trafny wybór. Mimo wszystko warto było spróbować.

- Chcę wpaść do Cave Shepherd, kiedy będziesz załatwiał sprawy w drogerii - powiedziała mu.

- To tylko kilka przecznic stąd. Może byśmy razem odwiedzili oba sklepy?

- Nie, ja... - urwała. - Chcę coś sprawdzić. A jeśli to mają, dam ci to w odpowiednim momencie jako niespodziankę.

- Udało ci się dostać to, czego szukałaś? - spytał, kiedy spotkali się na umówionym rogu. Nie musiał jednak pytać, gdyż uśmiechała się łobuzersko i pod pachą niosła firmową torbę Cave Shepharda.

- Uhm - potwierdziła.

- I to wszystko, co masz zamiar mi powiedzieć?

- Na razie - odparła zadowolona z siebie. - A ty? Kupiłeś to, co chciałeś?

Podniósł w górę mały pakiecik.

- Zadanie wykonano.

Gdy wrócili do Rockleya, ochłodzili się w basenie, potem się kochali, potem razem wzięli prysznic i ubrali się do kolacji. Poszli do restauracji „U Wściekłej Ani”, bo podobała im się ta nazwa. Jedli wspaniałe żeberka z rusztu na dziko z barbadoskim ryżem. A kiedy Janet była przekonana, że niczego już nie przełknie, Stephen zamówił lody, gdyż wiedział, że ona za nimi przepada.

Po powrocie do hotelu wzięli Brillo na przechadzkę wokół pola golfowego, a potem urządzili sobie pływa-

nie o północy. Później kochali się zapamiętane, ze świadomością, że ich wspólny pobyt dobiega końca.

Następnego ranka, w niedzielę, Janet obudziła się w deszczu pocałunków. Kochali się namiętnie i żarliwie.

Godzinę później siedzieli w patiu i przygotowywali sobie lunch z resztek piknikowych zapasów. Jagnię zebrało o płatki. Wrony obserwowały ich pilnie z wysokich konarów, jaskółki z krzaków, a gołębie krążyły po murawie, czekając na okruszki.

Nigdy tego nie zapomnę, myślała Janet, nawet najdrobniejszego szczegółu. Przez resztę życia, kiedy zobaczę jagnię lub wronę czy usłyszę gruchanie gołębia, wspomnę, jak siedziałam w patiu ze Stephenem Dumontem, żałując, że nie można wypowiedzieć magicznych słów: „chwilo, wróć!”

- Będę to wspominał przez całe życie, za każdym razem, gdy będę jadł kanapkę z szynką - rzekł Stephen, jakby czytał w jej myślach. - Janet...

Obróciła się ku niemu i dotknęła palcami jego ramienia, pragnąc, wbrew rozsądkowi, by jej powiedział, że się szalenie w niej zakochał i błaga, by pojechała z nim do Kanady.

Nie zrobił tego jednak. Podniósł dłoń, by pogładzić jej policzek. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale zrezygnował. Potrząsnął wolno głową i rzucił garść okruszków gołębiom.

Mnie też dostają się okruszki, pomyślała Janet z bolącym sercem.

W ostatnim dniu nie robili prawie nic, cieszyli się tylko swoim towarzystwem. Oprowadzili Brillo po terenach Rockleya, pływali w basenie i opalali się na leżakach.

Janet wynalazła jakiś pretekst, by wrócić do swego bungalowu, i odbyła rozmowę telefoniczną w związku z tajemniczym podarunkiem zakupionym w Cave Shepherd. Kiedy odłożyła słuchawkę, skrzyżowała palce „na szczęście” i wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że wszystko przebiegnie tak, jak to sobie zaplanowała.

Wieczorem jedli kolację w Rockleyu. Kiedy orkiestra zaczęła grać „Żółtego ptaka”, Stephen podniósł się i gestem wskazał parkiet.

- Można chyba powiedzieć, że to nasza melodia - rzekł, kiedy zaczęli tańczyć.

- Nasza i jeszcze kilku milionów innych par - zauważyła Janet.

- Sama piosenka nie ma znaczenia. Liczy się tylko to - przytulił ją mocniej.

Niedługo potem opuścili restaurację i wrócili do bungalowu. Znowu kochali się, rzucając wyzwanie nieodwracalnemu biegowi czasu. Potem leżeli obok siebie w milczeniu bardzo długo. Wreszcie Stephen splótł palce z palcami Janet i wyszeptał jej imię.

- Jeśli chcesz powiedzieć coś sentymentalnego, proszę cię, niemów - przerwała mu. - Ja się po prostu rozpłaczę i powiemy sobie mnóstwo głupich banałów, które zwykle padają w takich razach.

Skinał głową. Jego szorstki od zarostu policzek otarł się o jej skroń.

- Czy jest coś na Florydzie, co ci się nie podoba, Janet? - spytał po chwili.

- To dziwne pytanie.

- To egoistyczne pytanie. Kiedy pomyślę o tym, że żyjesz beze mnie na Florydzie, chciałbym mieć świadomość, że twoje życie nie jest całkiem doskonałe. Opowiedz mi więc, dlaczego nie jest doskonałe.

Janet milczała.

- Musi być coś, czego nie lubisz na Florydzie
- przynaglił.

- Obiecujesz, że nie będziesz się śmiał?

- Z czego?

- Z tego, co mi się nie podoba na Florydzie.

- Dlaczego miałbym się śmiać, Janet?

- Dobrze. Powiem ci. To te pełzające stworzenia.

- Pełzające stworzenia?

- Wiedziałam, że uznasz to za głupie.

- Wcale tak nie myślę. Po prostu nie wiem, co nazywasz „pełzającymi stworzeniami”.

- Robaki - wyjaśniła. - Ryjkowce, które wyglądają jak gigantyczne karaluchy i fruują. I owady! Nawet gdybym zabijała po kilkanaście każdego dnia przez cały rok, nigdy z nimi nie wygram. Wciąż toczę walkę z mączakami żerującymi na roślinach pokojowych. Muszę mieć stale rozpylacz z roztworem mydła i spryskiwać swoje kwiaty.

Przysunęła się do niego trochę bliżej.

- I jaszczurki. Tam żyją miliony jaszczurek. Są brązowe z czarnymi plamkami i wyglądają jak miniaturowe dinozaury. Gdy się idzie po chodniku, zawsze kilka pierzcha przed tobą i słyszysz szelest w krzakach, bo się spłoszyły. Że nie wspomnę o węzach i aligatorach.

Przerwała nagle.

- Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

- Doskonale. Teraz, gdy o tobie pomyślę, oczami duszy będę widział, jak walczysz z mączakami i uciekasz przed jaszczurkami. Gdybym wiedział, że prowadzisz życie idealne, byłoby mi znacznie ciężej.

Milczał chwilę.

- Szkoda tylko, że wspomniałaś o aligatorach, Janet. Teraz będę się martwił, że któryś cię zje.

- To niemożliwe - uspokoiła go.

Zasypiali, kiedy przypomniał sobie o czymś.

- Nie pokazałaś mi tajemniczej niespodzianki z Cave Shepherd - rzekł sennym głosem.

- Może planuję schować to do twojej walizki - odparła. Pomyślała, że wcale nie skłamała, skoro użyła słowa „może”.

ROZDZIAŁ

13

- Stephen. - Janet pocałowała go w policzek. - Stephen. Obudź się.

Otworzył jedno oko i jęknął.

- Już rano?

- Dochodzi piąta.

Usiadł i przetarł oczy wierzchem dłoni.

- Czwarta. Jest czwarta z kawałkiem?

- Mam dla ciebie niespodziankę - oświadczyła.

- Ubieraj się.

- Niespodziankę. - Potrząsnął głową, by wrócić do rzeczywistości. - O czwartej nad ranem?

- Nigdy nie zdążymy, jeśli się nie pośpieszysz.

Czas się kończy. Och, Stephen, czyż nie rozumiesz, że nasz czas się kończy?

- Dokąd idziemy?

Ubrał się w końcu, a ona wyprowadziła go z bungalowu.

- Wypożyczyłam minibus - wyjaśniła.

- Co takiego?

- Minibus. Turyści zwiedzają nim okolice.

- Janet...

- Szaa. Obudzisz wszystkich.

Szeptał, lecz był to szept natarczywy.

- Dokąd jedziemy o piątej rano?

- Mam wskazówki, lecz będziesz musiał mnie pilotować. Już zmiana biegów i jazda po lewej stronie są wystarczająco trudne, nawet jeśli jednocześnie nie trzeba uważać, czy jedzie się właściwą drogą.

Otworzyła drzwiczki, rzuciła torebkę i torbę podróżną na siedzenie, usadowiła się na fotelu kierowcy i uruchomiła silnik.

- Zapnij pasy - poleciła, nim jeszcze zdążyli wyjechać z parkingu.

- Z przyjemnością - odparł, gdy pojazd niepewnie poruszał się susami konika polnego ku głównemu podjazdowi. - Wiesz, jak prowadzić samochód ze zwykłą skrzynią biegów, prawda?

- Oczywiście. Dali mi wykres, gdzie są biegi, kiedy go pożyczałam. A poza tym mój ojciec miał taki samochód i świetnie mi się go prowadziło.

Skrzynia biegów zaskrzypiała z protestem, kiedy Janet zmieniła bieg z drugiego na trzeci.

- Po prostu potrzebuję paru kilometrów, by się znowu przyzwyczaić do zmieniania biegów.

- Ja też umiem prowadzić - zaproponował taktownie.

- Z chorą nogą? W każdym razie tylko ja mogę prowadzić ten samochód, ponieważ to właśnie ja go wynajęłam, a nie miałam numeru twego prawa jazdy.

Kompromisowo ustalili, że Janet na komendę Stephena ma naciskać sprzęgło, Stephen natomiast będzie operował dźwignią zmiany biegów. Metoda okazała się skuteczna, kiedy brali pierwszy zakręt, szczególnie nieprzyjemny dla kogoś nie przyzwyczajonego do lewostronnego ruchu.

- Nie ma zbyt wielu samochodów - zauważyła Janet.

- Ciekaw jestem dlaczego - rzekł Stephen uszczypnięciem.

Dopiero po piętnastu minutach zorientował się, że pokonują tę samą trasę, którą jechali autokarem wycieczkowym. Zżerała go ciekawość, lecz o nic nie pytał. Chciała zrobić mu niespodziankę - tak jakby pobudka o czwartej rano nie była wystarczającą niespodzianką. Zasnął, trzymając Janet w ramionach, bojąc się ranka, gdyż wiedział, że nawet jeśli będą się kochali, towarzyszyć im będzie myśl o rozstaniu. A teraz małym samochodem jechali lewą stroną szosy w znanym tylko Janet kierunku.

Przyglądał się jej profilowi. Na jej twarzy malowało się napięcie. On sam również je odczuwał.

W bladym świetle przenośne domki wyglądały jak płaskie obrazki wymalowane w tle sceny. Nagle wydało mu się, że cała wyspa i wszystko, co się z nią wiąże, jest z lekka nierealne. Z wyjątkiem Janet. Janet była rozkosznie rzeczywista. Kiedy jej dotykał, była ciepła, kiedy ją przytulał, miała miękkie ciało prawdziwej kobiety.

Oparł się o zagłówek fotela, zamknął oczy i myślał o powrocie do domu, do rodziny i codzienności. Środek sezonu. Zastanie mnóstwo gości, a hotel będzie pełny. Sklep hotelowy będzie robił interesy, na kominkach zapłonie ogień, wszyscy będą popijali grzane wino z korzeniami.

Westchnął ze znużeniem. Bał się wracać do domu. Obawiał się całego powitalnego zamieszania, lękał się rodziny, która mu będzie zadawać pytania na temat urlopu i wyciskać z niego informacje o kociakach

w bikini. Jak miał im opowiedzieć o Janet? Jak miał im wyjaśnić ich szczególny związek?

Spotkałem kobietę, która nienawidzi śniegu, i podarowałem jej jagnię? To równie bezsensowne jak to wieczne lato tutaj, na wyspie.

Janet zjechała z szosy przy wejściu do Jaskini Zwierząt-Kwiatów. Oczywiście grota była zamknięta, lecz Janet zaparkowała przy bramie, na wprost oceanu. Wyłączyła silnik, potem światła, zaciągnęła hamulec ręczny. Słyszeli uderzenia fal o skały i szum potężnych zwałów wodnych.

- I co teraz? - zapytał Stephen.

- Poczekamy na słońce. - Odwróciła głowę. - Nie widziałeś nigdy wschodu słońca nad oceanem, prawda? To dobrze - dodała, gdy pokręcił głową. A potem, jakby bardzo chciała, by dobrze zrozumiał, powiedziała szybko: - Chciałam dać ci coś niezwykłego, tak jak ty ofiarowałeś mi Brillo i wisiorek. Chciałabym, byś dzielił coś ze mną, czego nigdy nie dzieliłeś z nikim innym.

Dotknął jej włosów.

- Już to zrobiłaś. Wszystko z tobą było jedyne i niepowtarzalne.

Janet czuła, jak jej gardło ściska nagły skurcz.

- Nie chcę zepsuć tego płaczem.

Niepewny, co ma powiedzieć, lękając się, że palnie coś niewłaściwego, milczał.

- Opuśćmy dach, żeby wszystko lepiej widzieć - zasugerowała w końcu Janet. - Podobno to łatwe.

Musieli się zorientować, jak składa się ten dach i to osłabiło trochę napięcie. Wsiadli z powrotem do auta, tym razem sadowiąc się na szerokim tylnym siedzeniu. Stephen siadł trochę ukośnie, wsuwając

nogi w lukę między przednimi fotelami. Jane skuliła się obok niego, opierając ramiona o jego tors. Podniosła torbę, pogrzebała w niej i wyjęła reklamówkę z Cave Shepherd.

- Czy teraz zobaczę ten tajemniczy zakup? - spytał Stephen.

Kiwnęła głową i wręczyła mu torbę.

W ciemności rozpoznał kształt książki.

- Mogę ci dać latarkę - rzekła Janet, sięgając na przednie siedzenie.

Stephen pogłaskał ją po opiętym szortami pośladku.

- Bezcelność - oskarżyła go żartem.

Gdy wręczyła mu latarkę, skierował strumień światła na okładkę i przeczytał głośno tytuł.

- Rebeka.

- Miałam szczęście, że znalazłam tę książkę. To klasyka, a ja pamiętałam, że w Cave Shepherd jest duży dział z książkami. Jeśli chcesz, możemy czytać ją razem, czekając tu na wschód słońca.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Wspaniale.

- Napisałam wewnątrz coś bardzo intymnego, podpisałam się i dodałam datę. Pojedziesz do domu, ustawisz tę książkę na półce, po czym zupełnie o niej zapomnisz. Pewnego dnia spotkasz kogoś wyjątkowego i ożenisz się. Książkę znajdzie twoja żona i spyta cię, co to za Janet, a ty odpowiesz: „To po prostu kobieta, z którą spędziłem kiedyś krótkie wakacje”.

- Nie mógłbym powiedzieć o tobie „po prostu kobieta”, Janet.

Nie był w stanie wyobrazić sobie, że znajdzie kogoś innego, z kim chciałby dzielić życie.

- Och, ale to będzie po wielu, wielu latach, kiedy poznasz kobietę, której szukałeś całe życie.

To ty jesteś kobietą, na którą czekałem, myślał. Dlaczego musiała złapać cię zamieć w tym diabelnym samochodzie? Dlaczego coś, nad czym nie mamy kontroli, potrafi przekreślić nasze szanse na szczęście?

- Ona zapyta, czy byliśmy kochankami - ciągnęła Janet - a ty skłamiesz bardzo grzecznie i powiesz, oczywiście, że nie, że ledwie mnie znałeś, i uświadomisz sobie, że nawet nie pamiętasz, jak wyglądała moja twarz. Ale wspomnisz, jak obserwowałeś słońce wschodzące ponad oceanem i uśmiechniesz się, a ona będzie okropnie zazdrosna.

- Chyba mogłabyś pisać opowiadania jak ta Daphne Du Maurier.

- Nie potrafiłabym napisać niczego, co byłoby choć w ułamku tak dobre. - Odwróciła się, tak że jej piersi przylgnęły do jego torsu, a twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. - Och, Stephen, to nieładnie wyciągać od ciebie obietnice, ale proszę cię, pamiętaj to, co czuliśmy, kiedy byliśmy razem. Nie oczekuję, że będziesz pamiętał moją twarz, lecz proszę cię, nie zapomnij, jak przyjechałiśmy tutaj, by obserwować wschód słońca.

Podniósł dłoń i koniuszkami palców delikatnie wodził po jej rysach.

- Nawet za pięćdziesiąt lat, nawet gdybym był ślepy, wciąż będę potrafił rozpoznać twoją twarz przez dotyk, właśnie w ten sposób.

Pocałował ją, usiłując przekazać tym pocałunkiem wszystko, co rozpaczliwie pragnął jej wyznać. Janet westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu.

Dobiegł go stłumiony płacz. Objął Janet i przycisnął policzek do jej włosów. Ich zapach był mu teraz równie znajomy jak zapach płonących cedrowych polan na kominku.

Och, Janet, cóż uczyniłem? Dlaczego to wszystko rozpocząłem, choć wiedziałem...

Obydwoje wiedzieliśmy, pomyślał. Wiedzieliśmy, że nie mamy szans na przedłużenie znajomości poza pobyt na wyspie. Zgodziliśmy się, że będziemy brali to, co zdołamy, tak długo, jak zdołamy.

Ale to nie powinno tak mocno ranić. Daj mi jakiś znak, zachęć mnie, a ja cię namówię, byś pojechała ze mną do Kanady.

Tam, gdzie przez całą zimę będzie nieszczęśliwa?

Ogrzeję cię, Janet.

Podniosła głowę, wytarła oczy i pociągnęła nosem.

- Ja będę czytać. Ty potrzyмай światło.

Wzięła książkę, znalazła pierwszą stronę tekstu i zaczęła głośno czytać.

- „Zeszłej nocy śniłam, że wróciłam do Manderley.”

Jej głos i piękno narracji stopiły się w jedno z szumem oceanu uderzającego o brzeg. Sama akcja powieści nie była tak zajmująca, jak tworzony przez nią nastrój, mieszanina tajemniczości, smutku i poczucia nieuchronności.

„To było Manderley, nasze Manderley, tajemnicze i ciche tak jak zawsze...”

Stephen wsłuchiwał się w kojący dźwięk jej głosu. Kochał go, tak jak kochał ciepło i ciężar jej ciała, gdy czuł je na swym ciele.

Będą ogniska i grzane wino - lecz Janet nie będzie.

- „...Taras opuszczał się do trawników, a trawniki ciągnęły się ku morzu i kiedy się obróciłam, widziałam oświetloną księżycem, srebrną płaszczyznę, spokojną jak jezioro nie niepokojone wiatrem ani burzą”.

Przerwała nagle. Wyczuł napięcie jej ciała, a w tej samej chwili oświetlenie zmieniło się nieco. Oczyma powędrował za jej spojrzeniem ku wschodowi, gdzie pasek światła obrębiał horyzont, jakby namalowany wąskim pędzelkiem i farbą luminescencyjną.

Janet i Stephen wstrzymali oddech, kiedy słońce zaczęło wyłaniać się zza horyzontu i zawisło tuż nad nim przez sekundy, które wydawały się godzinami - idealna kula ognia, zatrzymana jak w kadrze, nim miała się wznieść na niebiosa.

- Będiesz to pamiętał? - odwróciła się do Stephena, a w jej oczach odbijała się cała wspaniałość tego zjawiska.

Pocałowali się. Potem siedzieli w zupełnej ciszy, aż słońce wzbiło się wyżej, a ocean stał się morzem odbitego ognia.

Gdy wracali do hotelu, wyspa zaczynała się budzić. Ruch był wciąż niewielki, lecz większy niż poprzednio. Janet i Stephen rozmawiali bardzo mało. Z oznakami nowego dnia nadeszła nieunikniona świadomość, że gdy słońce osiągnie zenit, samolot Stephena będzie właśnie startował.

W Rockleyu Janet zakręciła pod swój bungalow. Kiedy zaparkowała, Stephen sięgnął do klamki, lecz go powstrzymała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Jeszcze nie.

Odwrócił ku niej twarz, czekając, co mu chce powiedzieć.

- To takie... - westchnęła i mocno zacisnęła powieki - trudne. Mamy tak mało czasu. Och, Stephen, przeznaczmy go na miłość, a nie na rozmowy. Jeśli będziemy mówić, znowu się rozpłaczę, a tak nie powinno być. Byliśmy zbyt szczęśliwi, aby psuć to w ten sposób.

Skinał głową. Znak, Janet, obojętne jaki.

- Pójdziemy tym razem do mnie. Wzięłam z twojej łazienki paczkę od Brigitte i włożyłam do mojej torby. - Uśmiechnęła się, widząc zdziwienie na jego twarzy. - Nie mogłam znieść myśli, że przez całe życie miałabym się zastanawiać, jak wygląda „Bananowa kiełbaska”.

Zapadła cisza, nabrzmiała od emocji.

- Nie chcę cię żegnać i patrzeć, jak odchodzisz. - prawie szeptała. - Chcę zasnąć w twych ramionach. Możesz odejść, gdy będę spała, a gdy będziesz szedł do holu, przywiąż Brillo na zewnątrz mego patia. Czy masz coś przeciwko temu?

- Chciałbym zrobić to tak, by było ci jak najłatwiej, Janet.

- Nie będziesz spał wiele, ale lot do Kanady jest długi. Może zdołasz przespać się w samolocie.

Stephen kiwnął głową, choć wiedział, że nie będzie spał w samolocie. Ile czasu musi upłynąć, zanim zaśnie bez uczucia, że mu jej brak?

- Stephen?

Spojrzał jej w oczy.

- Ja nie żałuję. Nigdy nie będę żałować, że byliśmy kochankami.

- Janet... - zaczął, lecz ona potrząsnęła głową i końcami palców zamknęła mu usta.

- Chodźmy do środka. I już nic do siebie nie mówmy. Nie powiemy już ani słowa, a ja obiecuję nie płakać.

Kochali się czule i zapamiętali. Stephen zdał sobie sprawę, że bez względu na to, jaka przestrzeń ich rozdzieli, on będzie pamiętał tę chwilę, gdy Janet całkowicie do niego należała.

O wiele później, gdy pozbyli się już „Bananowej kiełbaski”, leżeli objęci pod prześcieradłem.

- Wiem, że miałem nic nie mówić - szepnął Stephen - lecz jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Choć nie poruszyła się, czuł, że w jej ciele wzrasta napięcie.

- Przed chwilą, w szczytowym momencie, wypowiedziałem twoje imię. Nigdy żadna kobieta nie usłyszała ode mnie swego imienia w takim uniesieniu. Chciałbym, byś to wiedziała.

Kiwnęła głową, ocierając się policzkiem o jego ramię. Poczł wilgoć jej łez. On zdecydował się mówić - ona może płakać. Przyciągnął ją bliżej, objął mocno. Powiedz coś, Janet, daj mi znak.

Po kilku minutach zasnęła.

Stephen spojrział na zegarek i obliczył, ile czasu potrzebuje, zanim będzie musiał wyjść i złapać mikrobus na lotnisko. Miał ochotę zasnąć po prawie bezsennej nocy, a także po rannym kochaniu się. Ciepło jej ciała wabiło, a miękkie i wonne włosy leżały tuż przy jego policzku. Byłoby tak łatwo zwinąć się w tym ciepłe i odprężyć, zasnąć, wdychając, tak już dobrze znany zapach.

„Nie żałuję” - powiedziała. Dała mu to wyznanie jak podarek.

Kiedy już nie mógł dłużej zwlekać, odsunął się od niej, czując, że pozostawia część samego siebie. Ubrał się jak najciszej i chcąc wyjść, zanim zabraknie mu odwagi, sięgnął do klamki. Lecz zatrzymał się w progu, aby jeszcze raz na nią spojrzeć.

We śnie wyglądała na bezbronną. Miał taką ochotę dotknąć jej jeszcze raz.

„Nie żałuję” - powiedziała.

Podszedł do łóżka i stał przy nim, po prostu patrząc, jak śpi i słuchając jej oddechu. A ja żałuję, myślał wściekle. Nie tego, że cię kochałem, lecz że cię opuszczam.

Pochylił się i jeszcze raz dotknął jej włosów. Gdyby zrobił coś więcej, mogłaby się obudzić.

ROZDZIAŁ

14

Stephen słabo pamiętał barbadoskie lotnisko, jeśli nie liczyć upału i miłej damy, która się nim zaopiekowała. Teraz, kiedy tam powrócił, zauważył ze zdziwieniem, że terminal jest stosunkowo niewielki jak na obsługę tak dużego międzynarodowego ruchu.

Gdy sprawdzono mu bagaże i opłacił podatek wyjazdowy z wyspy, kupił gazetę i usadowił się w jednym z niewygodnych krzeseł w poczekalni, mając nadzieję, że czas do odlotu upłynie mu szybko.

Sześć dni nie śledził wiadomości i powinien być ciekaw, co się dzieje na świecie, lecz po przejrzeniu nagłówek złożył gazetę i rzucił ją na stojące obok puste krzesło. Wstał i przeszedł się po terminalu, przyglądając się z roztargnieniem wystawom sklepów bezcłowych. Cieszył się, że już zrobił zakupy i myślał, czy nie powinien zawieźć do domu butelki tutejszego rumu, by udowodnić rodzinie, że rzeczywiście wczuł się w rolę turysty.

Gdy po raz trzeci przechodził obok sklepu z perfumami, w oko wpadło mu coś szczególnego - na ozdobnym flakoniku złotymi literami była wypisana nazwa markowego zapachu. Janet nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na takie perfumy. Pod wpływem impul-

su Stephen wszedł do sklepu, odnalazł tester zapachu i rozpylił go w powietrzu.

Natychmiast rozpoznał ten zapach - zapach jej włosów. Tylko bardziej wyrazisty, ponieważ były to perfumy wysokiej jakości, a nie lakier do włosów.

Sprzedawczyni spytała, czy może mu w czymś pomóc.

- Proszę podać mi te perfumy - powiedział.

Położyła na ladzie trzy pudełeczka w celofanie. Małe, średnie, duże. Sięgnął po duże, ale potem, przypomniawszy sobie, jak Janet mówiła, że perfumy szybko wietrzeją, gdy odpieczętuje się flakonik, wybrał średnie pudełko.

- Czy może pani wysłać je do Stanów Zjednoczonych?

- Jest za to opłata, ale możemy to zrobić, tak.

Dał jej kartę kredytową, a potem znalazł adres Janet. Na widok pisma Janet serce mu się ścisnęło. Podsunął sprzedawczyni kartkę.

- Oto adres.

Sprzedawczyni odbiła numer karty, wyjęła zeszyt formularzy spod lady i przepisała adres do właściwych rubryk.

- Potrzebne mi pańskie nazwisko i adres, i jakiś dowód tożsamości.

Dał jej prawo jazdy i wetknął adres Janet z powrotem do portfela.

- Czy chce pan dołączyć bilecik? - spytała.

- Bilecik?

- Mamy różne bileciki, można dołączyć je do zakupów.

Sięgnęła pod ladę i wyjęła pełne pudełko.

Stephen wziął pióro i uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co napisać. Rozważał różne możliwości i odrzucał je jedną po drugiej.

Ucałowania, Stephen.

Wspominam cię i razem spędzony czas. Stephen.
Myśl o mnie, kiedy będziesz używała perfum.
Stephen.

Nigdy nie zapomnę, jak twoje włosy...

Położył pióro na ladę i rzucił swe ulubione przekleństwo.

- Nie będzie biletu - warknął do oszołomionej sprzedawczynie i wetknął kartę kredytową do portfela.

Siedzenia w poczekalni były jak zwykle niewygodne. Znowu wziął się za gazetę i przekonał się, że jest nadal mało interesująca. Potem przypomniał sobie o książce, którą wetknął do torby z kamerą, i wygrzebał ją.

„Napisałam tam coś bardzo intymnego”.

Z ciekawością otworzył książkę, by zobaczyć, co Janet napisała.

„Jedynemu mężczyźnie na kuli ziemskiej, który zdołałby ogrzać mnie podczas zamieci”.

ROZDZIAŁ

15

Janet zbudziła się i nagle uświadomiła sobie, że jest w łóżku sama. Kiedy przesunęła ręką po prześcieradle, tam, gdzie obok niej leżał Stephen, przekonała się, że jest chłodne.

Oto nieodparty dowód, że wyjechał, że, tak jak zresztą prosiła, wyszedł, gdy spała. A więc to koniec.

Bolała ją głowa. Gdy Stephen był z nią, ledwie mogła opanować łzy. Dlaczego teraz, gdy go już nie ma, płacz nie nadchodzi?

Włożyła kostium kąpielowy i szorty i wyszła do patia, szukając Brillo. Jagnię stało tam, bezpiecznie przywiązane do nogi stołowej, i z zadowoleniem skubało trawę w zasięgu swej smyczy. Gdy otworzyły się drzwi, przestało skubać i z beczaniem podbiegło do Janet.

Janet usiadła na krześle w patiu i wzięła zwierzątko na kolana. Kiedy je przytuliła, natychmiast się uspokoiło. I właśnie wtedy pękła w niej jakaś tama. Wielkie, obfite łzy kapały na grzbiet Brillo, na ten żałosny, prawie bezwłosy, kościsty grzbiecik. Jagnię podskoczyło, czując pierwszą łzę, a potem znowu się uspokoiło, kiedy Janet ukołysała je w ramionach.

Och, Brillo, nie ma go. A jutro ja również wyjadę, a ty wrócisz na Wiśniowe Wzgórze. Będzie tak, jak gdyby nigdy nas tu nie było. To właśnie sprawiało ból, myśl, że na Barbadosie nie pozostanie z nich już nic prócz wspomnień, które zatrzymają w sercach i umysłach. Wyjedzie, nie wiedząc, czy kiedykolwiek tu powróci i odwiedzi miejsca, gdzie byli razem. Lub, co gorsza, gdyby nawet wracała tu od czasu do czasu, łudząc się, że odzyska odrobinę czasu tych dni, które spędzali razem, przekonałaby się, że bez Stephena odzyskać się go nie da.

Och, Stephen, czuję się pusta. Taka pustka.

Zanim go spotkała, była zadowolona - ze swej pracy, przyjaciół i życia towarzyskiego. Nie miała stałego chłopaka czy narzeczonego, ale się tym specjalnie nie zamartwiała.

Janet przypomniała sobie nagle, co powiedziała jej matka, kiedy lekarz zawiadomił ją o śmierci męża. Zwróciła się do niej i głosem zagubionym i niepewnym pytała: „Co teraz mam robić? Straciłam część samej siebie”.

Wszyscy życzliwi krewni i znajomi odpowiadali zazwyczaj: „Będziesz musiała po prostu żyć z dnia na dzień”.

Żyć z dnia na dzień. Tak, to było rozsądne. Stephen odjechał, a ona po prostu doprowadziłaby się do szaleństwa, myśląc bez ustanku, że przez resztę życia będzie dźwigać ciężar tego rozstania.

Wyprostowała plecy, zrobiła wdech, wstrzymała powietrze, powoli odetchnęła. Będzie myślała o dniu dzisiejszym, skoncentruje się na następnej godzinie. To jej ostatni dzień na wyspie. Wieczorem spakuje się, lecz za dnia może robić to, co chce. Ma nawet auto,

choć pomysł prowadzenia samochodu bez pilota w intensywnym, dziennym ruchu nie wydał się jej szczególnie pociągający.

W końcu zdecydowała się pozostać przy swym pierwotnym planie - wybierze się na plażę. Zachowała paciorki, które Stephen wyjął z jej włosów. Miała zamiar znowu zapleść sobie warkoczyki, by wrócić do domu jak rasowa turystka. Włożyła koraliki do plastikowej torby, w której kiedyś Stephen trzymał okropne widokówki, kupione w Bridgetown dla swych sióstr. Kiedy wyjęła paciorki z szuflady i wrzuciła do torby plażowej, wspomnienie tamtego popołudnia i powrotu autobusem do Rockleya powróciło z całą wyrazistością.

Och, Boże, myślała, tłumiąc łkanie, czy to zawsze będzie tak bolało? Z pewnością czas leczy rany, jak głosi znane powiedzenie. Czy w jej przypadku to się sprawdzi?

Akurat kiedy miała odwiązać Brillo ze smyczy, zadzwonił telefon. Serce przestało jej bić, a przejście przez pokój i podniesienie słuchawki zajęło całą wieczność.

- Janet?

W słuchawce trzeszczało, lecz głos można było natychmiast rozpoznać. W ustach czuła gorycz rozczarowania.

- Cześć, mammo.

- To rozmowa międzynarodowa, więc będę się streszczać. Chciałabym ci powiedzieć, że ciotka Sally i ja nie powitamy cię z wujkiem Dave'em jutro na lotnisku. Wygraliśmy tu w miasteczku turniej kanasty, więc jedziemy na dalsze eliminacje.

- To wspaniała wiadomość, mammo.

Matczyne poczucie winy sączyło się przez pełne trzasków połączenie.

- To nie znaczy, że nie oczekujemy z niecierpliwością twojego sprawozdania z podróży...
- Wszystko w porządku, mamo.
- Chodzi po prostu o to, że jeśli opuścimy eliminacje, stracimy szanse na wejście do finału.
- Wujek Dave i ja doskonale sobie poradzimy
- zapewniła ją Janet.
- Nie masz nic przeciw temu?
- Nie bądź niemądra. Zdobyłyście lokalne mistrzostwo. Nie możecie zawieść nadziei.
- Cóż, jeśli jesteś pewna...

Kiedy odkładała słuchawkę, chciała siłą woli zmusić telefon, by zadzwonił ponownie. Była taka pewna, że to Stephen dzwoni z lotniska. Jak długo jeszcze będzie w ten sposób na próżno oczekiwać na jego telefon?

Odprowadziła auto na główny parking i oddała kluczyki, a potem z Brillo na kolanach czekała na mikrobus na plażę. Jak na złość jechały z nią dzisiaj same młode pary spędzające miodowy miesiąc. Jedna z dziewcząt chciała pogłaskać jagnię i pytała, skąd Janet je ma.

- Kupił mi je przyjaciel - odparła.

Przyjaciel to określenie ścisłe, lecz nieadekwatne. Był kimś znacznie więcej. Był jej kochankiem. Jej częścią. A teraz mówi o nim tak obojętnie.

- Kupił ją od pasterza - dodała - i podarował mi. Taki żart.

Nie, Nie! To nie żart. To było bardzo romantyczne, właśnie tak, jak zamierzał Stephen. Jest sceptykiem, lecz wiedział, że ja jestem romantyczką, i chciał mi zrobić przyjemność. Och, Stephen, dlaczego musiałeś

być aż tak cudowny? Dlaczego sprawiłeś, że się w tobie zakochałam?

Jazda na plażę okazała się psychiczną torturą. Młode mężatki były tak szczęśliwe, zakochane i pełne nadziei, że Janet zaczęła odczuwać niechęć do nich w najbardziej małoduszny sposób. Była tylko człowiekiem. Stephen odszedł, straciła go na zawsze. A tutaj młodzi kochankowie wymieniali znaczące uśmiechy, zroszując tylko dla nich samych.

Janet w tym towarzystwie odczuwała jeszcze mocniej swą samotność. Stephen nadal był obecny w jej sercu i umyśle, ale fizycznie go nie było. Jedyne przyszłość, jaką widziała przed sobą, to pustka.

Czas, potrzebowała czasu.

Ile dni upłynie, zanim się otrząśnie? Ile czasu potrzeba, by wspomnienia stały się niewyraźne i kojące, a nie żywe i raniące? Kiedy będzie mogła powracać myślą do spędzonych z nim chwil i uśmiechać się? Kiedy przestanie porównywać mężczyzn do Stephena, traktować go jak chodzącą doskonałość, której nikt nie mógł dorównać?

Z ulgą wysiadła z mikrobusu. Zatrzymała się w barze, by napełnić czystą wodą naczynie dla Brillo, a potem zaniósła wodę i jagnię na plażę. Przywiązała zwierzę do palmy, wypożyczyła leżak i położyła się w słońcu. Po paru minutach nasmarowała się olejkami i przesunęła do skałego cienia rzucanego przez drzewo palmowe.

Brillo trącił ją nosem. Janet spojrzała na żalosne stworzenie bez sierści. Poskrobała je za uszami. Jagnię uspokoiło się, zabeczało i położyło obok, by się zdrzemnąć.

Janet sięgnęła po książkę, która leżała w jej torbie plażowej od drugiego dnia pobytu na wyspie. Jednak

wciąż wspominała, jak przed świtem przy latarce czytała „Rebeke”.

Nie mogła się skupić.

Porzuciła lekturę i zajęła się obserwowaniem ludzi. Dostrzegła Alice i gestem przywołała ją do swego leżaka.

- Cześć! - pozdrowiła ją, gdy Alice znalazła się w zasięgu głosu. - Miałam nadzieję, że cię dziś zobaczę. Pamiętasz mnie? Zaplotłaś moje włosy w zeszłym tygodniu.

Alice kiwnęła głową.

- Ja pamięta. Ty nie lubi warkoczyki. One wszystkie rozczesane.

- Podobają mi się bardzo, ale...

Pamiętała, jak Stephen palcami przeczesywał jej włosy. Bolało, że już nigdy to się nie powtórzy. Bolało, gdy przypomniła sobie, jak Stephen zapewniał, że nie jest podobna do pudła i jak przyglądał się w łazience „Traperowi w dżungli”.

- Rozplotłam je - oświadczyła dziewczynie. - Miałam nadzieję, że cię tu dziś znajdę. Jadę jutro do domu i chcę, żebyś znowu zrobiła mi warkoczyki.

- Ja szczęśliwa, szczęśliwa je zaplata.

- Zachowałam paciorki. - Janet zaczęła szukać w torbie plażowej.

Alice pracowała szybko. Kiedy skończyła, wyjęła z torby lusterko i podała je Janet, która obejrzała warkoczyki, przechylając głowę z jednej strony na drugą, bo lusterko było niewielkie.

- Łaadne - rzekła Alice, rozciągając słowo. - Twój przyjaciele powie, ty wygląda prawdziwy Barbados.

- Tak - przyznała Janet, zmuszając się do uśmiechu.

- Właśnie tak powiedzą. Robisz dobrą robotę, Alice.

Oddała jej lusterko i zapłaciła uzgodnioną sumę. Alice podziękowała, schowała do kieszeni barbadoskie banknoty i poszła plażą w poszukiwaniu nowych klientów.

Janet znowu wzięła książkę do ręki. Nie miała ochoty czytać, więc wpakowała ją do torby. Potem wstała i zdjęła szorty. Jagnię podskoczyło, ożywione po długiej drzemce.

- Podobają ci się moje włosy? Jak sądzisz, zasługuję na dziesięć punktów?

Brillo odpowiedziało spojrzeniem szeroko rozwartych oczu.

- Idę popływać - ciągnęła Janet. - Ty możesz tu zostać i być jagnięciem - obrońcą dobytku, ewentualnie możesz ganiać motyle.

Jagnię obserwowało Janet oczyma pełnymi żalu, a potem poszło za nią ku brzegowi. Gdy doszło do krańca powroza, zabeczało żałośnie.

- Och, dobrze - Janet uklękła, by je rozwiązać - ale to tylko dlatego, że przeżywam trudne chwile. Dzisiaj czuję się trochę samotna.

Trzymając jagnię w ramionach, przeszła wąski pas piasku i zaczęła brodzić po wodzie. Szum fal denerwował początkowo Brillo, lecz wkrótce jagnię przyzwyczało się do niego i odprężyło, leżąc zadowolone w objęciach Janet.

Samolot Stephena powinien już wystartować. Prawdopodobnie znajdował się w połowie drogi do Miami. To pierwszy etap powrotu do jego ukochanej, zimowej krainy, do wielkiej, zgranej rodziny pełnej chichoczących sióstr i siostrzenic, które zepsuły go do szpiku kości.

Co im o mnie opowie? - zastanawiała się.

- Czy mogę pogłaskać twego szczeniaka?

Janet spojrzała w dół na małą puciołowatą blondyneczkę z kręconymi włosami.

- Możesz pogłaskać, ale to nie jest szczeniak, kochanie. To jagnię.

Dziewczynka bardzo delikatnie poklepała Brillo po łebku, jakby była przyzwyczajona do zwierząt.

- Jagnię?

- Mała owca.

Dziecko zastanowiło się chwilę, a potem odpowiedziało rzeczowo:

- Owce są kudłate, z kręconymi włosami i czarne na buzi.

Miała brytyjski, miły akcent.

- Nie wszystkie owce - wyjaśniła Janet. - To jest owca barbadoska. Gdyby miała dużo włosów, byłoby jej za ciepło.

- Czy ma imię?

- Brillo.

Dziewczynka roześmiała się.

- To zabawne imię.

Tak, pomyślała Janet. Zabawne imię dla absurdalnego zwierzątka domowego. Szalony podarunek od wariata - najcudowniejszego, najbardziej romantycznego wariata na świecie,

- Czy mogę ją potrzymać?

- Jeśli nie zaprotestuje przeciwko twemu mokremu kostiumowi - odparła Janet. - Masz, spróbujemy.

Widocznie wczesne doświadczenia z turystami sprawiły, że jagnię nie zwracało uwagi na tak drobny szczegół, jak mokre kostiumy kąpielowe, gdyż ułożyło się spokojnie w ramionach dziecka.

- Jakie słodkie - zauważyła dziewczynka.

- Tak - przyznała Janet z roztargnieniem.
- Skąd ją masz?
- To prezent - wyjaśniła Janet.
- Od twojej mamusi?
- Nie - odparła Janet sucho. - Nie od mojej mamusi.

Telefon od matki wytrącił Janet z równowagi. Nie chodziło o to, że nie przyjedzie na lotnisko. Po prostu Janet uświadomiła sobie pewną prawdę, która docierała do niej z trudem: matka już jej nie potrzebowała, przynajmniej nie jako współlokatora. Ma wiele rozmaitych zajęć, poradziła sobie ze swoim wdowieństwem. Poznała wdowca z miasteczka, który wpadał na kawę po kolacji. Interesowało go coś więcej - jeśli Janet się nie myliła - niż szarlotka, którą matka podawała do kawy. Niedługo Janet zacznie matce zawadzać.

Westchnęła. Nadszedł czas zmian, może trzeba się przeprowadzić do własnego mieszkania. W marcu miała dostać podwyżkę. Może, jeśli będzie oszczędna, kupi sobie małe mieszkanie w bloku.

Może przeniosłabyś się do Kanady.

Poczuła ból w sercu. On zaprosił cię tylko, byś obejrzała bernardyny.

- Wiec od kogo?

Janet zamruła i powróciła do rzeczywistości. Spojrzała na dziewczynkę z jagnięciem.

- Kto ci je dał? - nastawało dziecko.

- Jeden z... - Janet miała już powiedzieć „przyjaciół”, lecz spojrzała na brzeg i zamarła. To nie może być Stephen. Musiała mieć halucynacje - tak rozpaczliwie chciała go zobaczyć.

Zrobiła głęboki wdech, zamknęła oczy, a następnie je otworzyła. Stał tam - szukał kogoś wzrokiem wśród

pływających. Potem, gdy ją dostrzegł, uśmiechnął się szeroko i zaczął gorączkowo wymachiwać rękami.

Pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.

- Amy! - Dziewczynka trzymająca Brillo odwróciła się szybko.

- Wracaj. Nie wolno się nikomu naprzykrzać.

Dziecko przycisnęło jagnię do brzucha Janet.

- Muszę iść. Mama woła. Dziękuję, że pozwoliłaś mi potrzymać swoje jagnię.

Janet wzięła owieczkę i odpowiedziała coś nieprzytomnie na grzeczne podziękowanie dziecka. To na pewno był Stephen. Gdyby to był tylko twór jej wyobraźni, nosiłby to samo ubranie co zawsze: szorty i koszulkę z krótkimi rękawami. Natomiast teraz miał na sobie dżinsy i cieplejszą koszulę. Siedział na piasku i zdejmował buty.

Janet, skamieniała, patrzyła, jak ściąga skarpety i usiłuje podwinąć nogawki. Ostrożnie, odciążając zdrowiejącą nogę, znowu wstał.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy skrzywił się, poczuwszy piasek pod stopami, lecz potem z determinacją zacisnął zęby i szedł dalej przez wąską plażę ku wodzie.

Wahając się, postąpiła ku niemu, lecz on był wyższy i na jeden jego krok przypadały jej trzy. Stephen ignorował opór wody, która pluskała mu najpierw wokół kostek, później sięgnęła łydek.

Przez cały ranek marzyła, by go jeszcze raz zobaczyć, jeszcze raz dotknąć. A teraz, kiedy podszedł, zdobyła się tylko na uwagę:

- Zamoczyłeś spodnie.

Uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem i spojrzał na nią w swój wyjątkowy sposób tak, jak do tej pory nie patrzył na nią żaden mężczyzna.

- Zawsze mnie niańczysz - zauważył. - Janet, czy masz zamiar mnie tak dręczyć przez resztę życia?

- Och - powiedziała. Czuła na policzkach wilgoć i zupełnie się tym nie przejmowała. - Och, mam taką nadzieję.

Wziął ją w ramiona, omal nie miażdżąc Brillo - tak niecierpliwie pragnął poczuć dotyk jej ciała, a potem, niechętnie, puścił ją, gdy jągnię zaprotestowało. Wciąż patrząc jej w oczy, pochylił się i wycisnął na jej wargach zaborczy pocałunek.

- Nie mogłem cię zostawić - rzekł po chwili bez tchu. - A potem przeczytałem twoją dedykację. Janet, musi istnieć jakiś sposób, byśmy byli razem.

- Jest - oznajmiła. - Musisz tylko powiedzieć, że mnie kochasz.

- Och, Janet. - Przytulił ją do siebie. - Jak mogłaś nie wiedzieć, że cię kocham.

- Wiedziałam o tym - odparła. - Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Uniósł jej twarz i spojrział prosto w oczy.

- Wyjdź za mnie, Janet. Wszystkiego się dowiedziałem. Mieszkamy już na wyspie dostatecznie długo. Jeśli dziś złożymy papiery, możemy się pobrać pod koniec tygodnia.

- Miałam wyjechać jutro rano - przypomniała oszołomiona.

- Ja miałem wyjechać dziś rano.

Uderzyła wysoka fala, mocząc ich do pasa. Z trudem utrzymali równowagę. Jągnię znowu zabeczowało niespokojnie.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać - rzekł Stephen, obejmując Janet ramieniem.

Przywiązali Brillo do palmy i czuli przez moment skrępowanie, kiedy nagle stanęli twarzą w twarz na stałym gruncie.

- Jesteś cały mokry - stwierdziła Janet.

Stephen spojrział na przemoczone ubranie, a potem na stopy i skrzywił się.

- Mam piasek między palcami.

Potem przyciągnął ją do siebie i bardzo delikatnie pocałował.

- Wyjdź za mnie.

Nie odpowiedziała, więc pocałował ją znowu, długo i namiętnie.

- Kocham cię, Janet. Wyjdź za mnie. W ten czwartek.

- Ja... - rzekła i zawahała się. Przyciągnął ją jeszcze bliżej i całował, aż poczuła słabość w kolanach.

- Jeśli zaraz się nie zgodzisz, zrobimy z siebie widowisko - ostrzegł ją i nadal całował gwałtownie.

- Tak - powiedziała bez tchu, gdy mu się wreszcie wyrwała. - Tak, ty wariacie, zanim nas zaaresztują.

ROZDZIAŁ

16

- Mam piasek w kąpielówkach - oświadczył Stephen. - Zupełnie nie rozumiem, jak się tam dostał. Stopy, to jasne, ale...

Stali przy barze plażowym, czekając na hotelowy mikrobus.

- Autobusik powinien nadjechać lada chwila - odparła Janet. - Będziesz mógł wziąć prysznic, gdy tylko wrócimy do hotelu.

- Nie masz pojęcia, jaki miałem poranek. Czy próbowałaś kiedyś odebrać bagaże już odprawione na lot międzynarodowy?

- Ta podniecająca przygoda jakoś mnie ominęła.

- To prawie równie nieprzyjemne jak piasek w kąpielówkach - stwierdził. - A potem hotel. „Nie ma wolnych pokoi” - usłyszałem. Nie pozwolili mi się wprowadzić i nie uwierzyli, że podzieliłabyś się ze mną swym bungalowem. Gdyby Regina nie interweniowała, nie pozwoliliby mi nawet zostawić bagażu w recepcji ani skorzystać z mikrobusu na plażę.

- Biedne dziecko.

- Nie jestem dzieckiem. Nie lituj się tak nade mną. Znowu zaplotłaś włosy.

- Tak.

Stephen zapomniał o piasku w kąpielówkach i obdarzył Janet zmysłowym uśmiechem.

- Chyba będę je musiał znowu rozplatać. Ale, niestety - dodał poważniej - nie dzisiaj po południu. Będziemy musieli się zakrzętać, by zdążyć do Domu Morskiego i na pocztę.

- Do Domu Morskiego i na pocztę?

- Tak. Zgodę na ślub dostaniemy w Domu Morskim. To na Christ Church, więc nie może być bardzo daleko.

- A na pocztę?

- Po spec'alny znaczek. Na Barbadosie wstąpienie w związek małżeński to jak wysłanie listu. Idziesz na pocztę i kupujesz znaczek.

Janet westchnęła.

- Czy jesteś pewien, że należy tak się spieszyć?

- Czy mam cię znowu przekonywać?

W jego oczach zaigrały ogniki, tak jakby miał nadzieję, że jednak będzie musiał.

- Nie narażałabym cię na to, kiedy masz w kąpielówkach piasek - powiedziała. - Choć dostałbyś za swoje po tym, jak zawróciłeś mi w głowie i zmaciłeś mój zdrowy rozsądek, stosując... perswazję cielesną.

Stephen nagle spowaźniał.

- Naprawdę nie masz nic przeciw temu, prawda? Po prostu... po prostu byliśmy tutaj tak szczęśliwi i... i chcę, by to była nasza prywatna sprawa. - Westchnął. - Jeśli będziemy czekali, wszystko się skomplikuje. Moje siostry chciałyby z tego uczynić wydarzenie towarzyskie dziesięciolecia. A jeśli załatwimy to tak, jak zamierzamy, staniemy się prawdopodobnie gwiazdami pierwszego wieczoru rodzinnego po naszym powrocie do domu.

- Moja matka...

- Zaboli ją, że wyszłaś za mąż bez jej błogosławieństwa? Możemy ją tutaj sprowadzić.

- Ona nie cierpi podróży samolotem. Poza tym biorą z ciotką w tym tygodniu udział w eliminacjach do mistrzostw kanasty. Nie, będzie troszkę rozczarowana, ale przecież zrobimy zdjęcia i... och, Stephen, ona na pewno będzie cię uwielbiać. Będzie przyjeżdżać regularnie do Banff.

Stephen milczał, zamyślony.

- Zimy w Banff to niezupełnie to samo, co zimy w Minnesocie. W hotelu nie powinnaś czuć się zamknięta wśród tak wielu ludzi i nie będziesz przecież w ogóle musiała wychodzić, jeśli nie będziesz chciała i...

- I ty tam będziesz, by mnie ogrzać.

- Zawsze - rzekł i pocałował ją.

- Czułam się tak podle, gdy się zbudziłam, a ciebie nie było. Gdybyś mnie poprosił, pojechałabym z tobą nawet na biegun północny. - Spojrzała mu w twarz oczyma nieco zamglonymi łzami wzruszenia. - Tak cię kocham.

- I ja cię kocham, Janet. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

Umilkli na chwilę. Potem Janet poruszyła się niecierpliwie.

- Pomyślałam właśnie o czymś. Stephen, nawet jeśli zatrzymamy się na Florydzie, by zabrać moje rzeczy, nie będę miała nic, co by się nadawało do założenia w styczniu w Kanadzie. Żadnych zimowych ubrań.

- Pożyczę ci.

- Mówię poważnie, Stephen. To prawdziwy problem.

- Będiesz kosztowną żoną, prawda? - zapytał z uśmiechem.

- Nie mogę w styczniu w Kanadzie nosić szortów i letnich sukienek.

- Masz dzinsy, prawda?

Kiwnęła głową.

- Kupimy tutaj parę swetrów, a jeśli uzupełnimy to dresami, puchową kurtką i parą wysokich butów, to wystarczy. Zawsze możesz coś pożyczyć od Claire czy Brigitte. One lubią ratować ludzi, prawie tak jak ty. W każdym razie w pensjonacie Dumont chodzimy głównie w swetrach i sportowych spodniach.

- I to mówi człowiek, który na lotnisku na Barbadosie pojawił się w kaszmirach!

- I bardzo się cieszę, że się tak ubrałem. Gdybym nie mdlał z gorąca, nigdy byś mnie nie ratowała.

- Mdlałeś od szkockiej whisky.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ważne, że mnie uratowałaś. Zimny pot mnie oblewa, gdy myślę, co by się stało, gdybyś tego nie zrobiła.

- Biedny dzieciak. Spędziłyś cały tydzień, jeżdżąc taksówkami i próbując znaleźć tuzin kociaków.

Splótł palce z jej palcami i delikatnie uściskał jej dłoń.

- Potrzebuję, cię, wiesz.

- Rozpaczliwie - zgodziła się.

Pobrali się następnego piątku o świcie, stojąc na klifach północnego wybrzeża.

Wynajęli fotografa, który na wideo uwiecznił wszystkie szczegóły: Stephen w czarnym smokingu i Janet w białej bawełnianej sukni, którą wcześniej podziwiała w Pelican Village, trzymali się za ręce i powtarzali tradycyjne ślubowanie kapłanowi ubranemu w brązowe szaty. Słońce wspaniałą jasnością wschodziło nad niebieskoszarym morzem, przy wtórze cudownej melodii granej solo przez flecistę. Uwiązane na sznurku drobne krótkowłose jagnię z ciekawością oglądało całą ceremonię ze szczytu klifu.

Zanim pojechali do swego hotelu, zawieźli Brillo z powrotem na Wiśniowe Wzgórze. Janet jeszcze raz

uściśnęła jagnię i wypuściła je na trawę, w pobliżu pasterza i jego stada. Zawahało się, a potem uszczęśliwione zaczęło skubać trawę.

W jakiś sposób, mimo że był szczyt sezonu turystycznego, Stephen zdołał załatwić apartament dla nowożeńców z widokiem na morze. Zadowoliliby się bungalowem w Rockleyu, lecz on nalegał, by się przeprowadzili: w Rockleyu stali się kochankami - w apartamentach dla nowożeńców poznają się po raz pierwszy jako mąż i żona.

W głębi duszy był bardzo romantyczny ten osiłek z Kanady, którego poślubiła.

Nie wyobrażała sobie, że ich miłość może być teraz piękniejsza i bardziej przejmująca. W przerwach między pocałunkami Stephen szeptał jej słodkie, wzruszające słowa. Mówił, jaka jest piękna, godna pożądania, jak ją kocha i jak jej potrzebuje, by dbała o niego.

Kiedy już formalnie skonsumowali małżeństwo, leżeli razem w łóżku, słuchając bicia swych serc i szumu oceanu. A potem rozmawiali i Stephen opowiadał Janet, jak łatwo dogada się z jego rodziną i jak polubi życie w pensjonacie Dumont.

Ich nagie ciała leżały splecione i przytulone do siebie. Stephen pocałował ją w rękę.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, Janet - powiedział.
- Zależy mi na twoim szczęściu tak samo jak na własnym.

- Nie mogłabym już być szczęśliwsza - odparła cicho.

- Ja nie mówię o obecnej chwili, o tym miesiącu czy roku.

Ogarnęła ich cisza, ciepła i odprężająca.

- Chciałbym, byś mi coś obiecała, Janet - ciągnął Stephen.

Poczuł, jak jej policzek porusza się przy jego piersi, kiedy wyczekująco spojrzała w górę, na jego twarz.

- Obiecay mi, że jeśli kiedykolwiek będziesz nie-szczęśliwa, powiesz mi o tym, byśmy mogli coś na to poradzić.

Nic nie odpowiedziała, więc mówił dalej:

- Kocham swoją rodzinę, swój kraj i swój styl życia. Rozmyślałem długo i poważnie, zanim zdecydowałem się poprosić, byś ty zrezygnowała dla mnie z tego wszystkiego. Nie prosiłbym, gdybym nie wierzył, że możesz być ze mną szczęśliwa.

- Nie zmuszałeś mnie do niczego - odrzekła. - Wolę być z tobą w Kanadzie niż bez ciebie na Florydzie. Człowiek potrzebuje różnych rodzajów ciepła i nie mogę już czerpać wszystkiego, co potrzebuję, ze słońca.

- Kocham cię, Janet. Jeśli w Kanadzie będziesz nie-szczęśliwa, wtedy z niej wyjadę, by być z tobą. Właśnie dlatego chcę, żebyś mi powiedziała, jeśli pojawią się jakieś trudności. Abyśmy mogli je usunąć i nie pozwolić, by nas rozdzieliły.

- Opuściłbyś pensjonat Dumont i swoją rodzinę dla mnie?

- Dla nas obojga, tak, opuściłbym. Gdybyśmy tylko w ten sposób mogli pozostać razem.

Przycisnęła policzek do jego piersi i westchnęła z zadowoleniem.

- Kocham cię, Stephenie Dumont.

- Będiesz mi wszystko mówiła?

- Tak, będę mówiła.

Milczeli, szczęśliwi, że są razem.

- O czym myślisz, Janet? - odezwał się w końcu Stephen.

- O nas. O przyszłości. O tym, jak w ciągu ostatnich dwóch tygodni ratowałam pijanego osiłka, zakochałam się, dostałam jagnię, oświadczone mi się, planowałam ślub, robiłam zakupy. Rzuciłam pracę i wyszłam za mąż. I jak za parę dni polecimy na Florydę, gdzie bez wątpienia urządują nam niespodziewane przyjęcie,

a ja zapakuję wszystko, co zmieści się do bagażnika mego samochodu, i pojedziemy do Kanady. Do Kanady, Stephen! Mój Boże! I ten rodzinny wieczór! Jesteś pewien, że chcesz ich zaskoczyć w czasie rodzinnego wieczoru, zamiast zadzwonić do nich, by się przygotowali?

- Jestem najzupełniej pewien. To doskonały plan. Zostawisz mnie na lotnisku, pojedziesz do hotelu i zameldujesz się pod swoim własnym nazwiskiem. - Uśmiechnął się - to znaczy pod swoim nazwiskiem panińskim. Przy okazji zamówimy tort. A potem, w rodzinny wieczór, wezmę mikrofon, przedstawię cię i z ogromną przyjemnością będę patrzył na miny Claire i Brigitte, gdy kelnerzy wtoczą trzypiętrowy tort.

- Ale twój ojciec i matka...

- To Dumontowie, będą zachwyceni. I będą cię kochali, dosłownie wszyscy. Staniesz się członkiem klanu, zanim jeszcze usłyszą opowiadanie o tym, jak wybawiałaś mnie z kłopotów na lotnisku.

Zamilkli znowu, oboje pogrążeni w myślach o przyszłości. Stephen wyobrażał sobie wieczór, rodzinny w pensjonacie i nagle się zaniepokoił.

- Nigdy cię o to nie pytałem, Janet. Ty nie śpiewasz, prawda?

- Śpiewam?

- Tak. A może grasz na instrumencie muzycznym? Na bębnach, puzonie czy czymś niezwykłym?

- Nie. - W jej głosie dały się słyszeć nutki przestrochu. - Czy potrzebny jest jakiś talent muzyczny, by zostać członkiem klanu?

Zaśmiał się.

- Gdybyś go miała, byłabyś jedyną osobą w rodzinie, prócz mej mamy, nim obdarzoną.

- To dobrze - rzekła z ogromną ulgą. - Ponieważ jestem zupełnie pozbawiona talentu wokalnego i nie gram na żadnym instrumencie.

Stephen odetchnął swobodniej.

- Właśnie dlatego trzymam pudło piszczałek.
- Piszczałek? - zapytała, czując niepokój.
- Piszczałek. Wiesz, dmuchasz w nie, a one wydają szalony, wibrujący dźwięk. To ogromnie zabawne, gdy prosisz tłum ludzi, by grali na nich na przyjęciu, ponieważ nie ma znaczenia, czy ktoś umie wydobyć z nich melodię, czy nie.

Stephen oczyma wyobraźni ujrzał trzeci mikrofon przygotowany na wieczór rodzinny: Janet stojącą między jego siostrami z błyszczącą brązową piszczałką, jego siostrzenice maszerujące przez jadalnię i rozdające piszczałki. I usłyszał, jak jadalnia napełnia się hałasem stu piszczałek grających unisono.

Mimowolny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Kocham cię, Janet - rzekł i odwrócił się na bok, by pocałować swą młodą żonę.